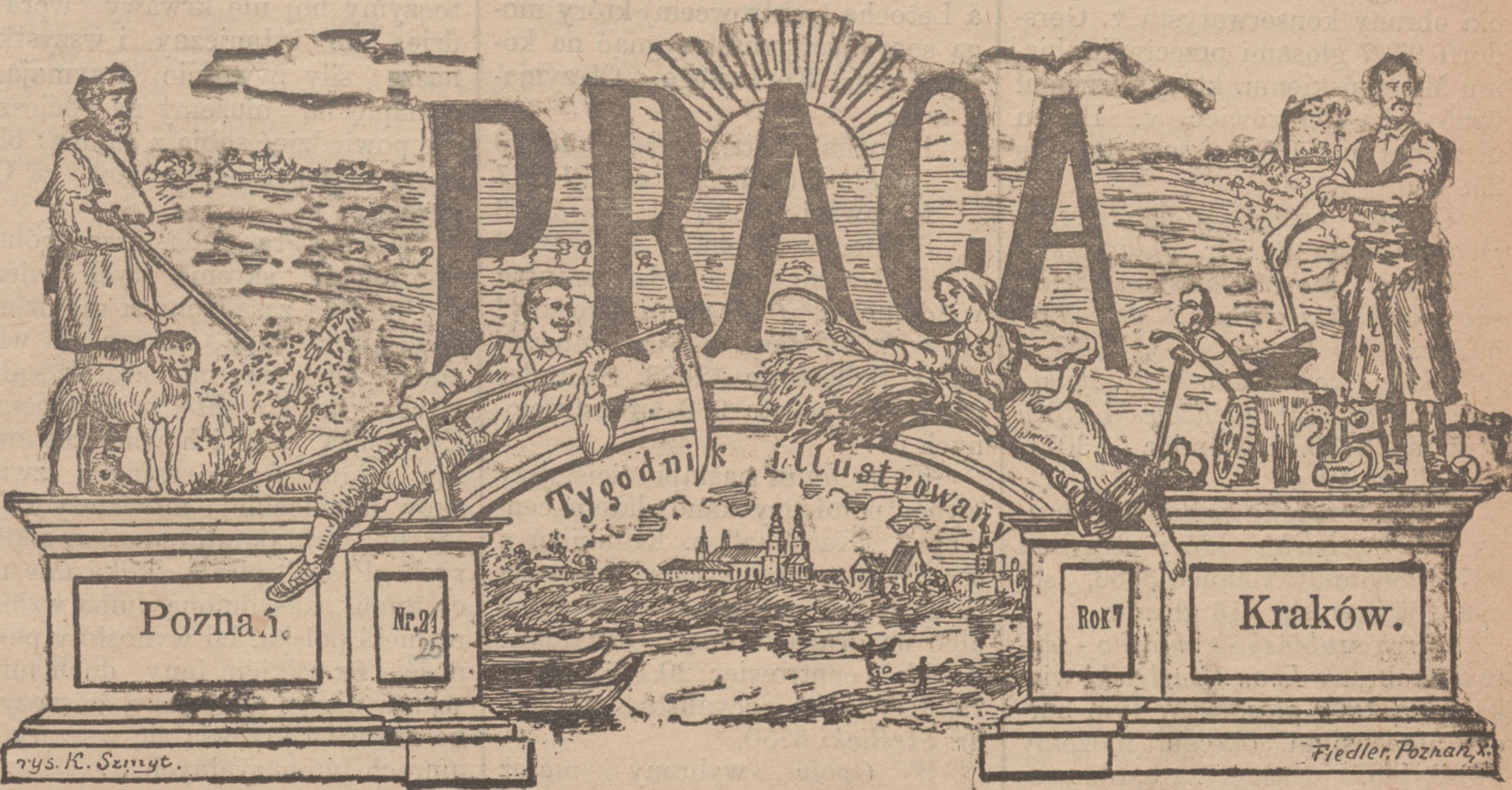


Nowe Koło polskie parlamentarne.

W chwili gdy oddajemy numer pod prasę ostateczny wynik wyborów nie jest jeszcze znanym, ale leży przed nami długi szereg danych, w których rozpatrzywszy się, możemy śmiało zawołać: zwycięstwo!

Nigdzie nie ubyło nam głosów, przeciwnie liczba głosujących Polaków okazuje się większą. W dwóch okręgach spornych odnieśli Polacy *wprost znakomite zwycięstwa:* w szamotulsko-obornickim i w żnińsko-szubińsko-wyrzyskim. W dwóch innych okręgach, które uważano powszechnie za stracone, kandydaci nasi zmierzą się powtórnie, w ściślejszych wyborach z przeciwnikiem.

Wiadomości ze Ślązka brzmią wogóle *pomyślnie*, tak iż snadnie możemy zdobyć tam *dwa* mandaty a, zważywszy, że poseł Szmula, obrany w Opolu wstąpi do Koła polskiego — mieć *trzech polskich posłów z Górnego Ślązka.* Wogóle jeżli rzeczy przy ściślejszych wyborach wezmą obrót dla nas korzystny, *Koło polskie parlamentarne* składać się będzie z około

ośmnastu posłów.

Otóż cyfry:

Poznań i powiaty poznańskie obrany *mec. Chrzanowski.*

W Poznaniu stosunek głosów przedstawia się jak następuje:

Okręg	Polak Chrzanowski	Socyalista Gogowsky	Niemiec Dr. Prümers
1	267	47	188
2	299	19	215
3	354	21	172
4	290	22	116
5	321	38	127
6	189	48	131
7	195	31	160
8	170	40	165
9	196	28	273
10	323	47	247
11	337	76	65
12	340	27	76
13	285	57	61
14	222	16	266
15	95	15	250
16	120	16	243
17	224	43	257
18	273	18	192
19	216	23	65
20	288	22	207
21	264	31	194
22	134	23	249
23	331	55	139
24	373	40	124
25	388	40	70
26	311	62	256
27	186	48	365
28	74	13	213
29	134	30	338
30	291	34	265
31	181	43	504
32	554	24	50
33	237	41	214
34	195	55	240
35	189	43	188
36	202	62	279
	9048	1298	7166

Przy wyborach w roku 1901 otrzymał w Poznaniu nasz kandydat adwokat Chrzanowski *8173*, kandydat socyalistów Kasprzak 688, a kandydat Niemców i żydów Witting 7276 głosów. A więc w samym Poznaniu zyskał nasz kandydat, mimo wzrostu socyalistów, teraz głosów — *875*.

W całym okręgu poznańskim otrzymali:

dr. Prümers gł. 9411 (71 mniej jak w r. 1900),

soc. Gogowsky gł. 1471 (748 więcej),

mec. Chrzanowski gł. *17,232* a zatem *1820 głosów więcej jak w r. 1900.*

Okręg śremsko średzki obrany: *I. Głębocki.*

Liczby ogólne nieznane.

Okręg gnieźnieńsko-witkowsko-wągrowiecki obrany: *L. Grabski.*

Liczby ogólne nieznane.

Okręg szamotulsko - międzychodzko - skwierzyńsko - obornicki obrany: *hr. M. Mielżyński.*

Głosy rozstrzeliły się tu jak następuje: Genge (centrum) 8816. Teschner 2064. Schulz (soc.) 548. hr. Mielżyński *13,741* głosów.

Przy ostatnich wyborach kandydat polski z pomocą centrowców otrzymał tam: 12461 a czysto polskich głosów miał 11401. Hr. Maciej Mielżyński przeto zyskał przez swą świetną agitacyą nie mniej jak *2280 polskich głosów* i zwyciężył bez pomocy centrowców.

Okręg kościańsko-śmigielsko-

grodzisko-nowotomyski obrany: *dr. Skarzyński*

Liczby dotąd nieznane.

Okręg babimojsko-międzyrzecki obrany konserwatysta v. Gersdorff 9707 głosami przeciw hrabiemu Mielżyńskiemu, który otrzymał 6225 gł. Centrowiec v. Hagen otrzymał tu 1297 gł. i soc. Gutsche 250 gł.

Okręg wrzesińsko-pleszewsko-jarociński obrany: *dr. Chłapowski.*

Okręg inowrocławsko-strzelińsko-mogileński obrany: *dr. Krzymiński.*

Okręg koźmińsko-krotoszyński obrany: *ks. prał. Jażdżewski który* otrzymał 8159 gł. Niemiec — 3071. socyalista 40 gł.

Okręg rawicko-gostyński obrany: *I. Mycielski,* który otrzymał 9277, Schmidt Niemiec 3863, socyalista Śremski 416 głosów.

Okręg szubińsko - żnińsko - wyrzyski obrany *Leon Czarliński* większością *1070 głosów.* W tym bardzo niepewnym okręgu możemy wynik ten, uważać za bardzo radosny.

Okręg leszczyńsko-wschowski. Nastąpi wybór ściślejszy między ks. Mojzykiewiczem i wolnokonserwatystą Schmidtem.

I ten wynik możemy uważać względnie za korzystny.

Otrzymali głosów: Ksiądz dziekan Mojzykiewicz 3558, ks. Tasch 2385, Schmidt 4883, Fritsche (socyalista) 616.

Okręg odolanowsko-ostrowsko-ostrzeszowsko-kempiński obrany: *książę Radziwiłł.*

Okręg bydgoski (miejski i wiejski) obrany: konserwatysta v. Tiedemann.

Otrzymali: Tiedemann: 11671. Leon Czarliński 7097, socyal. Stössel 3037. gł.

Okręg czarnkowsko-wieluńsko-chodzieski.

Wybór ściślejszy między *ks. Gajowieckim* i konserwatystą Zindlerem.

Wynik ten w okręgu, uznanym za stracony, jest niespodzianką a według dobrego niemieckiego źródła ks. Gajowiecki ma przy ściślejszych wyborach dobre widoki zwycięstwa, jeźli co być może wolnomyślni oddadzą na niego swe głosy.

Z Prus Zachodnich skąpe mamy wiadomości.

W Kościerzynie wybrany posłem: Wł. Wolszlegier.

W Grudziądzu nastąpi ściślejszy wybór pomiędzy p. Kulerskim a Siegiem (nac. lib.)

Z Górnego Śląska nadeszły dotąd wiadomości:

W Pszczynie wybrany posłem ***Kowalczyk.***

W Katowicach **nastąpi ściślejszy wybór pomiędzy p. Korfantym a Letochą (centrowcem) który mogą socyaliści rozstrzygnąć na korzyść pana Korfantego.** Otrzymali tam:

Letocha (centr.)	18370
Korfanty (Polak)	11247
Morawski (soc.)	9303
Schneider (Niem.)	2856

Z Gliwic nadchodzi *smutna* wiadomość: *Ballestrem* wybrany! Otrzymali tam: *Siemianowski* 8200, Ballestrem 12488, Schrader 2881, socyalista 980, rozstrzelonych 67.

W Bytomiu nastąpi ściślejszy wybór pomiędzy kandydatem centrum i „Katolika“ p. Królikiem a soc. Winterem. Polacy przeważą tu szalę zwycięstwa albo na jedną albo na drugą stronę. Otrzymali: Królik, centrowiec 20,145, Antes 7926, Winter, socyalista, 10,260, *dr. Stęślicki* 6750.

W Opolu wybrany *major Szmula.*

Ogólny wynik wyborów jest zdumiewającym. Nowy parlament będzie miał całkiem inną fizyognomię, bo centrum, które liczyło dotąd 106 mandatów, przypuszczalnie **nie będzie miało więcej nad 80.** Natomiast socyaliści, którzy liczą 58 mandatów, wejdą do nowego parlamentu w sile około 80—90 posłów. Partye wolnomyślne i liberalne wychodzą z urny wyborczej w zmniejszonej liczbie.

Do tej chwili wybrano w 269 okręgach: *50 socyalistów,* 39 centrowców, 14 konserwatystów, 6 alzatczyków, 5 narodowo-liberałów, 4 wolnokonserwatystów, 3 dzikich, 13 polaków, 1 duńczyka, 1 związkowca. W wyborach ściślejszych zmierzy się: *96 socyalistów,* 24 centrowców, 24 konserwatystów, 1 alzatczyk, 46 narodowych liberałów, 8 wolnokonserwatystów, 7 dzikich, *4 polaków,* 5 welfów, 4 związkowców, 14 wolnomyślnych ludowych, 10 wolnomyślnego zjednoczenia, 7 demokratów, 5 antysemitów.

Ściślejsze wybory dnia 25 b. m.

Niechaj Polacy w odnośnych okręgach wytężą wszystkie siły, powołają wszystkich rodaków do urny wyborczej i przyczynią się do — *zwycięstwa Polaków!*

Q.

Skazani.

„Dulce et decorum est pro patria mori“ błogo i zaszczytnie **umierać za Ojczyznę — mówili ongi Polacy idąc w bój krwawy i przelewając krew za kraj. Dzisiaj, my dzieci spokojniejszych czasów, co toczymy bój nie krwawy wprawdzie, ale tytaniczny i wszystkie nasze siły żywotnie trzymający** w napięciu, możemy na pocieszenie powiedzieć sobie z chlubą: błogo i zaszczytnie cierpieć za Ojczyznę.

Dewiza ta może szczególnie opromienić skronie tych świeżo w Gnieźnie zasądzonych młodzieńców, którzy lubo skazani na więzienie, odchodzą od kratek sądowych *moralnymi zwycięzcami.* Zwłaszcza jeźli ich winę zestawimy z praktykami tajnych związków niemieckiej młodzieży i pijackimi wybrykami burszów, o których „Praca“ pisała kilka miesięcy temu, uzasadnioną dumą wzbiera pierś polska, bo wynosimy pewność, że całkiem inny duch mieszka w naszej młodzieży, że szczytne dążności krzewią się w szarych murach gimnazyalnych.

I napełnia nas otucha w przyszłość, zrodzona z przekonania, że ci co po nas wejdą na tory życia społecznego będą prząść dalej złotą nić narodowych tradycyi i piastować kaganiec świętych naszych ideałów.

W tym nastroju patrząc na grono młodych ofiar systemu pruskiego, chociaż miłość nasza do młodzieży wzrasta, nie mamy dla nich łzy współczucia, bo sięgając okiem dalej i głębiej mówimy: błogo i zaszczytnie cierpieć za Ojczyznę.

Niech cierpią młodzi, zrodzeni w erze cierpienia narodowego, niech dowiedzą się, że życie dla Polaka o nieco wrażliwszej i goretszej duszy to pasmo cierpień. Przez cierpienie wzmoże się ich miłość do kraju i bole podziałają oczyszczająco na ich dusze, jak ogień na kruszec, tak iż z dorastającej młodzieży naszej wyjdzie nietylko legion dzielnych Polaków, ale także wiele *hardych dusz i niezłomnych charakterów.*

Nie ubolewamy również nad tem, że wskutek procesu gnieźnieńskiego odcięli Niemcy dwudziestu młodych ludzi od t. zw. wyższych stanowisk, bo mojem zdaniem produkujemy dosyć ludzi wykształconych i nie tyle wykształconych potrzeba nam obywateli ile — *inteligentnych.* Wykształcenie nie idzie zawsze w parze z inteligencyą i na odwrót inteligencya nie jest wcale nieodzownym atrybutem wykształcenia. Ztąd mamy warstwę pseudo-inteligencyi, a rzeczywiście

inteligentnych ludzi — wielki brak. Dla wielu bowiem umysłów nawał nauki jest wprost zabójczym, wytwarzając zastęp encyklopedycznie wykształconych jednostek, którym zawdzięczamy niepochlebny epitet: pawia i papugi narodów. Natomiast człowiek inteligentny o umyśle świeżym i samoistnym *na każdem stanowisku*, chociażby najskromniejszem, może nietylko pracować z korzyścią dla siebie, ale stać się cennym nabytkiem dla społeczeństwa.

Ludzi brak! — słyszymy często, a patentem na „człowieka“ nie jest koniecznie dyplom doktorski. Nie chodzi nam też dlatego wcale o to, by mieć jaknajwięcej jednostek, które przeszły przez tyle a tyle egzaminów, lecz — o *ludzi*.

W tym kierunku urabia naszą młodzież bezwiednie — szkoła pruska.

W murach szkolnych uczy się młodzież panowania nad sobą i oględności, bo niemiłem i niełatwem jest życie pod okiem nauczycieli, nieprzyjaźnie usposobionych dla polskości. A ileż to rzeczy jest tam zabronionych! Zabrania się przecież nawet nauki historyi i literatury ojczystej. A jeźli jaki teutoński pedagog przyzna półgębkiem, że nic nie ma przeciwko temu, nie przeszkadza mu to w niewinnych zebraniach młodzieży doszukiwać się niebezpiecznego dla państwa tajnego związku. A ponieważ rząd czyha tylko na to, by pochwycić pozór dowodu, iż Polacy knują spiski, więc w takich razach walą się gromy na młodzież.

Lekcyą, którą daje proces gnieźnieński, powinni wziąść sobie do serca nasi gimnazyaści i pamiętać, że ogół polski wszelkie pisaniny przy koleżeńskich zebraniach uważa za niedorzeczność, atoli przyklaskuje dążności do poznania dziejów narodu naszego i jego dróg ducha. Trzeba się wyrzec nawet pozorów tajności, chociaż mają one urok dla młodych umysłów, a nagrodzić to szczerym zapałem do nauki historyi i literatury polskiej, do wszystkiego, co Polaka zespala z duchem narodu.

Nastały takie czasy, że gimnazyaści polscy muszą być mniej młodymi, a więcej — ludźmi.

Żegnamy grono młodzieży u progów więziennych szczerym uściskiem dłoni, z ufnością, iż ze szkoły życia wyjdą dzielnymi pracownikami na niwie narodowej. A na pocieszenie przypominamy im wzniosłe słowa: błogo i zaszczytnie cierpieć za Ojczyznę.

Quis.

„Świetny obraz pruskiej kultury XX wieku.“

W obronie oskarżonych gimnazyastów gnieźnieńskich wystąpił w tym procesie *mecenas Karpiński* z Gniezna z świetną obroną, która w głównych zarysach brzmi jak następuje:

Sprawę uważam za zanadto ważną i doniosłą, abym miał wdawać się w spór z panem prokuratorem o to, co przeciwko każdemu z oskarżonych uważać należy za udowodnione lub nie. Obrona nadawałaby przez to sprawie podstawę zwykłego kryminalnego procesu, a to nie jest proces, ale *świetny obraz pruskiej kultury dwudziestego wieku*. Jako Polak i obrońca czuję, że się nie porozumiemy i zdaje mi się, jak gdybym w tej sali miał wobec prawowiernych mahometan mówić o błędach koranu.

Co właściwie zrobili oskarżeni i za co mają pójść do więzienia? Zrobili coś strasznego! Uczyli się historyi i literatury polskiej i to tajnie, a materya ta nie leży w programie król. pruskiego regulaminu szkolnego. Prokuratorya twierdzi, że ostatecznym celem nie było uczenie się historyi i literatury polskiej, ale ożywienie i wzmocnienie polskiego narodowego poczucia. Ależ ażeby ożywić nasze poczucie narodowe, nie potrzebujemy tajnie uczyć się historyi polskiej; o ożywienie i wzmocnienie polskich uczuć patryotycznych dba rząd pruski, dba jego prawodawstwo o kolonizacyi, gdzie to z podatków także przez Polaków płaconych kupuje się ziemię, a w celu wzmocnienia niemczyzny, a osłabienia polskości nie dopuszcza się chłopa polskiego do nabywania tej ziemi; o ożywienie poczucia narodowego dba podoficer, nazywając polskiego rekruta głupim Polakiem; dba program szkół gimnazyalnych, wykluczający język polski z planu nauk; i tak w Prusach od ministra do podoficera pracuje cały aparat nad wzmocnieniem i ożywieniem uczuć polskich. Ja twierdzę, że tylko żądza wiedzy i nauki kierowała oskarżonymi i słusznie zrobili, że uczyli się właśnie historyi swego narodu, bo historya narodu polskiego jest pouczającą dla każdego myślącego człowieka, a sztuka i literatura polska w kwitnącym są stanie i dotrzymują kroku każdemu cywilizowanemu narodowi. I za to, że oskarżeni oddawali się tej nauce, żąda państwo, aby dostali się do więzienia?!

Gdyby sprawa toczyła się na polu cywilnem i pan prokurator jako powód wytoczył cywilną akcyę pozwanym, to słusznie moglibyśmy przeciwko takiej skardze podnieść zarzut szykany z § 226 kodeksu cywilnego, bo pytam się, czy jest lojalnie skreślić z planu szkolnych nauk język polski, a skoro uczniowie czują potrzebę sami się go wyuczyć — wtrącać ich do więzienia? Nieprawdą jest, że kara ma za to nastąpić, że organizacya ich była tajną. Loże masońskie mają organizacyą, których cel i statuta są utajone przed władzami państwa, a jednak się ich nie śledzi, bo się przypuszcza, że w nich nie dzieje się nic karygodnego. Sama nazwa „Towarzystwa filaletów i filomatów“ — przyjaciół cnoty i wiedzy — musi być rękojmią, że karygodnych celów Towarzystwo nie miało.

Podług zdania teoretyków prawa karnego ma być kara środkiem poprawienia człowieka; tego skutku kary więzienne tutaj nie odniosą. Czy jestże ktokolwiek w sali tutaj, któryby oddawał się mniemaniu, że oskarżeni, jeżeli się ich na kilka tygodni na klucz zamknie za uczenie się historyi i literatury polskiej, opuszczając więzienne mury wyjdą z niego jako gorący patryoci pruscy?? Oskarżeni mogą z podniesioną głową salę sądową opuścić, bez względu na to, czy i jaka kara zapadnie. Kara więzienna nie będzie dla nich hańbą, i bez przesady będzie o nich można powiedzieć, *że stoją moralnie wyżej, niż system, który ich oskarża.*

Za rządem stoi tylko siła — za oskarżonymi daleko więcej bo — prawo. Jedyną pocieszającą dla mnie rzeczą w tej sprawie jest to, co uczy nas historya procesów politycznych. W procesach politycznych nie rozsądza nigdy teraźniejszość, kto ma racyę, ale przyszłość. Pan prokurator poruszył rewolucyę francuzką. Prokuratorom i sędziom, którzy skazali na śmierć Ludwika szesnastego, nie przyznała historya racyi, chociaż wówczas cała Francya począwszy od ministrów, a skończywszy na zamiataczach ulic była przekonaną o konieczności ucięcia głowy królowi, tylko jedyny obrońca króla był innego zdania. Jeżeli historya narodów polskiego lub niemieckiego w przyszłości zajmować się będzie tym procesem, wyda inny wyrok na oskarżonych, jak ten, co dzisiaj zapadnie.

Ks. Kopp
przeciwko Polakom.

Wiedziano oddawna, że książę bi-

skup wrocławski, ks. kardynał *Kopp* nie żywi przyjaznych uczuć dla Polaków, że stoi częściowo na gruncie germanizacyjnej polityki rządowej. Wiedziano o tem w polskich kołach — pomimo, że „ugodowcy“ nasi stanowczo temu zaprzeczali, a nawet ex re pewnego wypadku z przed 11-tu laty starali się przedstawić ks. kardynała niemal jako dobroczyńcę społeczeństwa polskiego w Prusach. Wiedział o tem *mianowicie polski lud górnośląski*, trapiony przez księży germanizatorów, przeciwko którym daremnie odwołuje się do serca pasterskiego ks. kardynała; wiedzieli o tem nieliczni polscy księża w tej dzielnicy, skazani za to, że nie taili się ze swą polskością lecz bronili *narodowych* praw ludu, *na gorzką tułaczkę po niemieckiej dyasporze dyecezyi wrocławskiej; wiedzieli* o tem bracia nasi na *Śląsku austryackim*, który należy również do dyecezyi ks. kardynała. Nawet tam bowiem — z wiedzą ks. kardynała zachodziły wypadki germanizacyi, które zrodziły czasu swego głośne żądanie *o przyłączenie tej części Śląska do dyecezyi krakowskiej*. Wiedziano więc u nas ogólnie o tem a jednak — nie spodziewano się, ażeby ks. kardynał mógł się posunąć aż do otwartego zwalczania ruchu narodowego na Śląsku tak poważnym środkiem kościelnym, *jakim jest groźba odmówienia łask i pociech religijnych, ba — sakramentów świętych.*

Pierwszy to tego rodzaju wypadek na ziemi polskiej, pierwszy wypadek, w którym biskup, do tego *kardynał*, na mocy kościelnej swej władzy potępia i zwalcza *narodowe ideały większej części swych dyecezyan.* Nie dziw więc, że ten list pasterski albo raczej ma[illegible] przedwyborczy wywołał ogromne wrażenie nietylko w dyecezyi, ale i daleko po za jej granicami, że poruszył opinią nietylko w Polsce, lecz także w Niemczech.

Sykiem boleści odpowiedziało na list ten społeczeństwo polskie — naturalnie z wyjątkiem centrowego „Kuryera Pozn.“ — prawdziwem *wyciem radosnem antikatolicka prasa hakatystyczna.*

To wycie, ten szał radosny, jaki na wieść o tym liście ogarnął sfery germanizatorskie, to najlepsza miara jego znaczenia. Z wielką słusznością zwróciła liberalna lecz wprawdzie uczciwa *„Frankfurter Zeit“* na to uwagę, że dziwnym sposobem zachwycają się tym listem właśnie organy, które zresztą zwalczają na każdym kroku religią i kościół, a *władzę duchowną pragnęły by okuć w potrójne żelazne pęta..*

Jakże miłą musi być *biskupowi katolickiemu* pochwała z tej strony.....

Ks. kardynał jest bardzo zręcznym dyplomatą, i tej swej zręczności zawdzięcza w niemałej mierze zaufanie, jakiem go otaczał do niedawna rząd pruski. I najnowszy jego list pasterski robi wybitną cechę tej zręczności. Zwraca się on bowiem nietylko przeciwko ruchowi narodowemu, lecz także *przeciwko socyalizmowi*. Wiadomo, że polski ruch narodowy nie ma nic wspólnego z socyalizmem, że nawet jest najzaciętszym wrogiem ruchu przewrotowego. Jakże więc wytłomaczyć sobie mamy to dziwne zestawienie dwóch *wręcz przeciwnych* prądów? Oto tylko tak: ma to ewentualnie posłużyć za dowód, że ks. kardynał zwraca *się nie specyalnie* przeciwko ruchowi polskiemu lecz *wogóle* przeciwko *„prądom“*, które uważa za szkodliwe dla kościoła; a potem ma w nieuświadomionych jeszcze kołach ludowych wzbudzić mniemanie, że ruch polski jest tak samo zbrojny i niebezpieczny dla kościoła, jak zwalczany już oddawna przez kościół ruch socyalistyczny....

Zaprawdę, ten akt niesłychany i ta zręczność dyplomatyczna może przywrócić księcia biskupa do łaski monarszej i zdobyć mu odznaczenie — ze strony rządu i państwa...

Jaka przyczyna skłoniła ks. kardynała do wystąpienia z tak ciężkiem działem przeciwko ruchowi narodowemu? Względ *na wybory, na interes centrum.* Zresztą ks. kardynał sam ją wyjawia. Lud polski na Śląsku skarżył się w rzekomo „radykalnych“ pismach polskich na germanizacyą w kościele. Skargi były *gorzkie, jak gorzką* jest niedola tego ludu. Nieprzebierano więc w słowach, nazywano rzeczy po imieniu. Jeden z korespondentów skarżył się, że niektórzy księża górnoślązcy robią z konfesyonałów „budy jarmarczne,“ inny narzekał, że nadużywają Sakramentów świętych do celów germanizacyi, jeszcze inny, że zanadto wysługują się rządowi i hakacie.

Ks. kardynał — nie umiejąc po polsku, źle widocznie poinformowany przez swoje otoczenie, dopatrzył się w tych skargach *naigrawania się z największych świętości kościelnych, zohydzania duchowieństwa.*

Gdyby ks .kardynał znał język polski tak samo dobrze, jak zna język łaciński, francuzki, a chociażby tylko *hebrajski* — nie mógłby był dojść do takiego *niesłusznego — bezpodstawnego wniosku.* Byłby się przekonał, że *żadne z owych pism* polskich nie zaczepiło instytucyi i świętości kościelnych jako *takich* — lecz wskazywało jedynie na to, jak *je nadużywają do celów świeckich niektórzy duchowni.* Do tego zaś miały prawo, do tego nawet jako pisma *katolickie* wprost były *zobowiązane. Bo obowiązkiem każdego katolika jest bronić czystości i nietykalności instytucyi kościelnych.* Tylko też w razie, gdyby pisma owe były zaczepiały te instytucye jako *takie*, miałby ks. kardynał prawo wystąpić przeciwko ich usiłowaniom. Gdy zaś pod tym względem są *bez winy*, nawet najlepszy katolik musi odmówić enuncyacyi ks. Koppa *wszelkiego uprawnienia.*

O co innego też chodziło! Przebija się to z ustępu, w którym mowa wogóle *o właściwościach narodowych*, np. *narodowości i języku*. Te właściwości to zdaniem ks. kardynała tylko *szata zewnętrzna*, przemijająca *wraz z życiem ziemskiem*, a więc nie warta tego, ażeby ją stawiano po nad religią albo obok niej.

Narodowość tymczasem jest tak samo darem *Bożym*, jak wiara i religia. Od Boga pochodzi i tylko Bóg ją odebrać może narodom. Język ludu zaś za taką nietykalną własność uznany został przez Boga, że przecie gdy Apostołowie otrzymali misyą głoszenia słowa Bożego, Duch św. dał *im znajomość wszystkich języków, aby każdemu narodowi opowiadać mogli słowo Boże w jego języku.*

Chociaż więc narodowość jest tylko „szatą zewnętrzną,“ to jednak jest tak *świętą i nietykalną w oczach Boga*, jak — również zewnętrzna szata *religii*. Kto wyzbywa się swej narodowości grzeszy tak samo, jak ten, kto wypiera się *religii katolickiej.* Obaj są *renegatami*, ludźmi, którzy pomiatają wstrętnie *darem Bożym.* Kto zaś przedstawia narodowość jako rzecz mniej wartą, ten obniża *świadomie wartość świętego tego daru Bożego.*

A przecież taki tylko cel może mieć ten ustęp. Ma on wzbudzić wśród ludu mniemanie, że narodowość *nie jest warta do tyla walki i obrony*, *ażeby dla niej narażać się godziło na zatarg z władzami duchownemi.*

Dla czego atoli, pytamy, ks. kardynał nie zwrócił się z takiem samym listem pasterskim przeciwko tym, którzy wynieśli narodowość *ponad* wiarę i uprawiają z niej rodzaj kultu pogańskiego, przeciwko *Niemcom*, przeciwko *hakacie*, przeciwko *szowinistom* niemieckim? Dla czego nie pojawił się taki list pasterski w chwili, gdy jeden z księży na Śląsku nazwał nabożny śpiew polskiego ludu w kościele: *„polskiemi rykami.“?* Wszakże i w tem dopatrywać się można *zohydzania instytucyi kościelnych!* Dla czego pozwala się duchowieństwu dla dobra *niemieckiej „szaty zewnętrznej“* germanizować lud polski, w kościele głosić kazania w tak

ohydnie skoszlawionym językm polskim, że tylko śmiech wzbudzają wśród Polaków?

My na to nie odpowiemy — ale odpowiada na to polski lud śląski, i to w sposób, który nie wyjdzie na dobro Kościołowi ni religii.

Pytamy się, coby się stało, gdyby którykolwiek polski biskup w Prusach wystąpił w taki sam sposób przeciwko przecenianiu *niemieckiej szaty zewnętrznej,* przeciwko ganieniu duchowieństwa polskiego za rzekomą polonizacyą *Niemców? Bez wątpienia wytoczono mu by proces o nadużywanie władzy duchownej, o nadużywanie kazalnicy...*

Prasa katolicka nie może milczeć wobec tego, gdy z wyższej władzy duchownej padają ciosy na *najświętszy skarb narodu, na jego narodowość, gdy dzieje się coś, co może zaszkodzić wierze i Kościołowi....*

Już słychać, że księża germanizatorzy na Śląsku odmawiają *rozgrzeszenia* tym, którzy czytają pisma *polskie* i to na mocy tego listu. Tym jednakże, którzy czytają *masońskie* „blaty" i „*anceigery*" rozgrzeszenia nie odmawiają..

Do czego to doprowadzi, o tem ks. kardynał przekona się rychlej, niż się spodziewa, a przekona się zapewne *z wielką przykrością.*

Narodowiec.

Biskup w służbie hakatyzmu.

Ks. Kopp, Książę-biskup wrocławski, wydał bezpośrednio przed wyborami list pasterski. W liście tym zwraca się przeciwko socyalizmowi oraz przeciwko prasie narodowo-polskiej. Treść listu nadzwyczajnie prosta. Można ją powtórzyć w kilku słowach:

„Cel naszego bytu nie polega na krótkotrwałych sprawach tego świata; szukajcie najprzód Królestwa Bożego i Jego sprawiedliwości. Na ziemię patrzeć mamy jakoby na widowisko. *Język, obyczaj ludowy i narodowość* są tylko szatami, które znikają przed Bogiem, i które w danym razie usuwane być muszą. Przedewszystkiem szanujcie kler i słuchajcie kleru a nie czytajcie gazet, które o działalności społecznej kleru piszą."

To znaczy pamiętajcie przy przyszłych wyborach o kandydatach centrowych, których wam kler mój poleci.

Nie udało się ks. Hatzfeld złamać na Górnym Śląsku ducha polskiego, więc zaufany cesarza, książę-biskup Kopp, postanowił pokazać monarsze i panu swemu, iż wystarczy jedno jego słowo, aby t. zw. „wielkopolską agitacyą" złamać, a przy wyborach wierne owieczki poprowadzić do urny wyborczej z kartkami centrowych kandydatów w ręku.

Książę-biskup zwalcza socyalizm i polskość jednocześnie. Gdyby mu jednakże zaprawdę chodziło tylko o dobro kościoła i obronę sprawy katolickiej, powinienby raczej popierać t. zw. „polską agitacyę" czyli polskie narodowe życie, gdyż właśnie obudzenie narodowo-polskiego ducha zwalczyło i cofnęło na długie lata propagandę socyalizmu na Górnym Śląsku. Nie jest to zdanie tylko nasze. Ubolewa nad tem ciągle partya socyalistyczna z organem swym „Vorwärtsem," na czele, że między dwa obozy: centrowy i socyalistyczny, wtłoczył się żywioł trzeci: polsko-narodowy i zagarnął to pole, które gotowe było pod posiew socyalistyczny. Ale książę-biskup zwalcza polskość w równej mierze jak i socyalizm. Jeden na tem skorzysta: socyalizm, który hymn uwielbienia zaśpiewać powinien na cześć niemieckiego kardynała.

Jesteśmy dalecy od tego, aby wszystkich działaczy na Górnym - Śląsku, którzy z hasłem narodowem idą między lud, uważać za ludzi nienagannych i ze wszech miar godnych zaufania. Wiemy niestety, że obok zdrowego ziarna, kiełkującego powoli, jest tam wiele plew, wiele osobistych ambicyjek, nietaktu, braku politycznego wyrobienia. Ale co innego jest idea a co innego jej szermierze. Książę-biskup godzi w szermierzy, aby z nimi powalić wraz sprawę, za którą walczą.

W historyi prześladowania polskiego życia pod panowaniem pruskiem jest list ten pasterski bolesnym etapem. Ubolewać należy nad dolą ludu naszego. Aby go opanować i oderwać od pnia narodowego życia, występują dziś mężowie, którzy z urzędu służyć powinni tylko Królestwu Bożemu i Jego sprawiedliwości. —

Jakiego hartu, jakiej roztropności potrzeba, aby lud ten wybrał dobrą, prostą drogę, i wytrwał w miłości wiary i ojczyzny. Ale ufajmy, że i z tego doświadczenia wyjdziemy zwycięsko.

Vester.

Krzyki hakatystów.

Zwłaszcza w razach, gdy chodzi o miły grosz panowie hakatyści zdradzają chorobliwą nadczułość. Pomiędzy sobą uciśniona niemczyzna bierze się za łby przy żłobie wzmacniających niemczyznę milionów, a jeżli kiedy dziwnym zbiegiem okoliczności Polakowi przypadnie w udziale korzyść materyalna, hakata podnosi krzyki w niebogłosy, jakby działa jej się niesłychana krzywda. Ciekawą ilustracyą stosunków nastręczyły wybory w poznańskiej kasie chorych.

Od dawna panowały w niej stosunki nienormalne, bo chociaż Polacy są w kasie w stanowczej większości wybierano na lekarzy kasowych w większej części Niemców i żydów. Aż Polacy zmądrzeli. Na walnem zebraniu wspólnej kasy chorych nr. 3, większością głosów wypowiedziano dotychczasowe stosunki różnym niemieckim lekarzom, dentystom, bandażystom i t. d., a powołano na to miejsce *Polaków.* Nic naturalniejszego nad to, że większość obiera ludzi, których uważa za odpowiednich, ale w państwie porządku i miłości Bozkiej ma się rzecz inaczej, gdy rozchodzi się o Polaków. Zepchnięto ich na stanowisko drugoklasowych obywateli, przyciśnięto szeregiem praw wyjątkowych, odsunięto od wszelkich stanowisk urzędowych, a cała niemczyzna dąży zbiorowemi siłami do sproletaryzowania Polaków, do ogłodzenia nas i zupełnego ujarzmienia. Wydano hasło bojkotu przeciwko nam tak, iż dziś nie pozostaje nam nic innego jak dla własnej obrony odgrodzić się chińskim murem od Niemców, ale Niemcy mimo że sami zniewolają nas do tego — podnoszą krzyk, że w kasie chorych Polacy wybrali Polaków do autonomicznej służby sanitarnej. Ja, Bauer, das ist was anders!

„Pos. Tageblatt," górujący w hakatystycznym ferworze nad innemi poznańskiemi blatt'ami zatrąbił na alarm, uchwałę zapadłą w kasie chorych zwąc niesłychanym bojkotem i pogwałceniem (?) mniejszości, i wezwał rząd do obrony niemczyzny, do unieważnienia wyborów i postarania się o zmianę ustaw w kasie chorych.

A głos hakaty nigdy nie jest głosem wołającego na puszczy. Więc w kasie chorych odebrano od magistratu następujące pismo:

„Zarządowi zakazuje się tymczasem wykonać uchwały walnego zebrania z dnia 5-go czerwca r. b. o odmianie układów z lekarzami, aptekarzami, bandażystami i wypowiedzeniu pewnych istniejących kontraktów z wymienionymi, — albowiem mamy zamiar *znieść uchwały walnego zebrania.*"

Ufamy, że zarząd kasy stanie energicznie w obronie swych praw i — wyjdzie zwycięzko!

Równocześnie uciśniona niemczyzna podniosła krzyk oburzenia z tego powodu, że najwyższy sąd administracyjny zawyrokował ponownie, iż policya nie ma prawa rozwiązywać zebrań polskich z powodu używania polskiego języka.

Wskutek swawoli władz policyjnych cierpieli niejednokrotnie nasi

wychodźcy w Westfalii. Niedawno n. p. wójt w Königs Wusterhausen nie pozwolił wiecownikom obradować w języku polskim.

Dotychczas sąd administracyjny stósował tę zasadę głównie do dzielnic, gdzie ludność po większej części składa się z Polaków. Tymczasem najświeższy wyrok odnosi się do zebrań Polaków na obczyźnie.

Z faktem tym nie mogą się hakatyści pogodzić. Berliński „Local Anzeiger" z oburzeniem wyraża się o tem i nawołuje rząd do przeprowadzenia w sejmie ustawy, któraby nie pozwoliła Polakom korzystać z wyroku najwyższego sądu administracyjnego. Wtórzą mu w tem między innemi blattami „Geselliger" i „Pos. Tag.", który zauważa, że „byłby to niesłychany skandal (!) gdyby utrzymano nadal w kraju niemieckim stan rzeczy, który urąga władzom (!) i Niemcom." Jakoż oburzona hakata pracuje teraz nad tem, by nakłonić rząd do przedłożenia nowej ustawy językowej antypolskiej. Jeszcze jedno prawo wyjątkowe!

Rząd, zawsze tak powolny wszystkim życzeniom rządu pobocznego, i tym razem pewnie nie pozostanie głuchym na krzyki „uciśnionych." Za pomocą hecy antypolskiej panowie ministrowie reklamują się. A p. minister Hammerstein potrzebuje reklamy! Zresztą raz już w sejmie groził on trybunałowi lipskiemu, że zmieni skład sędziów, jeźli trybunał będzie ferował wyroki w imie sprawiedliwości na korzyść Polaków. Zapewne więc krzyki hakatystów znajdą w nim sympatycznego słuchacza i poruszą pana ministra do czynu, który stawił-by go w pierwszym rzędzie obrońców uciśnionej niemczyzny. Wawrzyny Miquela nie dają mu spać, ale byłoby dobrze, gdyby p. Hammerstein pamiętał, że uznanie, jakie sobie zdobył min. Miquel w usługach hakatyzmu, nie posłużyło mu do wyższych zaszczytów i nie uchroniło go przed sromotnym upadkiem.

Lector.

Nasz... słowianofilizm.

Jakże często narzekamy, że reszta Słowiańszczyzny mało się nami zajmuje a jeszcze mniej o nas troszczy, że np. w sporach naszych z Rosyą znaczna część słowiańskich pobratymców naszych bierze raczej stronę tej naszej krzywdzicielki, zamiast stać po stronie *naszej*, jako krzywdzonych! Skargi takie rozbrzmiewają w prasie polskiej od czasu do czasu bardzo głośno, w ślad za niemi pojawiają się zwykle mniej lub więcej gorzkie reflekcye, że właściwie wobec tego i my nie mamy obowiązku hołdować solidarności słowiańskiej i żywić serdeczniejszych uczuć dla reszty Słowiańszczyzny.

Jakże rzadko atoli zastanawiamy się nad tem, czy rzeczywiście zasługujemy na życzliwość i bratnie współczucie innych narodów słowiańskich, czy zasłużyli sobie na nie ojcowie nasi lub czy i my spełniamy wszelkie nasze obowiązki względem słowiańszczyzny?

Gdybyśmy szczerze i uczciwie nad tem zastanowili się pytaniem, przekonalibyśmy się rychło, że właściwie nie mamy najmniejszego prawa do takich skarg i narzekań, że nie możemy sobie rościć pretensyi do życzliwości pobratymców.

Uderzmy się w piersi i wyjawmy sobie nagą prawdę: konto nasze w życiu Słowiańszczyzny obciążone jest samemi niemal grzechami i nie ma w niem ani jednego dobrego uczynku wobec reszty Słowian. Pomijamy przytem zupełnie nasz stosunek do Rosyi, gdyż między nią a nami stoją jeszcze znaczne niezałatwione rachunki, które wzajemna nieufność i brak łączności najzupełniej usprawiedliwiają. Ale są przecież na świecie inne jeszcze narody słowiańskie: Czesi, Słowacy, Słowieńcy, Serbowie, Chorwaci, Bułgarzy.

Czyśmy kiedykolwiek coś dla nich uczynili? Nic zgoła! Walczyliśmy przez długie wieki z Turkami, nieraz świetne odnosiliśmy nad nimi zwycięztwa, ani na myśl nam nie przyszło ująć się za Bułgarami, Serbami i Chorwatami, gnębionymi przez Turcyą. Słowaków dobrowolnie oddaliśmy Węgrom, z Czechami gdy się stosunki zerwały, już nie odżyły więcej mimo tak bliskiego sąsiedztwa. Ojcowie nasi, którzy zapomnieli nawet o własnym, polskim Sląsku, nie wiedzieli wprost, że jest jeszcze jakiś naród czeski na ziemi. Wysługiwaliśmy się Niemcom, Madziarom, Francuzom, spieszyliśmy nawet na pomoc Danii przeciwko najazdowi szwedzkiemu, tylko dla braci Słowian nie mieliśmy ani jednej szabli, ani jednego ciepłego słowa......

A dziś co się dzieje? Iluż między nami jest takich, którzy znają dzieje innych narodów słowiańskich, ich stosunki narodowe i ekonomiczne, ich literaturę, ba choćby tylko ich język? Ze świecą takich u nas szukać trzeba. Wiemy dokładnie, co się działo i dzieje w Anglii, w Hiszpanii,, we Włoszech, w Ameryce i Chinach, tylko nie wiemy, co się dzieje w Słowiańszczyznie... Władamy najrozmaitszemi językami, jak własnym, tylko z pobratymcami naszymi rozmówić się nie możemy.

Za cóż tedy mają nas kochać, a chociażby tylko żywić dla nas współczucie?

Smutne te uwagi nasunęły nam się znów z całą mocą wobec wypadków, jakie obecnie rozgrywają się w *Chorwacyi*.

Wiadomo, że większa część kraju tego tworzy nominalnie autonomiczne państwo, złączone z Węgrami. Stósunek tej części Chorwacyi do Węgier wykazaliśmy już w naszych artykułach o wyodrębnieniu Galicyi. Według ugody z państwem Madziarów Chorwaci w tej części swej ojczyzny posiadać powinni rozległe swobody narodowe. Niestety, posiadają je tylko na papierze. Madziarzy, którzy w tępieniu Słowian w niczem nie ustępują Prusakom, dawno je już pogwałcili. Wbrew wyraźnym przepisom ugody wciskają wszędzie swój dziki, barbarzyński język, władze nad krajem oddają w ręce renegatów chorwackich, zwanych „Madziaronami", krępują narodowe życie Chorwatów a już wręcz bez litości wyzyskują kraj ich pod względem ekonomicznym. Jeszcze dziesięć lat takich rządów jak dzisiejsze, a Chorwaci staną się proletaryatem.

Nie dziw więc, że nareszcie Chorwatom przebrała się cierpliwość. Przed dwoma miesiącami powstała tam silna agitacya, dążąca do wyodrębnienia Chorwacyi pod względem finansowym. Gdy zaś władze madziarskie i madziarońskie wystąpiły przeciwko tej agitacyi z czysto pruską zaciekłością, zerwała się w całej Chorwacyi groźna burza. Przywiedziony do rozpaczy lud chwyta się środków gwałtownych, burzy koleje węgierskie, przepędza madziarskich urzędników i gromko woła: sprawiedliwości! A tu władze madziarskie biorą do pomocy wojsko i usiłują we krwi utopić ten słuszny ruch wśród Chorwatów. *Już na setki liczą się zabici i ranni* w starciach ludu z wojskiem, *dwudziestu kilku Chorwatów na mocy wyroków sądów doraźnych skonało na szubienicy, a tysiące zapełniają więzienie.....*

Wieści o tej niedoli braci Chorwatów zaalarmowały całą słowiańszczyznę. Pisma czeskie, słoweńskie, serbskie i rosyjskie pełne są opisów zajść tamtejszych, pełne także gorących słów współczucia i pociechy dla nieszczęśliwych braci. W Pradze, Lublanie i w innych miastach słowiańskich odbywają się zebrania na rzecz Chorwatów, posłowie czescy i słowieńscy w Wiedniu starają się zaś porówno z chorwackimi, aby korona austro-węgierska wzięła w opiekę lud chorwacki przeciwko gwałtom Madziarów.

A u nas co? Prasa nasza pobieżnie zaledwie informuje czytelników swoich o tem, co się dzieje w Chorwacyi — i to najczęściej według fałszywych doniesień *madziarskich* i *niemieckich*.

**Publiczność polska zarówno u nas, jak i w Galicyi wcale się sprawą Chorwatów nie interesuje, nawet polska młodzież uniwersytecka w Krakowie i Lwowie, zwykle tak gorąca, w tym wypadku zachowuje się zupełnie obojętnie. I podczas, gdy młodzież czeska, słoweńska i serbska głośno bierze stronę gnębionych współplemieńców, nasza ani na słowo współczucia się nie zdobyła...

Prawda, my im pomódz nie możemy. Wiemy atoli dobrze z własnego doświadczenia, ile w takich razach dla uciśnionych znaczy choćby tylko *moralne* poparcie ze strony innych narodów, współczucie ogółu, słowo podniety i pociechy.

Przypomnijmy sobie tylko naszą — *Wrześnię! Jakże inaczej wówczas zachowali się właśnie Chorwaci!* Na wieść o Wrześni cała Chorwacya zawrzała oburzeniem. Prasa tamtejsza narażała się na konfiskaty, lecz z siłą piętnowała wyrządzoną nam krzywdę. *A ileż to setek koron wpłynęło z Chorwacyi dla ofiar wrześnieńskich!!*

Jakże wówczas miłem dla nas było to współczucie tak blizko pokrewnego narodu! Z jakiem zadowoleniem, ba! z jaką *dumą* zapisywaliśmy wszystkie objawy tego współczucia, jak wielką były one dla nas pociechą w nieszczęściu...

Dziś, gdy podobnie ciężki los zawisł nad Chorwacyą, gdy tam krew się leje, gdy dziesiątki giną na szubienicy, my dla Chorwatów nie mamy już nietylko głosu ni zapału, ba! nie mamy nawet serdeczniejszego słowa.... Usuwa się od nich wiedeńskie Koło polskie, ogół nasz zaś ani się nawet nie interesuje wypadkami w Chorwacyi.

Ze łzami w oczach żalili się przed piszącym te słowa studenci chorwaccy, przebywający w Krakowie.... A i lud chorwacki spamięta to sobie.

Tak zaś postępujemy zawsze *względem* pobratymców naszych. Czyż wobec tego mamy prawo skarżyć się na obojętność z ich strony? Jaką kto miarką mierzy, taką mu odmierzają. Nam zaś słowiańszczyzna więcej jeszcze okazuje względów, niż na to zasługujemy....

A tu na boku stoi Prusak, patrzy na to, i zaciera ręce z radości....

Czujny.

Krwawy dramat historyczny w Serbii.

Okropnym krwawym czynem zapisał się ubiegły tydzień w dziejach Europy, tej starej Europy, której się wydaje, że przoduje cywilizacyi powszechno światowej! Zdawało się na chwilę, że odżyły dzikie czasy średniowiecznego barbarzyństwa lub że to muzułmańska lub mongolska Azya przeniosła się do nas ze strasznemi swemi walkami dynastycznemi. Pokazało się, że i w Europie, w XX. wieku pokutuje jeszcze ten sam duch krwiożerczości, który wystraszał zwykle sumienie ludzkie, ilekroć występował na jaw w całej swej nagości.

W Serbii wybuchła rewolucya — a sprawcy jej wymordowali całą rodzinę królewską i cały zastęp wiernych jej mężów stanu i wojskowych. Stał się fakt straszny, który znaliśmy już tylko z starych tragedyi na deskach teatralnych.

Dynastya *Obrenowiczów*, która dała Serbii wolność, a która panowała nad nią od blizko sto lat, przestała istnieć. Ostatni jej przedstawiciel, młody król *Alelksander legł od kul i ciosów własnych swych oficerów.* A fakt ten nastąpił tak nagle, tak niespodziewanie, że naprawdę wstrząsnął do głębi nerwami całego świata cywilizowanego.

Historya wolnej Serbii obfituje w krwawe dramaty, żaden atoli rozmiarami i grozą nie może się równać temu ostatniemu. W roku 1817, zaledwie naród serbski zrzucił z siebie jarzmo tureckie, pierwszy jego oswobodziciel *Karageorgi* czyli „Czarny Jerzy“ zdradziecko zamordowany został przez drugiego oswobodziciela Serbii „*Miłosza Obrenowicza.* Karageorgiewicze — synowie zamordowanego poszli na wygnanie a doróślszy zaprzysięgli zemstę mordercy ojca i całemu jego plemieniu, Obrenowiczom, którzy w ich miejsce zajęli tron nowego księztwa. Odtąd przez całe sto lat trwała walka okrutna, podziemna między temi dwoma dynastyami, tamując rozwój kulturalny i polityczny narodu serbskiego, wzniecając w jego łonie namiętne walki stronnicze. W roku 1842. Serbowie wypędzają Obrenowiczów i przywołują na tron *Karageorgiewiczów.* W 16 lat później czynią przeciwnie, detronizują tych ostatnich a tron oddają znów Obrenowiczom. Najlepszy z nich, książę *Michał*, ginie w roku 1868 z ręki skrytobójcy, a opinia publiczna wskazuje na *Karageorgiewiczów* jako na sprawców tego mordu. Zwolennicy Obrenowiczów powołują na tron znów jednego z nich, chłopię jeszcze, osławionego później *Milana* i rozpoczynają w kraju prawdziwą rzeź stronników Karageorgiewiczów. Ci nadal ukrywać się muszą zagranicą, lecz marzą tylko o odwecie, o wydarciu tronu znienawidzonym współzawodnikom.

Rządy Milana ciężko tymczasem dają się Serbii we znaki. Król, marnotrawca, rozpustnik, trwoni zasoby krajowe, najlepsze dochody oddaje w ręce obcych, kłóci się z żoną, z stronnictwami, z narodem, demoralizuje przykładem swym wszystkie sfery, naraża Serbię lekkomyślnie na klęskę w wojnie z Bułgaryą, a chociaż książęcą koronę zamienia na królewską — doprowadza kraj do ostatecznych granic rozstroju, zrzeka się tronu i oddaje go w r. 1883 trzynastoletniemu swemu synowi *Aleksandrowi* pod opieką rejencyi, złożonej z trzech wybitnych mężów stanu: Risticzа, Proticza, Belimarkowicza.

Biedne to było chłopię, ten młodziutki król serbski! Wątły fizycznie, upośledzony na zewnątrz przez naturę a także umysłowo słabo rozwinięty, od wczesnego dzieciństwa swego patrzył tylko na swary rodziców, na brzydkie skandale dworskie, na nikczemne intrygi pałacowe. Ojciec buntował go przeciwko matce, matka przeciwko ojcu, otoczenie zaś podburzało go przeciwko obojgu. Wywieziony przez matkę za granicę, przemocą odebrany jej przez policją pruską wraca do ojca, aby przedwcześnie włożyć na swe skronie koronę królewską. W takich warunkach dojrzewa rychło, lecz dojrzewa fatalnie. Jako 16-letni młodzieniec obala rejencyą i sam bierze władzę w swe ręce. Sam też rządzi odtąd ,a rządzi samowolnie, nerwowo, źle i mściwie, z nową szkodą dla kraju. Znosi i przywraca konstytucye, zmienia ministrów, wypędza ojca i matkę a wreszcie żeni się z własną poddanką, *Dragą Maszinową*, kobietą starszą od niego, złych obyczajów i jeszcze gorszego charakteru, smutnej sławy *o wielkiej ambicyi*, która zupełnie opanować go zdołała. Stary Milan umiera daleko za krajem i nawet nie pozwala pochować się w ojczyźnie, matka królowa *Natalia* wyrzeka się syna, on tymczasem w objęciach sprytnej intrygantki rujnuje dalej kraj i naród. Nadzieja, że da mu ona potomka, następcę tronu, zawodzi. Staje się jasnem, że jeżli król z nią nie zerwie, nie ożeni się powtórnie, pozostanie ostatnim swego rodu. To wytwarza nową kwestyą, kwestyą o następstwo tronu. Zjawiają się na widowni pretendenci, książęta *czarnogórscy* no i starzy wrogowie Obrenowiczów, *Karageorgiewiczowie.* Wszyscy oni agitują i spiskują na swoją korzyść, a tymczasem król Aleksander, jakby nie widział otwierającej się przed nim przepaści — brnie dalej. Królowa Draga mści się srogo na wszystkich, którzy nie chcą jej uznać za prawowitą monarchinią, którzy nie mogą przezwyciężyć wstrętu do dawnej nierządnicy; obala ministrów i generałów, całe zastępy wpycha do

więzienia, demoralizuje armią, aż wreszcie postanawia następstwo tronu zapewnić jednemu z braci swych, *Nikodemowi Liuniewicy,* nałogowemu pijakowi i rozrzutnikowi. Król, ulegający jej we wszystkiem, ubóstwiający ją formalnie, godzi się na to. Rozwięzuje sejm — skupczynę, przeprowadza nowe wybory pod presyą niebywałą, aby nowy sejm uznał *Nikodema* następcą tronu.

To wreszcie wywołuje katastrofę....

Wiedziano ogólnie od dawna, że w *Serbii wre i kipi,* ale takiej katastrofy się nie spodziewano. *Tymczasem w nocy z dnia 10 na 11 bm. związani spiskiem oficerowie, wpadają na czele żołnierzy do pałacu, mordują w straszny sposób króla, mordują królowę, obu ich braci, trzech adjutantów,* trzech ministrów, *oddanych królowej i wielu innych zwolenników.* W dwóch strasznych, ponurych godzinach nocnych pada ofiar *trzydzieści, a rodzina królewska Obrenowiczów z krwi poczęta w krwi tonie.* Wybieglszy potem na miasto, oficerowie obwieszczają ludowi dokonaną zbrodnię i obwołują królem wnuka „czarnego Jerzego“, księcia *Piotra Karageorgiewicza,* mieszkającego za granicą. A rzecz znamienna, z 60,000 mieszkańców stolicy ani jeden nie ujmuje się za ofiarami, wszyscy, a wraz z nimi kraj cały, *witają wieść o zbrodni niemal z radością, stroją domy swe w chorągwie i zieleń.* Tworzy się potem rząd nowy, złożony z wybitnych obywateli pod przewodnictwem Awakumowicza, który nową zwołuje skupstinę celem prawnego wyboru *nowego króla.*

Lotem błyskawicy rozchodzi się wieść o tej strasznej zbrodni, popełnionej przez poddanych, przez oficerów na rodzinie władzy, po całym świecie, wzbudzając wszędzie grozę i przerażenie. I znów głos opinii wskazuje na *Karageorgiewiczów,* jako na głównych sprawców tej zbrodni. Zrywa się jedno wielkie pytanie: Ażali *Europa, ta Europa, która na śmierć skazuje morderców, puści płazem ten niesłychany mord polityczny, ażali dopuści do tego, ażeby* domniemany sprawca zbrodni, książę Piotr *Karageorgiewicz po stopniach zbroczonej krwią całej dynastyi — wstąpił na tron Serbii?*

To niemożliwe, wołają dzienniki. Innego atoli zdania są *rządy.* „To wewnętrzna sprawa Serbii!“ oświadczają gabinety w *Wiedniu, Petersburgu, Paryżu i Berlinie,* nic nas ona nie obchodzi. Dopóki w Serbii panować będzie spokój, my nie wkroczymy, a uznamy królem każdego kogo sobie Serbowie wybiorą.

Nazajutrz jednakże powstają kwestye; nie dlatego, iżby się oburzano bezkarnością tej zbrodni, lecz jedynie z tego powodu, że w Serbii walczą o wpływy dwa mocarstwa, *Austrya* i *Rosya,* a każde chciałoby mieć tam na tronie *swego stronnika.* Zjawiają się przytem nowe kandydatury, księcia *czarnogórskiego Mirki,* trzynastoletniego *Jerzego Karageorgiewicza,* syna Piotra, i inne. Ostatecznie skupczyna jednogłośnie ogłosiła królem Piotra Karageorgiewicza, który obejmie tron pod imieniem Piotra I.

A teraz kilka słów ogólnych. Prawdą jest, że rządy *Aleksandra i Dragi* przywiodły Serbią nad brzeg przepaści, że ciążyły nad nią wprost strasznie. Mimo to trudno uznać za słuszny *taki* sposób wyswobodzenia kraju z pod władzy znienawidzonej pary królewskiej. Jak jedna jest tylko prawda, tak jedna może być tylko zbrodnia i cnota. Za co karze się jednostkę, nie powinno bezkarnie uchodzić społeczeństwom i rodom królewskim. Dynastyą *Obrenowiczów* można było usunąć *w inny sposób,* a nie drogą zbrodni, przed której ogromem wzdryga się każdy umysł. Przyszłe też pokolenia inaczej sądzić będą tę sprawę, niż sądzą ją obecne dwory europejskie. Dzieje ludzkości wzbogaciły się o jeden znów wypadek, który dowodzi, jak daleko nam jeszcze do idealnych wyżyn, wskazanych jej przez *Chrystusa.....*

Jeszcze nie minęło straszne wrażenie tych wieści z *Belgradu,* aliści nowa zjawiła się wieść niepokojąca: wieść o zamachu na cesarza *Austryi, Franciszka Józefa.* Ta jednakże rychło okazała się mniej groźną, niż mniemano. Rzecz miała się tylko tak, że jakiś obłąkany żydek, Reich czy Bernstein, biegł za powozem cesarskim i bił weń grubą laską. Schwytano go i osadzono *w domu waryatów.* Lecz to także — znak czasu....

K. O.

Przegląd prasy.

List pasterski księcia-biskupa wrocławskiego przeciwko socyalistom i — Polakom robi wrażenie *manifestu przedwyborczego* i przez to, że podyktowały go względy stronniczo-polityczne tem większy wzbudza niesmak. Aby wyborców polskich na Górnym Ślązku odwieść od sztandaru narodowego ks. kardynał Kopp tłumaczy między innemi „że język i obyczaj ludowy są wysokiemi dobrami, ale nie najwyższemi dobrami człowieka“ i niedwuznacznie występuje przeciwko prasie polskiej tamże jakby nie była katolicką. Chociaż ks. kardynał robi wyznanie, że *„nie jest jego zadaniem być przewodnikiem i doradzcą w politycznych sprawach,* jednak każe słuchać kościoła w tych sprawach. Nie można się dziwić, że gdy odczytano ten list pasterski w kościołach berlińskich, parafianie przyjęli go szemraniem i objawami oburzenia.

Prasa polska potępia ten akt kardynała Koppa jednozgodnie. *„Dzien. Pozn.“* stwierdza, że „list ten wymaga od Polaków dość wyraźnie poświęcenia względów narodowościowych dla interesów przyszłego życia, a nie wymaga żadnej abnegacyi podobnej od naszych prześladowców.“ W innem miejscu *„Dziennik Pozn.“* pisze, że list ten

„bądź co bądź musi być uważanym jako ochrona dla interesów centrum a zarazem stwierdza, że interesa te muszą być poważnie zagrożone, jeżeli najwyższy dostojnik kościelny tak dosadnią niesie im pomoc.“

„Dzien. Berl.“ pisze:

„W ten sposób wojując nie przysparza się chyba kościołowi wiernych wyznawców, odstręcza się raczej najreligijniejsze żywioły!“ I podnosi, że książe-biskup cytuje z „Górnoślązaka“ zdania, które w tym związku nigdy nie mogły być umieszczone, a które jemu widocznie przez fałszywych doradzców zostały podsunięte.“

„Orędownik“ w artykule „Germanizator w purpurze“ pisze:

„Powody odezwy ks. Kardynała są natury politycznej, to nie ulega kwestyi. Ks. Kardynał nie wahał się porzuczyć obowiązków swoich dusz pasterskich z obowiązkami obrońcy Centrum, stronnictwa politycznego katolickiego, którego władza na G. Ślązku zagrożoną została przez budzącego się ducha narodowego w ludzie polskim. Książę Kościoła doskonale zrozumiał, że krzewicielem tego samopoczucia narodowego jest część prasy polskiej na Ślązku, w nią więc postanowił uderzyć i to uderzyć tak, aby ją zgnieść na miejscu. Ks. Kardynał posunął się tak daleko, że jedno z pism polskich wymienił po imieniu i zagroził odmową sakramentów św. tym, którzyby je nadal trzymali lub czytywali.

„Doświadczenie uczy, że podobne występy książąt Kościoła w sprawach politycznych pod pozorem religijnym przeważnie chybiają celu. To samo przypuszczać można o liście pasterskim obecnym; wywoła on tylko jeszcze większe rozgoryczenie pomiędzy stronnikami obydwóch obozów, a widoków polskich kandydatów tam, gdzie o nich mówić można, w niczem nie zmieni. Ludność zaś górnoślązka jest politycznie dosyć uświadomiona, aby nie uważać sobie za grzech czytywania polskich gazet, szczerze katolickich, tylko dla tego, że nie wyznają one zasad stronnictwa centrowego.“

„Postęp“ pisze:

„Sądzimy, że ten okólnik w niczem się nie przyczyni do osłabienia polskie

akcyi wyborczej na G. Śląsku, ale raczej jeszcze ją spotęguje. Lecz bądź co bądź wydawanie takich okólników jest znamiennym objawem w czasach dzisiejszych, praktykowanym nie tylko jedynie przez biskupa Koppa.“

O dotychczasowej działalności biskupa wrocławskiego czytamy w „Dzien. Pozn.“ co następuje:

„Że ks. Kopp gorliwym jest germanizatorem, o tem wiemy nie od dzisiaj. Już po objęciu katedry wrocławskiej, a powołaniu go do izby panów, wygłosił on tamże mowę, w której, jeżeli nas pamięć nie myli, potrącając o nowe stanowisko kościelne (był dawniej biskupem w Fuldzie) użył poetycznie brzmiącego porównania do człowieka, który, idąc przez kwietną łąkę, nieuchronnie zdeptać musi i kwiecie na niej swobodnie rosnące — porównania, którego w owym czasie ani jeden ze słuchaczy wcale dobrze nie rozumiał. Przed paru laty mieliśmy sposobność dokładniejszego zrozumienia enigmatycznego porównania, gdy nam się dostało do ręki orędzie ks. biskupa Koppa do podwładnych sobie księży, zawierające instrukcye germanizacyjne. A tak obecny list pasterski jest tylko dalszym ciągiem dawniejszych, w tym samym duchu i kierunku przez księcia biskupa i kardynała dawanych wskazówek.“

„Goniec Wielkopolski“ stawia rzecz jasno, sądząc, że ks. kardynałowi należy „być duszpasterzem ale nie propagatorem niemczyzny.“ *„Wielkopolanin“* wypowiada przekonanie, że list pasterski wywoła na G. Śląsku „rozgoryczenie.“ *„Gazeta Gdańska“* w artykule „Ks. kard. Kopp przy robocie“ pisze:

„Ks. kardynał Kopp w tym samym liście swym pasterskim nic więcej nie robi, jak że sakramenta św. i pociechy kościoła daje lub odbiera Polakom nie według miary ich grzechów, ale według ks. kardynała planów politycznych. Lub czy może tak przypadkiem się stało, że w tydzień przed wyborami grozi ten kardynał polityczny górnoślązkim Polakom? Oni mają głosować nie na katolika-Polaka tylko na katolika-Niemca! Das ist des Pudels Kern. Czy może dla rzeczy nabożnych przybył przed kilkoma dniami radzca ministeryalny z Berlina i naradzał się z księdzem kardynałem?

„To cała tajemnica świętobliwego oburzenia ks. kardynała. Za prawdę, nie dość hakatystów, nie dość pogan i pogańskiej kultury niemieckiej — nam Polakom trzeba się jeszcze bronić we własnej wierze przed katolikami Niemcami.“

W *„Pielgrzymie“* czytamy:

„List pasterski będzie miał na razie bardzo złe skutki — ale przyczyni się *ogromnie do zwycięstwa polskości na Górnym Ślązku.*“

Zaatakowany w liście pasterskim *„Górnoślązak“* odpowiada pod adresem ks. kardynała Koppa co następuje:

„Ruch nasz polski narodowy na Górnym Śląsku, na czele którego stoi zarząd polskiego Towarzystwa wyborczego na Śląsk, wrogiem Kościoła i duchowieństwa nie był i nie jest, stoi na podstawie zasad Kościoła naszego świętego, praw jego świętych zawsze na każdym kroku bronił i bronić będzie, przeciwko duchowieństwu jako takiemu nie występujemy, oddajemy mu cześć i szacunek przynależny, do czego nas zobowiązuje nauka Kościoła naszego. Natomiast zwalczamy i zwalczać będziemy księży germanizatorów, bo germanizacyę przez księży uważamy za stokroć gorszą, aniżeli germanizacyą świecką. Katolikami byliśmy, jesteśmy i będziemy, bo uważamy, że sprawa katolicka w naszym narodzie polskim jest podstawą i podwaliną dla rozwoju naszej sprawy polskiej i z nią jest nierozerwalna.“

Dzienniki warszawskie i galicyjskie piętnują także w sposób dosadni ten list pasterski. Całkiem odosobnione stanowisko w prasie polskiej zajął — *„Kuryer Poznański,“* który pod redakcyą ks. Zimmermanna przestał być polskiem pismem a zamienił się na organ dla *centrowców polskiego języka.* Pismo takie w naszych warunkach nie ma racyi bytu, musi wywołać silną reakcyę — tak iż kierownicy „Kuryera“ niebawem się przekonają, że pismo oddaje im niedźwiedzie przysługi. Otóż co o tym debincie „Kuryera“ pisze *„Goniec“*:

„Że niemieckie gazety bądź jak bądź wywierają presyą na koła klerykalne, to zdaje się nie ulegać wątpliwości. A świadczy o tem „Kur. Pozn.“, który w ostatnich dniach stał się bezwzględnym monitorem wyspy tumskiej.

„Żadne pismo polskie nie mogłoby się zdobyć na takie maślenie agitacyjnej robocie ks. kard. Koppa, na jakie zdobył się katolicki w polskim języku wychodzący „Kur. Pozn.“ Ten „Kuryer“ nie znajduje żadnego słowa ku obronie krzywdzonej ludności polskiej na Górnym Śląsku, natomiast potępia wszystkich obrońców sprawy narodowej i polskiego ludu, a kadzi takiemu „Katolikowi“, którego cała Polska uważa dziś za renegata. „Kuryer“ jeżeli wprost nie broni germanizującego duchowieństwa na Śląsku, to stara się je usprawiedliwić rzekomym niezrozumieniem praw i potrzeb naszego ludu (sic!)

„Wczorajszy artykuł „Kuryera“ jest istnym hymnem pochwalnym dla centrum, a potępieniem ruchu narodowego i „Górnoślązaka“, któremu zarzuca krzykactwo, nie wchodząc w to, kto je wywoływał, czy „Górnoślązak“, czy gnębiący lud polski centrowi germanizatorzy, którzy nie gardzili żadnemi środkami, którzy nadużywali konfesyonału, ambony i t. d., byle odstręczyć lud od pism i ludzi, idących w kierunku narodowym.“

Przedwyborczy list pasterski ks. Kardynała miał zaraz praktyczny skutek. Wielu księży górnoślązkich wystosowało do czytelników gliwickiego „Głosu Ślązkiego“ listy niemieckie, w których nakazują *bojkotować* „Głos“ i piszą w tym guście:

„Gdybyś Pan nie uczynił zadość mej prośbie, z którą się do Pana zwracam jako przyjaciel i proboszcz miejscowy, natenczas — jakkolwiek z ciężkiem sercem — *będę musiał Pana wykluczyć od przyjęcia Sakramentów świętych.* Proboszcz (podpis.)“

Są to rzeczy dotąd niebywałe. *Polacy berlińscy* zatem zaprotestowali na *wiecu* przeciwko temu przedwyborczemu listowi pasterskiemu . Na wiecu tym p. Berkan — według „Gońca“ —

„oświadczył, że list pasterski przyczyni się do wzmocnienia polskiego ruchu narodowego i osiągnie skutek zamierzonemu wręcz przeciwny. Inni mówcy obwiniali ks. kardynała o schlebianie się rządowi i wyrzucali mu, iż korzyści centrum stawia ponad korzyści kościoła.“

Z innych spraw naszych przedewszystkiem *proces gnieźnieński* ozwał się echem bolesnem w całej naszej prasię. I tak *„Dzien. Pozn.“* pisze:

„Wszelkie dążności i deklamacye wszechpolskie, na których prokuratorya pruska oskarżenia swe funduje, są w oczach prokuratora i sądu zdaniem naszem równie śmiesznemi, jak w oczach każdego rozsądnie myślącego Polaka. Jestto więc tylko pokrywą ze strony rządu, pod którą chowa się dążność przygnębienia i uniemożliwienia wszelkiego zapoznania się z dziejami własnego narodu dla uczniów polskich. „Nauka karygodnym czynem dla ucznia!“

W *„Dzien. Berl.“* czytamy o zasądzonych między innemi:

„O chęci ukrywania tych niewinnych kółek przed rządem nie mogło wogóle być mowy. Wogóle czyniony dziś z tego powodu odnośnym młodzieńcom zarzut wpływania na sprawy publiczne, albo nawet, o zgrozo! przygotowywania oderwania pewnych dzielnic od państwa pruskiego, jest czemś tak potwornem, że w głowie nie może się pomieścić myśl, iż są w Prusach ludzie, jeżeli nie czem innem, to wiekiem i dostojeństwem poważni, którzy zarzut ten na seryo czynią 16—18 letnim młodzieńcom polskim, których potem za to spotyka hańbiąca kara więzienia.

„Przepraszamy, *nie* jest hańbiącą kara więzienia w tym przypadku.

„Byłaby nią, gdyby byli zostali skazani na więzienie za dzikie wybryki, jakich się często dopuszczają ich rówieśnicy niemieccy, dla naszych młodzieńców jest ona *zaszczytną,* bo nawet sam prokurator gnieźnieński musiał przyznać, że ich *„przewinienie“ z idealnych* pochodziło przyczyn i pobudek.“

Przy wyborach *Niemcy* w Poznańskiem uciekali się do różnych sztuczek i operowali stekiem kłamstw przeciwko Polakom celem ujęcia sobie wyborców. *Dr. Prümeres,* radzca archiwalny a kontrkandydat mec. Chrzanow-

skiego na zebraniu przedwyborczem w Poznaniu przemawiając jako „historyk" przesadził wszystkich w kłamliwem i tendencyjnem malowaniu dziejów Księstwa, które oczywiście w jego pojęciu jest ein urdeutsches Land — praniemieckim krajem. *„Dzien. Pozn."* zauważa że „według logiki p. Prümersa mogliby Francuzi nazwać Brandenburgię francuskim krajem.

W zapale agitacyjnym nawet urzędnicy niemieccy zapuścili się zadaleko. Jeden z przyjaciół naszego pisma nadesłał nam odezwę niemiecką do wyborców w okręgu ostrowsko-odolanowskim, którą dołączono do *urzędowego* Kreisblattu. Chociaż podpisując odezwę nie wolno urzędnikom wymieniać swego tytułu urzędowego cały szereg burmistrzów, komisarzy i landratów, wymienia swe tytuły. Przykre wrażenie robią na tym dokumencie polskie nazwiska jak Gierszyński, Jakubowicz, Mazurkiewicz, Wodniakowski, Walewski, Zakobielski itd. Ci „pragermanie" wołają z innymi Niemcami: deutsch für immer!

Uderzającem było zachowanie się *ks. Tascha,* który jak wiadomo na mocy kompromisu centrum z Polakami, naszymi głosami był wybrany w okręgu wschowskim. Nie dotrzymał on zobowiązania kompromisowego! Otóż co piszą o tem z *Leszna do „Dziennika Pozn."*:

„Nie mogę ochłonąć z oburzenia na ks. proboszcza i dziekana *Tascha, który się sam postawił na kandydata do parlamentu przeciwko ks. radzcy Mojżykiewiczowi.* Komitetu wyborczego centrowego tu wcale nie ma — sprężyną poruszającą jest ks. Tasch i wszelkie odezwy wychodzą z pod jego pióra.

„Wypada mi wspomnieć o oburzeniu, jakie Polaków musiało ogarnąć, że ów centrowiec-niemiec ks. Tasch kazał podczas uroczystej procesyi o pół do 10-ej przed południem tuż przy murze u wejścia do kościoła z ulicy rozdawać odezwy!"

Sprawą *wieca w Janikowie* pogrzebanego tak sromotnie przez p. Bolesława Brodnickiego z W. Kałudy, nie możemy się dziś zająć z powodu ogromnego nawału materyału. Nadmieniamy tymczasem tylko, że nasz korespondent upoważnia nas do wymienienia swego nazwiska tak, by nikt nie powątpiewał, że autorem listu chłopa polskiego jest — chłop polski. Jest nim *p. Władysław Marcinkowski, parobek z Janikowa.*

Red.

Jeszcze o wykładach.

Rzeczowa krytyka jest pomiędzy nami zjawiskiem tak ni… kiem, że jeźli się wyjątkowo pokaże, wywołuje (o ile wierzyć można panu S. N. z „Dzien. Pozn.") „powszechne zdumienie."

Rozumie on jeden tylko motyw naukowej krytyki, t. j. niechęć osobistą, czem daje dowód małości duchowej, wobec której wszelkie komentarze wydają się zbyteczne, broni zaś zaczepionych przezemnie zdań, nie prostując żadnego z podniesionych zarzutów i obracając się w pustych frazesach.

Nie biorę za złe panu S. N., że nie zna się na filozofii, bo to stanowczo nie jego wina, ale że odzywa się o rzeczach najzupełniej sobie obcych. Gdyby miał o niej choć blade wyobrażenie, wiedziałby, że „warunki, jakie spowodowały komitet do zajęcia się bezinteresownie szerzeniem wiedzy" najmniejszego wpływu wywierać nie mogą na to, czy prelegent używa słusznych określeń, czy też nie właściwych. Wiedziałby dalej, że ścisłość wyrażenia jest pierwszym i koniecznym warunkiem myślenia filozoficznego i obowiązuje tak samo w naukowym, jak mianowicie w popularnym wykładzie, gdzie słuchacze łatwiej niewłaściwem wyrażeniem w błąd wprowadzeni być mogą.

Dla poznańskiego filistra przedstawiają, być może, słowa „zwątpienie" i „wątpliwość" pokrewne znaczenie, podtrzymuję jednak moje pierwotne zdanie, że dla filozofa są to pojęcia zasadniczo odrębne.

W kwestyi kapitału i pracy (temat ks. Zimmermanna) zdaje się być pan S. N. równie mało obeznany. Przedewszystkiem twierdzenie jego, że jest to „temat w Poznaniu dotychczas nie traktowany" mija się z prawdą, gdyż dr. Szuman mówił na ten temat przed kilku miesiącami w wykładach ludowych w sposób wyczerpujący i zajął, naszem zdaniem, stanowisko więcej naukowe i bezstronne.

„Wytworzony skutkiem zastosowania liberalizmu na polu ekonomicznem kapitalizm" (!) to nie jest rozsądne zdanie, ale stek bezsensów, którego p. S. N. sam nie rozumie, a ks. Z. który, bądź co bądź, mówił rozsądnie, jakkolwiek może nie zupełnie bezstronnie, za ten rodzaj obrony naszemu pseudokrytykowi wdzięczny na pewno nie będzie.

Wyrażenie, że ani w literaturze naszej, ani w niemieckiej nie spotkał p. S. N. „podobnie ścisłego, a progmatycznego przedstawienia kwestyi socyalnej" może być tłomaczone albo kompletnem nieuctwem, albo wstrętną skłonnością do płaskich pochlebstw. Jeżeli zaś pan ów twierdzi, że stanowisko, „na którem stoi ks. Z. najzupełniej się zgadza z pojęciami naszego społeczeństwa," to przeczy sam sobie, a ks. Z. prawdziwie niedźwiedzią oddaje przysługę.

Bo jeżeli dotąd w literaturze polskiej, ani niemieckiej nie było podobnej pracy, to zkąd wzięło społeczeństwo poznańskie zapatrywania, zgodne z poglądami ks. Z.? — a jeżeli ks. Z. mówił tylko to, co wszyscy wiedzą, to po co się wogóle trudził?

Słuchacz.

Głosy od Przyjaciół.

Z pod Orchowa 10-go bm.

Szanowna Redakcyo!

Z przedostatniego numeru „Pracy" dowiedziałem się, iż na Kujawach nie odbył się wcale wiec przedwyborczy, a lud nie jest obeznany dostatecznie z prawem wyborczem i sposobem głosowania. Trzeba nad tem mocno ubolewać, albowiem lud przez nikogo nie poinformowany łatwo może się dać uwieść osobom niepowolanym — oszustom. Aby to uzasadnić opiszę fakt z dnia 4-go b. m. który niech służy za przestrogę na przyszłość wszystkim polskim wyborcom, a mianowicie na Kujawach i w powiatach Mogileńsko-gnieznieńsko-strzelińskim. — Otóż w czwartek 4-go bm. chodził po tutejszej okolicy nieznany, porządnie ubrany mężczyzna z kuferkiem i rozdawał pomiędzy lud roboczy kartki wyborcze i „Odezwę do pracującego ludu polskiego". Kartki nosiły napis: Stanislaus Wierbiński, Drechslermeister in Gnesen. Brombergerstr.-Wilhelmstr. Ecke.

Treścią odezwy jest urąganie i wyzywanie na szlachtę i panów, których autor przedstawia jako dręczycieli i wyzyskiwaczy ludności roboczej; podburza lud przeciw panom przedstawiając im w malowniczy sposób, jak oni dążą do zmarnowania ludu, a mianowicie przez przyjęcie taryfy celnej jak i głosowanie za powiększeniem floty i wojska. Odezwa ta *wywołała niezmierne zamięszanie pomiędzy ludem,* który z wielkim trudem wreszcie dał się przekonać o fałszywych zamiarach socyalistów. Przesyłam Szanownej Redakcyi taką odezwę z usilną prośbą aby raczyła lud ostrzedz przed ludźmi z grona socyalistów, którzy poprowadzą lud nasz na manowce, jeźli inteligencya nie będzie szczerze, jawnie i śmiało pracować nad jego oświatą.

St.



TĘCZOWY SZCZĘŚCIA KWIAT.

Drukiem „Pracy.“

Dział illustrowany



Noc świętojańska.

(DWA FRAGMENTY.)

Spokojna, cicha — w czarnych spowita gaz zwoje —
Dyamentowych płomyków iskrząca ogniami —
Utuliwszy już do snu bledziutkie powoje —
Spłynęła — i wionęła bzów tchnieniem nad nami...

I ciemno się zrobiło; wnet świateł tysiące
U przystani w Poznaniu zalśniły wśród cieni --
Siejąc blaski słoneczne i złotem skry lśniące —
Rumieniąc Wartę łuną różowych płomieni...

Zabrzmiała pieśń znajoma; po fali głos płynie...
Płyną świeże i wonne wśród dźwięków równianki....
Z barwnych kwiatów daninę dziś Warcie-dziewczynie
Nasz Poznań składa cały; stokrotki, rumianki —
Narcyzy, bzy ją wonią oblały: — to „Wianki..."
Lśnią blaski barw, klejnotów — jak w cudów krainie...

* * *

W girlandy strojna kwiecia — łódź sunie po wodzie;
Z pod wioseł — srebrne bryzgi pryskają spienione...
Tłum wszystkie oczy razem kieruje w jej stronę,
Za chwilę już i inne ukażą się łodzie...

Drzą gwiazdy na niebiosach—pod wodą i w wodzie...
Muzyka dźwięczy tęskna, gdzie świateł rój płonie
I Warta nasza w lśniącej, świetlanej koronie —
Bieleje wpośród kwiatów, jak dziewczę w ogrodzie...

A fala tłumów kipi i tłoczy się wrząca
Owiana łuną blasków złocisto-różową;
W źrenicach wszystkich radość lśni światłem miesiąca —
U ciebie tylko szare obłoki nad głową...
A może niewidzialny ktoś szepnął ci słowo
Co struny duszy echem żałosnem potrąca?...

O dawnych „Wiankach" może z tęsknotą myśl marzy —
Lub złotą gwiazdę szczęścia tumany zasnuły...
Ochoczej pieśni „dzielnych" nie słuchasz wioślarzy —
Twój wzrok na świetne barwy i blaski nieczuły...

Gdy serce łaknie ciszy, spoczynku, wytchnienia—
To nuży je śmiertelnie gwar wrzący dokoła;
Gdy z dymem się rozwieją młodzieńcze rojenia --
Słuch razi nuta piosnki ochocza, wesoła...

Chcesz spocząć wpośród ciszy — zdaleka od ludzi —
I myślom dać znużonym nieznaną swobodę —
To porzuć ten tłum gwarny, co niechęć twą budzi...
Chodź ze mną... podaj rękę — tam ciebie zawiodę —
Gdzie cisza wskrzesi w sercu pragnienia, sny młode —
Gdzie leśnej woń wilgoci — żar w piersiach ostudzi...

Spi szara ziemia wśród sosen woni
Spowita miękkim wilgotnym mchem...
Tu w ciszy serce tak głośno dzwoni —
Pierś dyszy lasu tchem...

Patrz — tajemniczy paproci dyadem
Uśpionej cichą okala skroń...
Lśni chłodna rosa łez drżących gradem...
Jedyna słabych broń...

Nie — od namiętnych księżyca oczu
Ochrania śpiącą zazdrosny cień...
I szemrze srebrny zdrój na uboczu
Serdecznych echem drgnień...

Daremnie blady księżyc wyciąga ramiona —
Jak długie snopy mlecznych świetlonych promieni...
Daremnie chciałby senną przytulić do łona —
Nie przedrze się przez gęstą, ponurą sieć cieni...

Daremnie białe czoło pochyla w rozpaczy —
Konarów niewzruszone nie puszczą go kraty...
Zaklętej swej królewny i dziś nie zobaczy —
Do której miłość wieczną zaprzysiągł przed laty...

Ku Warcie więc wzrok zwraca — świetlane śląc listy —
W nich srebrem opisuje tęsknoty męczarnie...
Wracajmy z nim — gdzie płonie snop iskier rzęsisty...
Patrz — Warta cała w ogniach — a złote latarnie —
Jak gwiazdy nad nią błyszczą... W objęcia ją garnie
Duch nocy... pieści piękną, całuje bezkarnie...

* * *

A fala tłumów kipi i tłoczy się wrząca
Owiana łuną blasków złocisto-różową;
We wszystkich oczach odblask goreje miesiąca —
I ogni sztucznych smugi migają nad głową...

Świst słychać: Złota strzała pomyka w obłoki —
Tam nagle w kulę światła przeradza się jasną —
I pęka z trzaskiem — zdobiąc widnokrąg szeroki —
Błyskawic złotych snopem... Zabłysły i gasną...

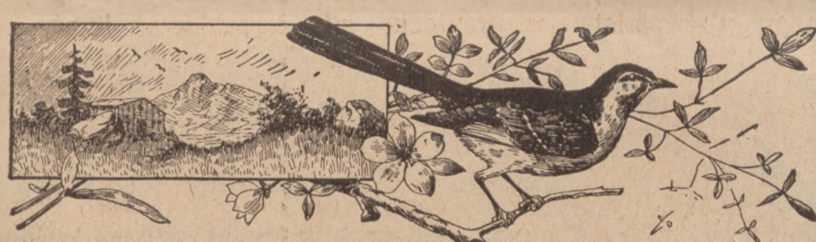
Znów z innej płomiennego wylewa się łona
Deszcz złoto-szafirowych gwiazd, świetny, uroczy...
Chwil kilka wzrok olśniony czaruje — i kona...
W świetlanem blasków morzu tłum kąpie swe oczy...
Patrz — tam znów potwór złoty po niebie się toczy —
I — sycząc — swe ogniste rozwija ramiona...

* * *

Zgasły iskry ostatnie świetlanej kaskady —
Co jak złota w powietrzu wytrysła fontanna...
Senną Wartę namiętniej całuje cień blady;
Już go wkrótce rozłączy z nią zorza poranna...

Popłynęły ku miastu jak rzeka spieniona
Szare fale, szumiące wśród gwaru rozmowy
Do miękkiego wciąż jeszcze cień tuli się łona —
Choć na wschodzie majaczy już odblask różowy...

Marya Remiszewska.



Odsłonięcie pomników
króla Jana III i hetmana Żółkiewskiego

w Żółkwi dnia 24-go maja r. b.
(Do illustracyi.)

W uzupełnieniu sprawozdania z uroczystości jubileuszowych w Żółkwi, zamieszczonego w numerze 24-ym „Pracy“, dodajemy, że podczas odsłonięcia pomników króla Jana III i hetmana Żółkiewskiego przemawiał wiceprezydent miasta Lwowa p. Ciuchciński.

„W dzisiejszą uroczystość odsłonięcia pomników dwóch największych mężów i bohaterów narodu polskiego — mówił — jak niemniej w dzień jubileuszowy przesławnej ich siedziby, staje i miasto Lwów, stolica kraju z hołdem pamięci cieniom St. Żółkiewskiego i króla Jana, z szczerem życzeniem dalszego rozwoju i pomyślności dla miasta Żółkwi.

— Trzysta lat mija właśnie od czasu powstania tego miasta, trzy wieki ono już przeżyło w doli i niedoli, chwili rozwoju i upadku, tryumfu i nieszczęść swych, jak i całej Rzeczypospolitej.

— Dziś wdzięczne mieszczaństwo tego grodu stawia pomniki założycielowi tego grodu i królowi, który je wyniósł wysoko, otoczył ojcowską opieką.

— Ale kamienne te posągi nie samym są tylko wyrazem wdzięczności. I miana tych bohaterów, wyryte w sercach każdego Polaka, zawierają w sobie hołd dla naszej przesławnej przeszłości, dla wodzów tych i bohaterów, którzy jak orły spadali na wroga w obronie granic Ojczyzny i jej ludu.

— Czcijmy dziś pamięć tego wielkiego króla, który zdeptał straszne niebezpieczeństwa panowania półksiężyca i obronił chrześcianstwo i cywilizacyę.

— Czcijmy tego hetmana - bohatera, który osiwiałą w służbie publicznej głowę za kochaną Ojczyznę położył na polach Cecory.

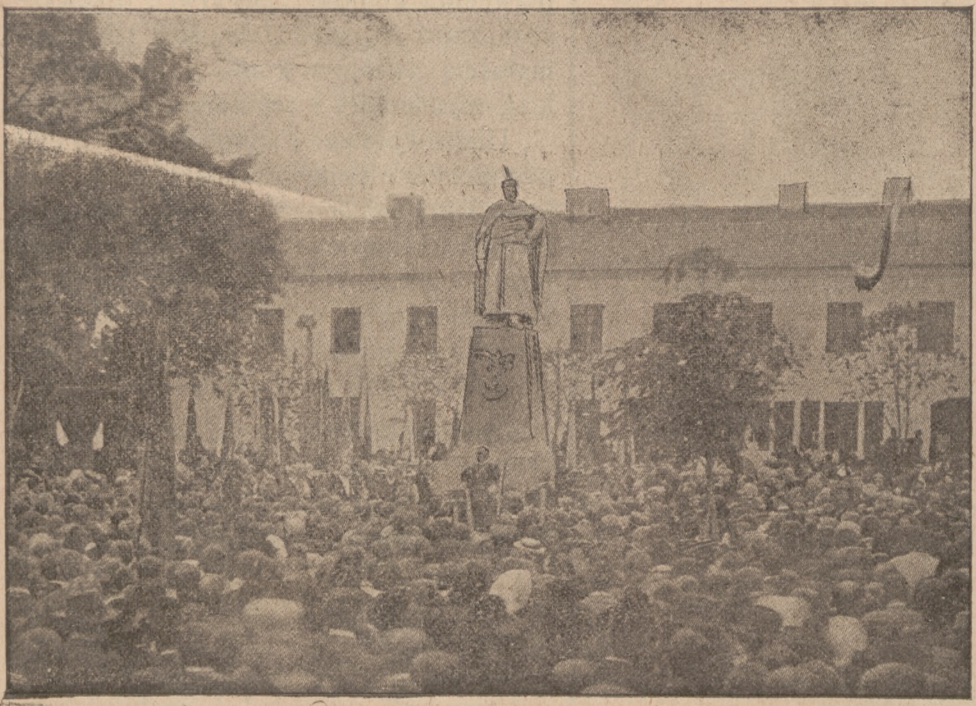
— W tej, dla całego narodu polskiego uroczystej chwili schodzi się w tem miejscu w tej Żółkwi powszechny głos modlitwy: Boże daj wieczny odpoczynek bohaterom narodu, wielkiemu hetmanowi i wielkiemu królowi, dla Ojczyzny naszej zmiłowanie — zeszlij pokój, wolność i błogosławieństwo.

— W chwili tak podniosłej i uroczystej staje i reprezentacya stolicy kraju, przynosząc pokłon wielkim mężom i bohaterom Żółkiewskiemu i Janowi III., a jest dla niej tem większą i tem rzewniejszą ta pamiątka, że i miasto Lwów zawdzięcza im bardzo wiele.

— Wspomnę tu tylko ową opiekę łaskawą, którą hetman Żółkiewski miasto Lwów otaczał jako komisarz królewski w r. 1616, którego listy i pamiątkę z czcią przechowujemy.

— Nigdy on rady ani pomocy nikomu z mieszczan nie odmówił, choć większą część swego życia przepędził na kresach w walce z pogaństwem.

— A już zasługi króla Jana III. są wiekopomne, a w naszem mieście istnieje pomnik spiżowy tego bohatera, który chciał, aby ten Lwów był pięknym i obronnym, a zwykł był mówić u nas we Lwowie lub u nas w Żółkwi, tak te grody ukochał i czuł się tu w domu, otaczał czcią i opieką domy



Z 300 letniego jubileuszu Żółkwi. Odsłonięcie pomnika króla Jana III w Żółkwi. Mowa wiceprezydenta miasta Lwowa p. Ciuchcińskiego przed pomniałem.

Boże i znał prawie każdego z mieszczan osobiście i losem się jego interesował.

— Reprezentacya stolicy kraju bierze więc żywy udział w dzisiejszej uroczystości, składa hołd wielkiemu hetmanowi i wielkiemu królowi a pozdrowienie żółkiewskim obywatelom, życząc miastu rozwoju w dniu jubileuszu."

* * *

Jakież wrażenie robią pomniki? Sobieskiego jest znacznie udatniejszy w proporcyach i wyrazie; figura Żółkiewskiego jest mniej udatną i robi niekorzystne wrażenie. Tak się dawniej stawiało przy miejskich drogach „Świątków" rzeźbionych.

Jeszcze jedno. Komitet obchodowy składał się z sześćdziesięciu osób, głównymi zaś działaczami, jak w każdem większem ciele było kilku zaledwie, a mianowicie pp. Obertyński Emil, Postępski, dr. Opieński, sekretarz Mańkowski, dalej zaś pp. Zdzisław i Adam Obertyńscy. Ich to zasługą, że zdołano rozdmuchać ofiarność wśród okolicznego obywatelstwa i przyjęcia sute, których byliśmy świadkami, i wystawność dekoracyj dokonane zostały drogą składek. Jedni tylko OO. Dominikanie wymówili się od wszelkich składek. Klasztor jeden z najbogatszych, nie chciał nawet dostarczyć drzewa na stoły dla biesiadników.

Wieczorem miasto było iluminowane. Znać tu było prywatną ochotę i zapał, gdyż w niektórych oknach paliło się po kilka świec, gorzały lampiony. Nawet na dalszych uliczkach miasta błyszczała w oknach iluminacya na cześć tych, którzy się w pamięci jako założyciele i dobroczyńcy Żółkwi zachowali.

S. P.



Odsłonięcie pomnika hetmana Żółkiewskiego w Żółkwi.

Helena Kurcewiczówna.

(Do illustracyi.)

„Przy kolasce ze złamaną, osią którą pan namiestnik Skrzetuski spotkał w drodze, stały dwie niewiasty, jedna ubrana w lisi tołub i takąż czapkę z okrągłem dnem, twarzy surowej, męskiej; druga była to młoda panna, wzrostu wyniosłego, rysów pańskich i bardzo foremnych. Na ramieniu tej młodej siedział spokojnie raróg i rozstrzępiwszy pióra na piersiach, muskał je dzióbem.

„Namiestnik osadził konia aż kopyta wryły się w piasek gościńca, i rękę podniósł do czapki, zmieszany i niewiedzący, co ma mówić: czy witać, czy o raroga się dopominać? Zmieszany był jeszcze i dlatego, że z pod kuniego kapturka spojrzały nań takie oczy, jakich jak życie swoje nie widział: czarne, aksamitne, a łzawe, a mieniące się, a ogniste, przy których oczy Anusi Borzobohatej zgasłyby, jak świeczki przy pochodniach. Nad temi oczyma jedwabne, ciemne brwi rysowały się dwoma delikatnymi łukami, zarumienione policzki kwitnęły, jak kwiat najpiękniejszy, przez malinowe wargi, trochę otwarte, widniały ząbki, jak perły, z pod kapturka spływały bujne, czarne warkocze. „Czy Juno we własnej osobie, czy inne jakoweś bóstwo?" — pomyślał namiestnik, widząc ten wzrok strzelisty, pierś wypukłą i tego białego sokoła na ramieniu. Stał tedy nasz porucznik bez czapki i zapatrzył się, jak w cudowny obraz, i tylko oczy mu się świeciły, a za serce chwytało go coś, jak ręką".

Henryk Sienkiewicz.

Jazda polska.

(Do illustracyi.)

Niedawno temu wyszła bardzo ozdobna książka p. B. Gembarzewskiego o „Wojsku Polskiem", zawierająca okres od 1815 do 1830 r. Obecnie p. St Wołowski podaje w jednym z dzienników warszawskich ciekawe, a w książce po-



Helena Kurcewiczówna. *Pior Stachiewicz*

minięte szczegóły o bojowem przygotowaniu polskich ułanów i ich wyrobieniu. Artykuł jego podajemy w streszczeniu:

„Polska jazda z przed 1830 r. — pisze p. Wołowski, przechowywała bohaterskie tradycye wojen napoleońskich, a przygotowanie jej do boju było gruntownie obmyślane i zupełnie odpowienie do ówczesnych potrzeb. W pierwszych dziesiątkach lat zeszłego wieku wymagano przedewszystkiem od jazdy wielkiej spoistości, jedności, prędkiego łamania szyku i formowania się, oraz indywidualnego przygotowania żołnierza do pojedynkowej walki na pałasze lub lance. W tych wszystkich kierunkach polska jazda, pozostająca wraz z całem wojskiem pod zwierzchniem dowództwem Wielkiego Księcia Konstantego, doprowadzona została do zupełnego wyrobienia. Nawet przewyższała wiele pułków napoleońskiej kawaleryi, którym szybka formacya i wyjście w pole nie dozwalały na idealne wydoskonalenie się na placu musztry. To ciągłe doskonalenie się niejako w rytmicznych obrotach przyniosło jednak pewien uszczerbek hartowi jazdy. Szczególniej konie, nawykając do łamanych, krótkich zwrotów, do nieustannych wolt i galopów z prawej i lewej nogi traciły na wytrzymałości: na polowych przymiotach. Przepisy dla jazdy z przed 1830 r. są bardzo dobrze opracowane i wybornie charakteryzują ówczesne wymagania od jeźdźca i konia.

Konie jazdy polskiej z przed 1830 r., były dobrej, średniej miary, silnej, okrągłej budowy ciała, o wyniosłych karkach a w ich ogólnym typie przebijał się pewien odcień szlachetnej wschodniej krwi.

Jeżeli bojowy koń polski z przed 1830 r. pod względem szybkości lub sposobności brania przeszkód mógłby nie dorównać dzisiejszemu wysoce poprawnemu koniowi „pół-krwi“, przewyższał znów o wiele lekkością i wytrzymałością zwrotów konia jazdy francuzkiej, niemieckiej i regularnej rosyjskiej.

Ułani wprawni i wyrobieni lancą byli postrachem nieprzyjacielskiej jazdy i niejednokrotnie jeden ułan zsadzał z konia po kilku kirasyerów, biorąc ich ostrzem pod pancerz. Również były wypadki, że dzielny szermierz na lance, otoczony przez piechurów, nie dał im się i wychodził z walki zwycięsko.

Jazda polska wierzyła zatem w białą broń i rzucała się śmiało do otwartej walki, a jej gruntowne bojowe przygotowanie dodawało jej otuchy i pewności.

Polscy ułani w pierwszych trzydziestu latach zeszłego stulecia dochodzą po części do tej sławy, co słynna husarya. Ułani polscy wyrobili sławę lancy, oni nauczyli nią władać, rozbijać przy jej pomocy szeregi i stworzyli w tym kierunku szkołę i tradycyę.“

Nasza rycina przedstawia ułana polskiego z 1830/31 r. *— ski.*

REZYGNACYA

Stanęła przy mnie, cicha, milcząca,
Szata jej z nici szarych utkana,
A taka lekka jak morska piana;
Lice jej blade jak twarz miesiąca,

Swe wązkie, białe, chłodzące dłonie
Do mej zbolałej zbliżyła głowy
I zaszeptała jak liść brzozowy:
„Czemuż, o dziecię, dusza twa płonie?“

. . . .



Ułan polski z roku 1830/31.

Walczyłem, pani, wszystkiemi siłami.
Duszę włożyłem w moje dzieła, twory,
A nędze ludzi obrałem za wzory! — —
Śmiechem witali, com ja tworzył łzami!

Kochałem silnie i z wiarą głęboką
Tę moją białą i słodką dziewczynę!
Była mem szczęściem, kochanie jedyne...
Przyszedł pan możny, — zabrał czarnooką.

Matka została. Ona mnie tuliła,
Kiedy cierpienia szarpały mą duszę,
Sił dodawała, koiła katusze,
Lecz śmierć okrutna i tę mi zabiła.

Pustka wokoło, pustka straszna wszędzie,
Nie mam do życia, ni pracy ochoty,
A w sercu morze bezdennej tęsknoty,
Morze goryczy, — i tak wiecznie będzie.

. . . .

Dotknęły skroni szarej pani ręce:
Ból ustępował stale, choć powoli;
I dziś mi smutno, lecz już nic nie boli,
Bo „rezygnacya“ przyszła w pomoc męce.

Jadwiga Wyrybkowska.

Z chwili.

Ilustracye nasze zamieszczone poniżej przedstawiają portrety zamordowanej pary królewskiej w Białogrodzie i proklamowanego króla



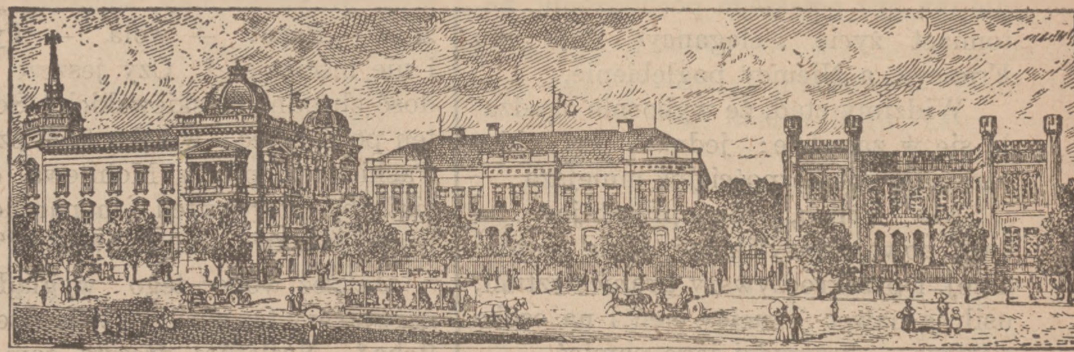
† Królowa serbska Draga.

Serbii, księcia Piotra Karageorgiewicza, oraz Konak w Białogrodzie, w którym odegrała się straszliwa tragedya w nocy z dnia 10 na 11-go bm. Bliższe szczegóły krwawej tej rewolucyi podajemy na innem miejscu w dziale politycznym.

Obrany jednogłośnie dnia 15-go bm. przez zebranie narodowe w Białogrodzie królem serbskim książę Piotr Karageorgiewicz, który bawi obecnie na ziemi szwajcarskiej w Genewie, urodził się w roku 1846 i ma za żonę córkę księcia czarnogórskiego. Dwaj jego synowie, wykształceni w Genewie, bawią obecnie w Petersburgu.

Książę Karageorgiewicz oświadczył, że przyjmuje koronę królewską i że tytułować się będzie — Piotrem I.

ski.



Konak (pałac królewski) w Białogrodzie.

Róża.

Z szmaragdowych liści zwoju
Do połowy wychylona,
Jak aksamit pieszczotliwa,
Jak gorąca krew czerwona.
Tchnąc woniami namiętnemi,
Jak zaklęta czaru kruża,
Nęci — wabi — oszołamia
Purpurowa, świeża róża.

Oko w oko, bez obawy,
Na płomienne patrzy słońce,
Roztulona w półuśmiechu,
Jak dziewicze usta wrzące,



† Król serbski Aleksander.

Jak dziewicza pierś stęskniona
Drży przeczuciem słodkich szałów,
Z pereł rosy, jak z łez srebrnych,
Biorąc świetny strój kryształów.

W swej królewskiej hardej pysze
Z ostrych cierni ma swe straże;
Jej ślą zapach drobne kwiaty,
Jak barwiste trybularze.
Jej wiatr ciche śle wyznania,
Do niej tęsknią gwiazdy srebrne —
I libelle mkną tęczowe
Do stóp róży, jak służebne.

A w wieczory księżycowe,
W orgii blasku — dźwięku — woni,
Rozkochany pieśniarz słowik
Z całej duszy pieśń jej dzwoni.
Rozkochany słowik śpiewa,
Skarb w tym śpiewie leży na dnie,
Ale róża nie rozumie,
Ale róża nie odgadnie!

Aż nareszcie kwiat wyniosły
Pierwsza lepsza zerwie ręka,
I odczuje wtedy róża,
Jak słowicze serce pęka,
I odczuje tęsknot władzę,
Gdy umilknie piosnka znana —
I miłości pragnąc będzie
Zwiędła róża zmarnowana....

a o.

Źródło natchnienia Chopina.

Napisał Zygmunt S. Słupski.

(Ciąg dalszy.)

Heine zbyt dobrze znał Chopina, aby mogło mu być obcem pochodzenie przymiotów jego muzyki; nie mógł też brać za jedno smutku Chopinowskiego z tak różnym sentymentalizmem niemieckim. Sam Chopin raz zapytany, jakby określił zasadniczy pierwiastek jego utworów, oświadczył, że w obcych językach nie znajduje na to odpowiedniej nazwy, a w polskim najbliższe wyrażenie: żal.

I w samej rzeczy, to żal, polski żal, ze wszystkimi jego odcieniami, od cichej rezygnacyi aż do wylewu burzy namiętności. A jednak Heine, ten bystry Heine, nie poznał się na tem, i nie umiejąc czy może niechcąc dostrzedz tej różnicy, nie waha się tu niemiecki rodowód wyprowadzać. Mówiąc nawiasem ten sam Heine w swych listach z Paryża mówi o nim jeżeli nie wprost niegrzecznie to z przekąsem, co tem mniej usprawiedliwione, że często z sobą przebywali a o żadnem nieporozumieniu nic nie wiadomo. Snać szowinizm żydowsko niemiecki wziął tu górę nad stosunkiem osobistym.

Ale wracając do jego charakterystyki, i Erlich, mniej więcej, to samo powtarza z tą jedynie zasadniczą różnicą, że podług niego ów smutek właś-

nie ma być polskiego pochodzenia, natomiast życie i elegancyę dała mu Francya, a Niemcy pogłębienie.

Widzimy ztąd, że wybornie zgadzają się w zasadzie: jednaki cel widoczny, a o sprzeczności już mniejsza.

Ale Erlich, nieprzestając na swej nowej klasyfikacyi, idzie jeszcze dalej, i przekroczywszy granice sztuki, usiłuje nawet rzucić cień i na osobę mistrza — krzywdzi jego pamięć.

W imię zapewne tej samej wyższej racyi, sfałszowawszy daty, na tak uzyskanej podstawie opiera twierdzenie, że opuścił kraj dlatego jedynie, aby uniknąć rewolucyi, gdyż jego szlachetnej naturze, zawsze były wstrętne wszelkie bunty.

Może to u Niemców za szlachetność by uchodziło, ale u nas ma inną, wcale niezaszczytną nazwę — szczęściem jednak Chopin zupełnie wolny od tej plamy.

Prawda, że raziły go burdy i hałasy; prawda nawet, że wyjechał do Londynu, aby nie być świadkiem, a tem mniej uczestnikiem rewolucyi paryzkiej — ale wtedy był już chorym, — to raz; a powtóre, co innego własna ojczyzna, a co innego też Francya i jej spory domowe, w które się nie chciał mięszać; jak co innego też zwyczajna burda, a walka za wolność swego narodu.

Chopin był już w Wiedniu, i tam go dopiero doszła wiadomość o wybuchu rewolucyi w Warszawie. Całkiem niespodziewanie zaskoczony, nie wahał się ani chwili, i mimo wątłej budowy ciała, mimo artystycznych planów na przyszłość, mimo nawet wyraźnego zakazu ojca, — już gotów był do kraju razem z Wojciechowskim wracać. „Bierz mnie choć za trębacza'' — w zapale błagał towarzysza. A gdy ten towarzysz nie chcąc go zabrać, chyłkiem się wymknął, Chopin pocztą za nim goni, i gdyby go był dopędził, ojczyzna z pewnością miałaby jednego obrońcę więcej, ale świat możeby dziś nie miał tylu chopinowskich arcydzieł.

Dusza się rwała do walki za świętą sprawę, a tu mu każą zostać bezczynnym wśród obcych, kiedy tam już bracia krew leją. Nie śmiał oczu na ludzi podnieść, wstyd go palił; a niechęć przez Polskę niegdyś ocalonych Wiedeńczyków, jeszcze go bardziej drażniła i przygniatała. Z początku łudził się jeszcze nadzieją pomocy Francyi, a zawiedziony, tembardziej upadł na duchu. Wieść o wzięciu Warszawy, całkiem go powaliła. Drżał o ukochanych. Już w rozgorączkowanej wyobraźni widział okrwawione trupy rodziców, siostry pohańbione, kochankę uprowadzoną, grób drogiej Emilki zbeszczeszczony. Prawie do szaleństwa przywiedziony, zaczynał już bluźnić. „Boże! — woła — Ty jesteś i nie mścisz się? Czy jeszcze Ci nie dość zbrodni moskiewskich? Sowiński, ten poczciwiec, w ręku tych szelmów! Paskiewicz, pies z Mohilewa, dobywa siedziby pierwszych monarchów Europy! Moskwa panuje światu!''...

Jakżeż wobec tego wygląda owo naiwne czy też złośliwe twierdzenie Erlicha? Najlepiej zresztą sam mistrz broni się przeciw tak potwornej potwarzy. Jego bowiem utwory, które w bólach swego narodu wyjęczał, najwymowniej świadczą o stanie jego ducha w owej dobie. Są to przecie obrazy rozpaczy tak strasznej, że prawie ogłupienia graniczącego z obłąkaniem.

Ale jeżeli jeszcze mało komuś tych dowodów, to wystarczy wspomnieć, że kiedy mu potem car ofiarował przebaczenie i honory, on te łaski carskie odrzucił, dając ambasadorowi charakterystyczną odpowiedź: że chociaż okoliczności nie pozwoliły mu czynnego



I, nowy król serbski.

wziąć udziału w walce, on jednak niemniej uznaje się na równi z braćmi winnym, ponieważ sercem był zawsze z nimi, więc też i los ich do końca chce dzielić.

I pozostał tułaczem mimo, że serce rwało się do swoich, mimo że codzień umierał z tęsknoty za ojczyzną, za ukochanymi. A jeżeli co mu było wstrętnem, to już chyba nie ta święta za kraj walka, którą się krytykowi pruskiemu, buntem nazwać podobało. Ale wstrętne mu natomiast były gwałty, zbrodnie, tyrania despoty. A to uczucie wstrętu — jak zapewnia George Sand — było w nim tak silne, że wolał się raczej na dobrowolne wygnanie skazać, wolał wszystkie męczarnie tułactwa, niż z blizka patrzeć na nieszczęścia ojczyzny.

Tych kilka tak dosadnych rysów, chyba zupełnie wystarcza, aby, wbrew twierdzeniom Erlicha, z pogardą odrzucić wszelkie podejrzenia co do jego uczuć, przekonań i wogóle charakteru narodowego, tak co do osoby jak i utworów mistrza, które tu w ścisłym stoją związku.

Tem mniej się też można dziwić, że go nad Spreą nie zrozumiano. Bo pominąwszy nawet cechy narodowe. i po zatem jeszcze muzyka Chopina zawsze będzie dla Berlińczyka mniej dostępną. Mistrz polski nie filozofuje, nie mierzy, ale idzie wprost za natchnieniem, bez względu na ustalone prawidła i reguły; mimo to jednak, nawet w uniesieniach namiętnych nigdy nie wpada w trywialność; wstręt czuł do wszystkiego co pospolite, nic też pospolitego nie tworzył. Jak dystyngowany w życiu, tak też zawsze wykwintny, miękki w swej muzyce.

Aby go zrozumieć, trzeba nietylko umieć patrzeć po za szablon, ale nadto, być równie dystyngowanym i wydelikaconym w swych uczuciach i upodobaniach. Lecz i to nawet jeszcze nie wystarcza; bo aby go w całej pełni aż do głębi pojąć, trzeba go odczuć — słowem, trzeba być Polakiem. Tylko Polak zrozumie Mickiewicza i wogóle naszych poetów — a przecie między ich poezyą a muzyką Chopina, istnieje ścisły związek przyczynowy, wszak to płody jednego ducha — obie na tym samym łanie i ze wspólnego pnia wyrosły, obie te same soki wykarmiły. Podobieństwo tu wpawdzie niepochwytne, nie da się ściśle ani skreślić, ani wskazać, ale nie mniej je serce polskie aż nadto wyraźnie odczuwa.

Ztąd też nawet różni nasi biografowie mistrza, raz zestawiają go z Mickiewiczem, to znów z Malczewskim lub Słowackm, a Kleczyński idzie jeszcze dalej, bo zestawiając jeden z nokturnów z poematem „w Szwajcaryi,'' przypuszcza, że oba te tak pokrewne duchem dzieła, zrodziło jedno i to samo uczucie.

I w samej rzeczy, nietylko ów nokturn, ale cała muzyka Chopina, i nietylko poszczególne poematy lub poszczególnych poetów, ale w czambuł całą poezyę polską silnie musi przypominać, jako jej siostrzyca, z tej samej matki zrodzona, pod jednym dachem wyhodowana.

(Dokończenie nastąpi)

Kwiat paproci.

(Legenda).

Przez bór ciemny, przez odwieczny,
raz szedł Chrystus w szacie białej.
Cisza była dookoła, cisza świetlna i

rozwiewna, jako echo zadumana, jako fletni tony rzewne. Słońce słało swe promienie, swe kaskady szczerozłote, by rozświetlić, opromienić Jego długą, ciemną drogę. Dzielne dęby, hoże lipy, smukłe klony i topole, liściem bujnym się okryły, rozesłały swoje cienie.

Słowik swe rozsypał trele, zawtórzyły inne ptaki, pieśń ku Panu popłynęła, pieśń na skrzydłach srebrnobiałych, niosąc korne dziękczynienia.

Jedna tylko paproć leśna stała smutna; zadumana, płacząc kroplą srebrnej rosy, zawodziła swoje skargi; skargi smutne, zajękliwe, niby wichrów polnych granie, skargi ciche, beznadziejne, niby deszczów głuche łkanie.

„Wszystko się raduje w Panu, słońce swoje śle mu blaski, kwiaty wonie, drzewa cienie, ptaki srebrne tony pieśni. Tylko ja nic dać nie mogę, nic mu w kornej złożyć dani, więc ronię łezki rzęsiste, opłakując smutną dolę.“

Wtem zadrżała paproć leśna, zachwyceniem wielkiem zdjęta, bo dostrzegła, bo ujrzała swego Ojca, swego Pana.

Gdy ją ujrzał Pan nad Pany, taką nikłą i ubogą, taką smutną i cierpiącą, dotknął usty liliowemi jej zielonych, drobnych listków.

„Kocham cię, bo krom miłości nic mi niemasz do oddania, kocham ciebie boś uboga, boś cierpiąca jest i smutna.“

I wnet stał się cud promienny, cud nad wszystkie cudy świata: pod dotknięciem warg liliowych wykwitł kwiat z promieni słońca, z jasnych barw jutrzenki tkany.

Wszystko wokół zaniemiało, w srebrnej utonęło ciszy, jedna tylko paproć drżała, niby wichrem kołysana.

Wówczas spytał Pan nad Pany:

„Co ci, biedna ty roślinko, czego drżysz tak bezustannie dziwnym, ciemnym lękiem zdjęta.

„Boję się“ — paproć szepnie, swoim cichym, kornym głosem: — „Ledwo w skromnej, jasnej krasie rozwiną się kwiaty polne, a już ginąć im przychodzi pod straszliwą kosą śmierci; ledwo wonne, krasne róże rozpłomienią się purpurą, woń czarowną śląc wokoło, już je zrywa syn człowieczy, swe miedziane wieńczy czoło. Więc się lękam, więc się trwożę, by oko złego człowieka nie dojrzało Twego daru, nie dotknęło srebrnych listków.“

Uśmiechnął się Pan nad pany, a uśmiechem swym jak słońcem opromienił i rozjaśnił ziemię, niebo dookoła. I przemówił głosem takim, że umilkły ptaki leśne w cudnych dźwiękach zasłuchane: „Prośba twoja wysłuchana. Paproci-kwiatu nie ujrzy oko w świat patrzące bez miłości, nie dosięgnie dłoń człowieka, co choć raz przez całe życie odtrącił rękę nędzarza z korną prośbą wyciągniętą. Kwiat paproci kwiatem dobrych, kwiatem czystych będzie zwanym, kto posiędzie kwiat paproci, temu szczęście, temu chwała!

Zaszumiały wszystkie drzewa, zaśpiewały leśne ptaki i rozniosły wieść o cudzie na wsze kraje tego świata.

. . . .

. . . .

Upłynęły długie lata, długie lata, wieki całe, a kwiat jasny, kwiat srebrzysty rośnie, kwitnie w leśnej głuszy, rozświetlając smutne mroki. Już i o nim wieść zamilkła, niby pieśni ton przebrzmiały, tylko brzozy, tylko buki, srebrne lipy i topole wciąż prowadzą rozhowory, niby gwarzą, niby radzą, czy nastanie, czy wybije taka chwila, taka chwila jasna, złota, kiedy przejrzą syny ludzkie, kiedy ujrzą kwiat paproci jako lilia kwiat przeczysty, jako słońce promienisty...

Czesław Halicz.

Tęczowy szczęścia kwiat.

Obrazek świętojański.

(Do illustracyi albumowej.)

I.

Burza! burza!

Pędzi, sadzi — na nas leci... coraz bliżej... bliżej... Straszna burza!

Popłoch rzuca między bydło, ludzi trwoży... Już dogania! Na nas wpada!

Hukiem grzmotu niebo grozi.

Strach ogarnia w polu i pod dachem... Wielka burza!

Walą gromy. Ryczą chmurne kolosy.

Świat zagładzić chce huragan, nie wstrzymany w swojej mocy, przepotężny w rozwichrzeniu — jak z zaświatów lecący, zolbrzymiały tabun dziki, rozwścieczony w swem nieokiełznaniu na ogromnych stepach strasznych w piekielnej pustyni...

Pędzi ślepo przed siebie.

Spiżową piersią druzgocze wszystko, co napotka w drodze...

Nie zna oporu!

Łamie każdą przeszkodę, z posad wyrywa — unosi.

Rozwichrzony — niewstrzymany w swej potędze dzikiej i nieokiełznanej — tratuje wszystko na drodze swem kopytem żelaznem, brutalnem...

Odporu nie zna i nie zna łaski!!.

Walą gromy. Ryczą chmurne kolosy.

Niesłychana, straszna nawałnica.

Jak z odmętów morskich głębin, z paszcz spienionych szumem siejące potwory — huczą fale, warczą fale, bezmierne w przestworze — ziemi całej grożąc zagładą.

Grom po gromie!

Echem grzmotów złorzeczą bez końca czarne czeluści, tchnące grozą upiorową...

A na strasznej z chmur tych czarnych bezgranicznej karcie — niezbadanej — niezgłębionej wszechświata księgi — płomiennemi głoski gniewu swego słowa tajemnicze — pisze wciąż ręką karzącą — Bóg!

Grom po gromie bije z chmur.

Pędzi na oślep huragan okrutny...

Zdeptał ludzki znój!

Nawałnica bez litości zmiata ludzkiej pracy plon!

Skrył się w chmury rozgniewany Bóg...

Biały dzień przemienił w noc i oślepiające błyski swej złości w ciemny ciska świat — hukiem gromów swoich głusząc grzeszny ród.

Ciężkiej pracy ludzkich rąk zaginie plon..

...Boże ocal! Odwróć karę straszną, Panie!

Wśród wzburzonych żywiołów groźnego wycia w ponurych cieniach migocą blaskiem żółtym ludzkich mieszkań okienka...

W drżących rękach płoną gromnice woskowe...

...Korzymy się, Panie, przed Twą wszechmocą!.. Odwróć gromy!.. Ocal, Boże, plon mizerny krwawej pracy ludzkich rąk!.. Ocal, Ojcze! Ojcze!

...I słabną gromy.

Gasną powoli zygzaki ogniste.

Oddala się coraz bardziej złowrogi żywiołów ryk... Odwraca się huragan groźny.

Powoli, powoli, milknie wyjąca wichura... Powoli ustaje wielka nawałnica.

Rozjaśniają się coraz więcej — bezdenne przepastnie, czarne chmur zwaliska — znikając powoli zupełnie...

Minęła burza.

Ucisza się szumiąca przyroda.

Uspokoiła się spienionych żywiołów walka.

Aż jasność słoneczna na obmyte błękity wypłynąwszy z czołem wypogodzonem — pogasiła resztki blasków gromnic, trwogi...

Zaróżowiło się niebo uśmiechem łagodnej dobroci...

To z zaobłocznych niebios bran wstąpiwszy na szczyt tęczy — wyjrzał okiem łaskawem Bóg Miłości...

I w wyciągnięte ku ziemi ramiona tęczowe — świat cały ujàwszy serdecznie — błogosławi z góry krzyżem ludzkich znojów...

II.

A kiedy po wielu dniach upałów czerwcowych, burza nareszcie świat od świeży ulewą, gasną znowu, jak codzień o wieczornej godzinie, płomienne zorze za słońcem zachodzącem.

Noc jedna minie — a do południa ani śladu nie zostanie z wczorajszego huraganu.

Jeno tej cudno-barwnej tęczy, co po burzy drżała przez chwilę na niebie, wyprężona od krańca do krańca... pozostał przecież ślad malutki na ziemi...

Kiedy się tęcza po wiosennej burzy czerwcowej — byle przed Sobótkową nocą — schyla po raz ostatni nad ziemią, zanim zblednie i zniknie — czuwają duchy leśne nad tem, by choćby koniuszkiem swego ramienia dotknęła ona ciemnego boru...

Wielka to ich tajemnica.

Nikt też nie odgadnie, co i jak sobie one duchy poczynają, by ściągnąć koniec tęczy w głąb swego cichego królestwa...

Dość, że zawsze uda im się na jedno oka mgnienie zwabić tęczę w najprzepastniejszą knieję, gdzie podle tajemniczego jeziorka leśnego, w zaroślach niedostępnych czatują pilnie, zbudzone szumem ulewy, psotniki pod postacią czerwonych grzybów.

Z chwilą, gdy się jeno tęcza dotknie głębin boru, duchy te skradną jej potajemnie rąbek malutki, nieznaczny...

I odtąd — lubo na niebie zagasła tęcza barwna od dawna — koniuszek jej chwieje się jeszcze długo tam, w leśnej gęstwinie... na krzewie bujnym wspaniałych liści paprociowych...

Nie dojrzałyby go tutaj ludzkie oczy...

Rąbek tęczowy widzą jeno robaczki leśne, uwijające się nad jeziorkiem.

One też po kolei przylatują nad wybrany krzew paproci... I co się który robaczek dotknie go, to zaraz odleci — sam świecąc w ciemności.

Krążą one co wieczór pod drzewami, światłem swem tajemniczem przypominając ludziom wiejskim, że w noc Świętojańską — zaledwie zapłoną na górach ognie Sobótki, a strumieniami wianki popłyną dziewicze — w głębi boru wybrany a ukryty krzew paproci zakwitnie przedziwnym, czarodziejskim kwiatem tęczowym, zakwitnie na jedną tylko noc...

Szukajcież go, ludzie, boć to szczęścia kwiat!..

III.

Poszły dzieci w świat.. przed oczy...

Ot, dola sieroca!

Takie to wybiedzone i głodne, bez sił — a idzie... idzie na służbę do ludzi...

Może będą dobrzy ludzie, może źli — któż przeczuje sierot los... Ot, będzie — co Bóg da!

Chłopak pewnie będzie pasał bydło w polu pod lasem i ukręciwszy z wierzbiny płaczliwej fujarkę pastuszą — wyśpiewa na niej czasem przed wieczorem piosenkę smutną o opuszczonej mogiłce swej matki — nieboszczki, co zawcześnie od nich odeszła na zawsze...

A siostrzyczka młodsza od niego trochę, ostanie może w jakiej chacie wiejskiej, żeby kołysać dzieci mniejsze od siebie i usypiać je do szczęśliwego snu rzewną śpiewką o swej niedoli sierocej...

Idą dzieci w świat...

Zapada mrok na ścieżkę pod lasem...

A w lesie już czai się noc, by lada chwila płaszcz swój ciemny rzucić na błądzących...

Cisza staje się coraz bardziej przerażająca, gdy wszystko powoli milknie w przyrodzie...

Cienie coraz większe, coraz potworniejsze — wysuwają się z lasu i kładą się na dróżynę, a z ich strasznych oczu wylatują robaczki świętojańskie i latają pod ścianą czarnego boru, same sobą oświetlając mroki...

Góry w dali zniknęły zupełnie w ciemności..

Szerokie pola i łąki zostały gdzieś bezpowrotnie i tylko wzgórza, lasami poszyte, falują bez końca na drodze małych podróżnych...

— Boję się, Stachu.. boję się iść dalej! — szepce po długiem milczeniu dziewczątko do brata.

— Chodź, Zochno, chodź jeszcze kawałeczek drogi, nie bój się... Mamy zajść tędy do jakiejś chaty...

— Dziad mówił, że to niedaleko będzie, a my już tak długo idziemy, że mnie już nogi zbolały... i nie ma nijakiej chałupy, ni ludzi.

— Chodź, chodź... jeszcze troszkę...

I błądziły dalej sierotki.

Aż naraz w ciemności zupełnej zatrzymały się, nie mogąc iść dalej... Stały na brzegu przepaści, nie widząc jej i żadnego nie przeczuwając przed sobą niebezpieczeństwa...

Przysiadły dzieci oboje na chłodnej murawie zroszonej obficie po zachodzie słońca...

Dziewuszka rozpłakała się, a chłopczynie również nie wiele brakło do wybuchu łez...

Wtem... kędyś zdala... niby błyskawica, rozświetliło coś mroki nocy.

Może to ognie Sobótki zapaliły ludzie na przeciwległych wzgórzach... ale to hen, daleko...

Przeraziły się dzieci niemało dziwnego blasku... i odwróciły się od onej jasności, wzrok wlepiając przed siebie...

A w cieniach tajemniczej nocy świętojańskiej zaświeciła przed dziećmi naraz jakaś postać nieziemska...

Zochna w trwodze zasłoniła zapłakane oczy, lękając się spojrzeć w twarz tej leśnej pani, która do siebie wabiła czułe sierotki... ukazując im w swej ręce, jakby na przynętę, jakiś kwiat cudny o tęczowych barwach olśniewających...

Strach, jaki Stacha ogarniał w tej chwili, nie był wcale mniejszy... ale chłopak, nie odrywał wzroku od zjawiska, patrząc ciekawie przed siebie...

I naraz przypomniał sobie chłopak, jako słyszał nieraz we wsi swojej opowiadających pastuchów o takiej leśnej pani, co w noc Sobótki, wykradłszy z wybranego krzewu paproci, w gęstwinie boru, cudowny szczęścia kwiat tęczowy — wabi nim potem błądzących po lesie ludzi... Działa ona jednak rozmyślnie na ich zgubę!.. Szczęście zaś zdobyła już dla siebie i nie da go sobie odebrać ludziom, szukającym kwiatu paproci... Najczęściej wtrąca ich w przepaść bezdenną w górach, lub topi w niebezpiecznych bagnach czy jeziorkach leśnych...

I przypomniał sobie Stach w tej samej chwili, że dziś przed wieczorem we wsi jakiejś widział dziewczęta wijące wianki...

Więc to dziś wigilia świętojańska!

Ale zanim odezwał się do siostry, by się zwierzyć przed nią z tego przypomnienia, gdy Zochna wśród łkania rozpaczliwego, jęknęła boleśnie:

— Mamo moja! mamo!..

Odrazu zniknęło widziadło — jak gdyby się we mgle rozwiało...

A dokoła głosy ludzkie zawołały jednocześnie:

— Kto tu płacze?.. Kto tu wołał?..

Dwie sierotki, klęczące tuż nad krawędzią bezdennej przepaści, otoczyło w porę jeszcze kilku myśliwych, z których jeden, najpoważniejszy — dobry ojciec bezdzietny a zamożny — dał zbłąkanym w lesie małym podróżnym — tęczowy szczęścia kwiat... dał sierotkom serce: przytulił oboje do siebie, zabrawszy do domu, jak własne...

Kazimierz Kalinowski.

Z puszczy Białowieskiej.

Napisał

Henryk Sienkiewicz.

(Ciąg dalszy).

Oto np. ściany izby całe ubrane są w rogi jelenie, daniele i łosie... Przez małe okienko połyska w świetle księżyca żubr bronzowy, a dalej stoi nieruchoma puszcza... Po wieczerzy wychodzimy na ganek — i na majdan. Widno, pogodnie. Mgła już znikła. Konie, skupione przy wozie, chrupią obrok. Jak cicho! ale jak cicho! przestronno, poważnie, dobrze! Oko, choć przy księżycu, widzi, że tu sosny jakieś odwieczne, wynioślejsze niż gdzieindziej. Może dlatego nie wlazły żydom w kieszeń. Nikt też nie potrze-

buje robić z nich miotły dla wymiecenia jakiej, niezbyt czystej, hipoteki. Czasem tam popłynie cicho która z tych matron Lśną lub Narewką, ale to rzeki zamałe, by cała Białowieża mogła niemi wypływać — sosny więc stoją ogromne, strzeliste i teraz oto księżyc gra po nich, jak grał sto lat temu; oświeca ich czuby, wdziera się w przerwy między gałęźmi i upada na grunt puszczy, w kształcie długich białych snopów i pasem. Rzekłbyś: duchy przechadzają się wśród kolumn. Prawdziwe czarodziejstwo leśne. Głębokie cienie i tuż drgające plamy srebrne! Coś tam porusza się, coś żyje! Tylko czekać jak zaśpiewa dziwo-żona. Ale i bez tego chciałoby się choć zaraz iść w głąb.

Tymczasem zbliża się ku nam gospodarz. Jestto młody jeszcze człowiek, o twarzy zamyślonej, i trochę posępnej, jak zwykle ludzie leśni, którzy większą część życia przepędzają w samotności. Nasz zapewne od dzieciństwa chował się w puszczy a może nietylko on, ale i jego ojciec i dziad, bo urzędy leśników przechodzą z ojca na syna.

— Czy panowie słyszeli jelenie? — pyta przeciągłym głosem.

— Nie. Czy można je ztąd słyszeć?

Leśnik patrzy przez chwilę na gwiazdy.

— Tylko słychać jak rozpoczną. Teraz, panie, bekowisko. Samce straszą się po całych nocach. Taki ryk, że człowiek niezwyczajny i spaćby nie mógł.

Jakoż nie trzeba było długo czekać. Krótki, urwany, chrapliwy ryk zagrzmiał nagle wśród ciszy i natychmiast odpowiedział mu drugi. Konie przy wozie, jako pochodzące z równin, i nieprzywykłe do lasów, ni do podobnych głosów, targnęły za postronki, przestały jeść owies i strzygąc uszyma, poczęły chrapać niespokojnie. Tymczasem cała puszcza rozbrzmiała na około, w samym bowiem zwierzyńcu, na skraju którego stoi chata, jest przeszło sto sztuk jeleni. Zwierzyniec to nielada. Stanowi go sześćdziesiąt włók lasu, ogrodzonych częstokołem — lasu, tak dzikiego, a miejscami bagnistego, jak każdy inny. Są tam osobne części dla żubrów, dzików i jeleni. Głosy tych ostatnich rzeczywiście nader są przykre i ponure. Ryk składa się z krótkich, urywanych, gardłowych brzmień. Chwilami przechodzą one w przeciągłe chrapliwe jęki lub basowe, stłumione stakatta, w których nadzwyczaj wyraziście znać gniew, rozpacz lub zaciekłość. Samcy wyzywają się w ten sposób i straszą.

Wśród nocy rozegrywają się podczas bekowiska prawdziwe dramata natury. Leśnik nasz podpatrywał je niejednokrotnie. Na księżycowych polankach, wśród bagien i zarośli, samce toczą bój na śmierć i życie. Karki i grzbiety ich, powyginane w kabłąk wysileniem, prą się wzajemnie. Rogi uderzają o siebie; czasem się plączą — a wówczas zczepieni zapaśnicy wodzą się wzajemnie po polance. Gardziele ich ryczą i harczą. Nozdrza dymią — na około zaś z krzaków i między drzewami widać przy księżycu wdzięczne głowy łań, czekających na rezultat walki. Rankiem leśniczy często znajduje trupy samców. Często stają się one łupem kłusowników, gdyż zapamiętawszy się, nie słyszą kroków człowieka. Korzystają również z takich walk wilki i rysie. Wilków wprawdzie mało jest w puszczy: co więcej, rozdrażniony jeleń broni się zaciekle; ale przed rysiem, rzucającym mu się na kark z drzewa, nie może się uchronić.

Nazajutrz rankiem wyszliśmy pod przewodnictwem leśnika, obiecano nam bowiem widok żubrów. Po dniu można się było doskonale puszczy przypatrzeć. Przedewszystkiem uderza w niej i odróżnia ją od innych lasów mieszanina drzew. Jednolity las znajduje się w częściach pojedyńczych straży, ale na większości przestrzeni mieszanina przeważa. Sosna, dąb, jesion, osika, świerk, rosną tu obok siebie w bezpośredniem sąsiedztwie. Spoglądając w dal — widzisz wszystkie odcienia zieloności — od ciemnej, aż do jasnożółtawej. Rozmaitość ta bawi oko i odejmuje puszczy posępny, jednostajny charakter. Drugą cechą puszczy jest wysokość drzew. Dążąc do światła, którego tylko wierzchołkami zachwycić może, każde drzewo nie rozrasta się tam szeroko, ale strzela w górę wyniosłym, pozbawionym gałęzi pniem, który dopiero u wierzchołka rozkłada się w gałęziastą koronę. Lipy, które w ogrodach przykrywają cieniem gałęzi takie szerokie przestrzenie — tu podobne są raczej do topoli. Są miejsca, gdzie las jest czysto lipowy. Owóż i w tych miejscach dostrzegamy przedewszystkiem gładkie, smukłe pnie, podobne do szeregów masztów, ustawionych obok siebie i nakrytych jedną zieloną kopułą. Dąb nie krzywi się w puszczy, nie związuje w węzły, ale wyrasta, jak trzcina. Sosny mają czterdzieści łokci do pierwszych gałęzi. Młody las całą siłą pędu pragnie wydostać się do światła — wyrasta więc cienki, gonny — rzekłbyś: drzewo o grubości myśli dopiero wówczas, gdy już załatwiło się z wysokością i wierzch w słońcu kąpać może. Stare drzewa stoją jednak dość rzadko. Młodzież pod niemi przeważa. Tylko w części, zwanej Browskiem, w Nieznanowym Rogu i koło Zamczyska, znajdują się miejsca, pokryte jednolitym starodrzewem, stojącym w zbitych masach. Ale tam też, u stóp olbrzymów, z powodu wiecznego mroku młody las rosnąć nie może; tam ledwie gdzieniegdzie tuli się paproć blada, rdzawa — zresztą grunt pokryty jest tylko uschłem igliwiem, zwiędłym liściem, próchnem z umarłych dawno drzew, które nocą świeci błękitnie — i zwalami. W tej części, którą przechodziliśmy teraz olbrzymy stoją pojedyńczo, jak strażnicy, jak ojce. Pod niemi, młoda gęstwina się zieleni. Grunt zwierzyńca, niski i wilgotny, w miarę, jak posuwaliśmy się naprzód pochylał się coraz bardziej i stawał się miejscami bagnisty. Wytężaliśmy wzrok, czy gdzie wśród zieleni nie zobaczymy żubrów. W puszczy możnaby ich szukać całe tygodnie, ale w zwierzyńcu łatwiej je wypatrzeć. Chłopi z Bud, których trzeba nająć umyślnie, znalazłszy stado, naganiają je na zwiedzających i wówczas, schowawszy się za sosny, można przyjrzeć się mu dokładnie.

Należy tylko uważać, by nie wychylić się zawcześnie, bo spostrzegłszy ludzi przed sobą, spłoszone zwierzęta zmieniają natychmiast kierunek i nikną, nim oko pochwycić zdoła ich kształty. Przez długi czas szliśmy w milczeniu, wytężając wzrok i nie widząc nic.

Naokoło odzywało się tylko kucie dzięciołów w spróchniałe sosny, krzyk sojek i żołn. Droga stawała się błotnistą. Gdzieniegdzie błyszczały dość głębokie kałuże wody, w których kąpią się jelenie. Miejscami widać było wyraźnie odciśnięte w błocie ślady potężnych racic żubrowych — ale na żubry nie mogliśmy trafić. Natomiast coraz częściej pierzchały w oddali jelenie, których rudawa odzież miga, jak błyskawica, wśród zieloności. Puszcza stawała się gęstszą. Nakoniec zeszliśmy stadko łań tak blisko, że można się im było dokładnie przyjrzeć.

Krótko to jednak trwało. Wkrótce wysmukłe szyje poczęły się chwiać i podnosić, rozwarte, ruchome nozdrza badały niespokojnie powietrze, nastawiane uszy poruszały się szybko — i nagle stado mignęło, zaszeleściały zarośla. Kilka grzbietów błysnęło po nad krzakami i znikło.

Zrobiliśmy mały wypoczynek. Tymczasem przyjechał nadleśny, który wysłał budników na poszukiwanie żubrów. Była obawa, że, nie wiedząc, gdzie jesteśmy, mogli pognać stado w inną stronę. Nagle, w oddali, poka-

zał się jakiś wieśniak i szedł spiesznie, jakby nam chciał co zwiastować.

— A co tam? są żubry? — spytałem go.

Chłop zwrócił na mnie wielkie, jakieś przestraszone niebieskie oczy — ogarnął niemi całe zgromadzenie, i przeszedł spiesznie, nie odrzekłszy ni słowa. Uderzyła mnie jego twarz. Była wychudła, blada a w spojrzeniu miał coś nieprzytomnego.

— To waryat — rzekł nadleśny. — Dobry człowiek. Nikomu nie robi nic złego. „Dobry mały.“ Błąka się tak po całych dniach — jakby kogoś szukał. Nocą przychodzi do Bud. Dają mu jeść. Biedne człeczysko.

Rzeczywiście był to wieśniak z Bud, który zwaryował — jak się zdaje — z przerażenia, w czasie ostatniej wojny tureckiej, w której brał udział jako żołnierz. Odesłano go do domu i odtąd przebiega w rozmaitych kierunkach puszczę, jakby kogoś poszukiwał. Do ludzi nic nie mówi. Spotkawszy kogoś, mija go z pośpiechem, rzucając mu to pytające i jakby przelękłe spojrzenie, które tak silnie utkwiło mi w pamięci.

Szczególne spotkanie.... w puszczy.

Nadleśny odjechał. Po chwili zjawił się jeden z budników.

— Schowajcie się, schowajcie! — wołał. — Zaraz będą szły tędy.

Skoczyliśmy coprędzej do sosen — żubry szły rzeczywiście.

Zwiastował je trzask suchych gałęzi, łamanie się krzów i drzewek. Gdy całe stado pędzi z pośpiechem, sprawia w puszczy taki łoskot, że wśród ciszy można go posłyszeć na dwie wiorsty. Ale tym razem były to pojedyńcze sztuki. Naprzód w zaroślach zamigotały dwa czarne ciała, które, to zbiegając się, to rozbiegając, sunęły ku nam z nadzwyczajną szybkością rosnąc z każdą chwilą. Były to dwa stare, olbrzymie samce, co łatwo było poznać z ich garbów i łbów, pokrytych obfitemi kudłami, zwieszającemi się w kształcie długich bród pod szczęką dolną. Ujrzawszy nas, czy też zwietrzywszy, zwróciły się nagle i przeszły o jakie półtorasta kroków, skacząc lekko przez leżące zawały drzewne.

Ponieważ za nami las był zupełnie podszyty, wkrótce straciliśmy je z oczu. Po pewnym czasie znowu kilka sztuk ukazało się między drzewami, ale jeszcze dalej, niż poprzednio. Prawdziwie dobrze przypatrzeć się tym wspaniałym mieszkańcom puszczy mogliśmy dopiero w końcu zwierzyńca. Spore stado, ruszone przez budników, zatłoczyło się w ten kąt, przez który i nam wypadało wracać do domu. Posłyszawszy nawoływanie, zaledwie zdążyliśmy schronić się za drzewa, gdy ze wszystkich stron posypało się kilkanaście sztuk. Były tam stare samce, młode byczki i krowy z cielętami. Niespodzianie połączyło się z niemi i stado jeleni, które również schroniło się w to zacisze poprzednio. Wówczas otoczyła nas cała menażerya puszczy. Krasne łanie biegły bezładnie, becząc, za niemi zaś ostatni podążał jeleń, jakiś zwycięzca z wczorajszej walki, uwieńczony potężną koroną rogów. W przeciwieństwie do stosunków niezwierzęcych, ogromne te rogi właśnie zapewniły mu wierność małżonek.

Teraz biegł za niemi w ciężkim galopie, przechylając przeciążoną głowę na grzbiet. Ręka mimowoli szukała strzelby, której brać ze sobą do puszczy nie wolno. Cały korowód przesuwał się nie więcej, jak o czterdzieści kroków. Ani jeden strzał nie byłby chybił. Żubry, płoszone krzykiem budników, którzy zabiegali im drogę, kołowały czas jakiś tuż obok nas. Małe cielątka, czarne jak żuki, bezrogie, podobne do kulek, śmieszne, z rozwiniętym nad miarę łbem i przodem a marną resztą ciała, smyrgały z chyżością sarn przez wszelkie przeszkody. Jedna krowa biegła tuż koło częstokołu i tę widzieliśmy najlepiej. Małe jej nietylko nie zostawało, ale uprzedzało jeszcze matkę. Gdyby było ranne, możeby się była rzuciła na budników, których żubry mniej się boją, niż ludzi przybyłych zdaleka i noszących nieznane im ubiory. Wogóle jednak żubry są płochliwe i gdy ranny jeleń rzuca się na strzelca nader często, żubr należący jeszcze do stada, niemal nigdy. Natomiast stare samce, chodzące pojedyńczo, są zuchwałe, złe i bywają niebezpieczne. Widocznie starość, odłączenie i ciągła samotność usposabia ich posępnie i gniewliwie.

Czasem, a zwłaszcza zimową porą, taki pojedynek staje napoprzek drogi, jak gdyby szukał zaczepki i nie ustępuje nietylko pojedyńczemu człowiekowi, ale i gromadzie całej. Widząc zbliżających się ludzi, wozy i konie, poczyna kiwać swą olbrzymią brodatą głową, toczy krwawemi oczyma, wydaje głuchy mruk, podobny do chrząkania i chrapania zarazem — i rzuca się na oślep. Naówczas biada zaczepionym. To też chłop puszczański, jadący zimą saneczkami, gdy zobaczy zdala stojącego na drodze pojedynka, zjeżdża natychmiast w las i stara się objechać olbrzyma jak najdalej. Bywają także wypadki, że w ostępie rzuca się niespodzianie na leśnika. Wówczas jedyną ochroną, jeśli napadnięty nie ma broni, lub jeśli nie chce strzelać, jest: uciekać naokół cienkiego drzewa, bacząc na obroty napastnika i zwracając się wedle tychże obrotów. Naokół grubej sosny, która zasłania ruchy zwierzęcia, dogania ono z łatwością strzelca, depcze go i rozmiażdża racicami, potem porywa na rogi i ciska w górę.

Pewien stary leśnik, którego nazwiska nie pamiętam, opowiadał jednemu z naszych towarzyszów, iż dwa razy w życiu napadany był przez żubra. Raz schronił się pod pień leżący i wyciągnął się wzdłuż, przyciskając ciało do drzewa, jak mógł najszczelniej. Żubr nie mógł go deptać, że zaś przy pniu była wklęsłość, nie mógł także podłożyć pod niego rogów. Jednak że zaciekły zwierz nie odstępował go przez kilka godzin. Starzec opowiadał potem, iż zdawało mu się, że trwało to wieki całe. Drugi raz wyratował się ucieczką, sposobem wyżej wspomnianym.

Jeżeli postać żubra jest wspaniała i straszna zarazem, to i siła jego nie jest mniejsza. Dowodem tego jest wypadek, jaki niedawno zdarzył się w Budach.. Chłopi puszczańscy, siedząc we wsiach, położonych koło biegu rzeczek i strumieni, mają przepyszne pastwiska, a co zatem idzie i bydło tak piękne, jakiego gdzieindziej nawet w wielkich gospodarstwach nie znaleść. Jestto wspaniała leśna rasa o wysokim zadzie, niskim przodzie i kościach okrągłych — rasa bardzo mięsista i mleczna, hodowana z zamiłowaniem i starannością. Ponieważ jednak wsie puszczańskie leżą czasem po pięć i sześć mil w głębi puszczy i gospodarzom daleko było jeździć do dworów trzymających stadniki, zakupili więc sobie składkowym sposobem olbrzymiego buhaja, który miał stale w Budach rezydować. Na nieszczęście, tuż do Bud przypiera częstokół żubrowego zwierzyńca. Buhaj, wyrwawszy się w nocy, obalił dwa przęsła częstokołu, wszedł do zwierzyńca i spotkał się z starym pojedynkiem.

Zaczęła się walka, przy której obecni byli rozbudzeni chłopi. Próbowali nawet przerwać ją krzykiem i drągami, ale usiłowania te nie przyniosły najmniejszego skutku. Zapaśnicy parli się łbami, lub odskakiwali od siebie, aby po chwili zewrzeć się nowem strasznem uderzeniem. Po kilku chwilach buhaj padł. Chłopi pouciekali, żubr zaś bódł go jeszcze przez pewien czas z wściekłością. Nazajutrz, w dzień znaleziono byka z rozdartym brzuchem, z wnętrznościami na zewnątrz — prócz tego wszystkie kości kręgowe karku miał pogruchotane i zmiażdżone.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Niniejszy numer jest

przedostatnim

w bieżącym kwartale, więc czas największy ***zapisywać***

„PRACĘ"

na nowy kwartał.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany* każdego czasu do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 markę 25 fen.

Uwaga: Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę z ***Poznania.***

W numerze 12-tym rozpoczęliśmy druk bardzo pięknej, dwutomowej powieści, osnutej na tle stosunków alzackich z ostatniej wojny francusko-niemieckiej p. t.

Pod pruskim zaborem

Powieść jest bardzo zajmująca, rozczulająca i owiana prawdziwą miłością ojczyzny.

Początek bardzo obszerny tej powieści — cały tom pierwszy i dużo z tomu drugiego — otrzyma każdy nowy abonent gratis i franko.

Nadto zamieszczać będziemy cały szereg przepięknych nowel, opowiadań, wspomnień z podróży i t. d. pióra naszych najznakomitszych współczesnych literatów; mianowicie drukować będziemy w daszym ciągu między innemi utwory ***Henryka Sienkiewicza.*** Po ukończeniu druku opisu puszczy Białowiezkiej p. t. *„Z puszczy Białowiezkiej“*, rozpoczniemy zamieszczać wspomnienie z podróży p. t. *„Walka byków w Hiszpanii.“*

Piękne premium,

mianowicie reprodukcyę słynnego obrazu kolorowego Juliusza Kossaka, przedstawiającą generała wojska polskiego

ks. Józefa Poniatowskiego

na koniu, dołączymy do następnego numeru „Pracy.“

Odtąd dołączać będziemy stale takie nadzwyczajne kolorowe premie do „Pracy“ co kilka tygodni.

Już czas największy zapisać

„Czytelnię Polską"

na nowy kwartał.

„CZYTELNIA POLSKA“ zapisaną jest na poczcie w spisie gazet na rok 1903 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 13.“

Abonament „CZYTELNI POLSKIEJ“ wynosi kwartalnie

60 fen.

W Austryi i wogóle w Austro-Węgrzech

pod opaską: kwartalnie 1,10 mk., czyli 1 koronę 23 hal.

Co dopiero rozpoczęliśmy w *zeszycie 25-tym „Czytelni Polskiej“* druk bardzo interesującej powieści historycznej, napisanej przez B. Bolesławitę p. t.

„Król i Bondarywna.“

Rzecz dzieje się za panowania króla Stanisława Augusta. Bohaterką powieści jest wiejska dziewczyna, przecudnej urody, Natałka, w której pokochał się po uszy król Stanisław August. Natałka była córką kozaka Sydora, ale Lacha i szlachcica, który zbroiwszy coś w kraju, zbiegł na Zaporoże i potajemnie na Siczy ukrywać się musiał.

Powieść

„Król i Bondarywna“

jest tak piękna, zajmująca i ciekawa, iż każdy czytać ją będzie z wielkiem zainteresowaniem.

Początek tej powieści otrzyma każdy nowo przybyły abonent gratis, jeżeli nam nadeśle na dowód kwit pocztowy abonamentowy.

Ze względu na rozpoczęcie druku powyższej, rzeczywiście bardzo pięknej powieści historycznej, zachęcamy Czytelników i Przyjaciół naszych do najliczniejszego zapisywania sobie na poczcie i w naszej ekspedycyi w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej 38 „Czytelni Polskiej.“

Kwity na „Pracę“ i Czytelnią Polską“ na przyszły kwartał są zamieszczone na osobnej stronie pod okładką.

Szanownych Czytelników

w Galicyi

i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spieszne nadesłanie abonamentu na nowy kwartał w ilości

2 kor. 30 hal.

wprost do administracyi „Pracy“, albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

tylko 1 kor. 47 hal.

Wyjazd na zlot lwowski sokoli,

który się odbędzie dnia 28 i 29 czerwca, spowodował „Zjazd Delegatów“ (1. 3. 03.) i Wydział Związku Sokołów polskich w państwie niemieckiem (14. 6. 03.) do powzięcia następujących uchwał:

1.) Każde gniazdo związkowe ma wysłać przynajmniej jednego ćwiczącego na koszt gniazda.

2.) Udział dozwolony jest jedynie w nowym stroju sokolim, uchwalonym przez Zjazd Delegatów w roku 1901. Który z członków się do tego nie zastosuje, straci prawo do uczestnictwa w zlocie oraz do korzyści uzyskanych przez Wydział Związku na czas pobytu we Lwowie i narazi się na konsekwencye wynikające z nieposzanowania uchwał najwyższej władzy: Zjazdu delegatów względnie Wydziału Związku.

3.) Gniazdo poznańskie jako siedziba Wydziału Związku zabiera sztandar, pod którym cały związek zjednoczy; niechaj zatem żadne inne gniazdo sztandaru nie wysyła gdyż nie będzie go mogło użyć.

4.) Wyjazd gremialny z dworca poznańskiego nastąpi w czwartek, dnia 25-go czerwca o godzinie 10-ej przed południem. Połączenie z gniazdami okręgów V. VI. VII. IX. nastąpi częściowo we Wrocławiu, częściowo w Krakowie. Gniazda okręgów I. II. III. IV. VIII. zostaną na czas powiadomione przez naczelnika Związku o terminie i miejscu wyjazdu oraz spotkania.

5.) Uczestnik wyjeżdżający z dworca poznańskiego winien nadesłać Mk. 23 na koszta biletu do granicy i z powrotem najpóźniej do dnia 20-go b. m. na ręce druha nacz. zw. W. Gładysza (ul. Nowa 7/8 — Neuestr.)

6.) Generalna próba ćwiczeń wszystkich ćwiczących związkowych odbędzie się w Krakowie o godz. 9-ej rano w piątek (26. 6.) w ćwiczni krakowskiego Sokoła. Kto w niej udziału nie weźmie, wyklucza się przez to samo od ćwiczeń we Lwowie i ponosi w konsekwencyi utratę korzyści na czas pobytu we Lwowie oraz krytykę Towarzystwa swego, z powrotem do domu.

7.) Wyjazd z Krakowa do Lwowa nastąpi wedle okoliczności — prawdopodobnie w sobotę (27. 6.) rano.

8. Pobyt we Lwowie obliczony jest na dni trzy: niedzielę, poniedziałek

wtorek. Wracać można za biletem w Poznaniu wykupionym także osobno.

9. Strój ćwiczebny winien być ściśle regulaminowy, obuwie czarne.

10. Wydział związku deleguje na zlot lwowski druhów Chrzanowskiego, Gładysza, Milewskiego, Preissa i Rzepeckiego.

Przypominamy druhom regulaminy porządkowe i pochodowe a apelując do poczucia godności i obowiązkowości sokolej ze względu na konieczny posłuch i karność wzywamy do licznego udziału.

Poznań, dnia 16 czerwca 1903 r.

Wydział Związku
Sokołów polskich w państwie niemieckiem.

Bernard Chrzanowski, prezes. *Karol Rzepecki*, sekretarz.

Dr. A. Chłapowski. *W. Gładysz*
P. Harkiewicz. *Dr. B. Krysiewicz*
J. Lange. *I. Milewski.* *L. Osten.*
J. Zabłocki.

Pomnik BARTOSZA GŁOWACKIEGO

w Tarnobrzegu.

ODEZWA.

Pod koniec 1901 r. wydał włościański Komitet budowy pomnika Bartosza Głowackiego w Tarnobrzegu odezwę wzywającą do składek na pomnik. Składki posypały się i do 8. kwietnia rb. wpłynęło do Spółkowej Kasy oszczędności i pożyczek w Tarnobrzegu, w której składki umieszcza się 2,121 koron.

Dawali na pomnik włościanie i mieszczanie, dawała inteligencya. Pieniądze napływały z całej Polski, szczególniej z Galicyi i Królestwa Polskiego, i od Polaków w Ameryce. Uchwalały datki na pomnik rady gminne, rady powiatowe, Kółka rolnicze, instytucye finansowe itd. Swiadczy to o tem, że wszyscy chcemy uczcić pomnikiem chłopa-patryotę, przedstawiciela najliczniejszej warstwy w narodzie, która budzi się do życia obywatelskiego, narodowego i ujmuje losy Ojczyzny w swe silne dłonie.

Składki zbieraliśmy głównie zapomocą list, których rozdaliśmy 600, z tego zwrócono nam po wypełnieniu 60.

Początkowy Komitet złożony z 16 członków powiększył się teraz na 216 członków, zapraszając do swego grona z każdej gminy powiatu tarnobrzeskiego jednego lub dwóch członków. W ten sposób pójdzie raźniej zbieranie składek.

Koszta budowy pomnika obliczone są na 4,000 koron i do tej sumy brakuje jeszcz 1879 koron. Spodziewamy się, że ta druga część sumy napłynie prędko i pomnik będzie mógł stanąć jeszcze w tym roku a w każdym razie w roku przyszłym.

Podaje się również do wiadomości, że Walne zgromadzenie zaproszone przez Komitet na dzień 3. maja rb. do sali Rady powiatowej w Tarnobrzegu wybrało jednogłośnie projekt pomnika Bartosza Głowackiego przedłożony przez rzeźbiarza kamieniarskiego p. Michała Korpala z Krakowa. —

Prosimy gorąco wszystkich, ażeby dopełnili składek na pomnik. Upraszamy uprzejmie Szanowne Redakcye tych pism, które składki łaskawie przyjmowały i ogłaszały, o nadesłanie dotychczas zebranych kwot do Spółkowej Kasy oszczędności i pożyczek w Tarnobrzegu. Upraszamy też wszystkich, którzy listy pobrali, o odesłanie ich wraz z pieniędzmi pod tymże adresem.

Prosimy też o zgłaszanie się po nowe listy do przewodniczącego (Jan Słomka w Dzikowie poczta Tarnobrzeg). Upraszamy też rady gminne i różne instytucye, ażeby w dalszym ciągu uchwalały datki na pomnik.

Niedaleka jest już chwila, gdy stanie w Tarnobrzegu pomnik Bartosza Głowackiego. Będzie nim uczczony bohater narodowy, będzie to pierwszy pomnik chłopa w Polsce, a przez pomnik ten będzie podniesiony cały stan włościański, będzie przyspieszone odrodzenie narodowe.

Za pełny Komitet:

W. Wiącek, sekretarz. *Jan Słomka*, przewodniczący

Wiadomości.

— Folwark Kobelniki tuż pod samym Kościanem położony, ca 300 mórg najprzedniejszej ziemi kościańskiej, z okazałym wielkopańskim dworem w ślicznym parku, znakomite budynki, z pięknym inwentarzem i t. d. przeszedł mocą kupna — za pośrednictwem p. Stanisława Szołdrskiego — z rąk państwa Kubowiczów z Kościana na własność Domu Bankowo-Komisowego „Drwęski i Langer“ w Poznaniu.

Przewłaszczenie już nastąpiło.

Kobelniki będą rozparcelowane lub też sprzedane w całości, lecz tylko rodakowi.

*— **Baczność!** Celem skompletowania roczników „Pracy“ potrzebne są nam następujące kwartalniki: **3-ci** i **4-y** z r. **1897-go** i **2-gi** z roku **1901-go**. Kto z grona Szanownych Czytelników te kwartalniki kompletne, czyste i nieuszkodzone posiada i ma zamiar je sprzedać, niech się zechce zgłosić do nas i jednocześnie podać cenę.*

— ***Procesye*** Bożego Ciała, tej najwspanialszej z wszystkich całego roku kościelnego uroczystości, odbyły się w grodzie naszym najpiękniej przy sprzyjającej pogodzie. Punktem kulminacyjnym uroczystości były obie wielkie procesye zeszłoniedzielne na Starym Rynku, w których wzięły udział ogromne tłumy pobożnych i wśród odgłosu trąb i kotłów korzyły się przed Królem nad królami, by Mu oddać hołd czci, uwielbienia, radości i wesela.

Ludu, który tak wielbi, czci i kocha Pana nad pany, nie zniweczy nawet całe piekło hakaty, lud taki pokona wszelkie, nawet najgorsze przeciwności i najohydniejsze zamiary i wreszcie zwycięży.

— **Drugi karnawał** letni, urządzony w ubiegłą niedzielę przez artystów teatru poznańskiego w ogrodzie „Willa Flora“, nie miał takiego powodzenia kasowego co pierwszy w parku Wiktoryi, choć produkcye wszelkie artystów zasługiwały na ogólne uznanie. Żałować tylko należy, że pewna część „niegrzecznej“ publiczności tuż przy estradzie powchodziła na krzesła i przez to zasłoniła zupełnie widok na estradę całym rzeszom widzów, którzy nic zgoła nie widzieli, ztąd oburzenie było nie małe. Na przyszłość powinni gospodarze temu zapobiedz i to w pierwszym rzędzie we własnym interesie, gdyż inaczej publiczność „grzeczna“ od takich karnawałów letnich stronić będzie, by się znowu nie spotkać z publicznością „niegrzeczną.“

— **Polki przed sądem.** Następnego dnia po procesie gimnazyastów, zasiadło w Gnieźnie na ławie oskarżonych ośm Polek, a mianowicie pp.: doktorowa Marya Ulatowska, Marcela Powidzka (siostra skazanego b. gimnazyasty Powidzkiego na 6 tygodni więzienia), Julia Olszewska, Zofia Konstańczak, Felicya Gosieniecka, Marya Smielecka, Marya Jerzykiewicz i Helena Szubert. Panie te przed kilku miesiącami założyły Towarzystwo samopomocy naukowej i ustawy przedłożyły policyi w języku polskim. Policya jednak domagała się ustaw w języku niemieckim. Ponieważ panie nie zastosowały się do żądania policyi, wytoczono całemu zarządowi proces. Jako świadkowie występowali znany z procesu gimnazyastów komisarz policyi Peschmann i ks. prob. Piotrowicz, który zeznał, że członkowie Towarzystwa niczego więcej tylko historyi i literatury polskiej się uczyli, a to jest przecież rzeczą dozwoloną. Prokurator w swem przemówieniu zaznaczył, że uczenie i zamiłowanie do nauk jest rzeczą piękną i nader chwalebną, ale członkowie Towarzystwa powinni się byli uczyć także innych przedmiotów, a nie samej tylko historyi i literatury polskiej, które przecież zawsze mają jakieś uboczne cele. Z tego więc względu wniósł na każdą z oskarżonych pań 10 marek kary, albo dwa dni więzienia. Panna Marcela Powidzka odpowiedziała p. prokuratorowi, że wszystkich innych przedmiotów uczy się dziś młodzież po szkołach, historya i literatura polska zaś są z planu szkólnego skreślone, tych więc młodzież zmuszona jest uczyć się po za obrębem szkoły. Po krótkiej naradzie ogłoszono wyrok uwalniający.

— **Pan Zygmunt Słupski**, wydawca „Komara“, po ostatecznem odsiedzeniu półrocznej kary opuścił więzienie dnia 11-go b. m. o godzinie 6 wieczorem.

— **Zabawa latowa** dla „Stowarzyszenia personału żeńskiego w handlu i przemyśle“, odbędzie się w ogrodzie pana Siwka (Belweder) za bramą Wildecką dnia 21-go czerwca r. b. w niedzielę, na którą szanownych członków wraz z gośćmi jak najuprzejmiej zapraszamy. Wstępne do ogrodu dla pań wynosi 25 fen., panowie pła-

cą 50 fen. Czysty dochód przeznaczony na założenie biblioteki.

Helena Stefańska, Ludwika Kasiewiczówna,
przewodn. sekretarka.
Zofia Tułodziecka, przewodnicząca rady.

— **Bank Parcelacyjny w Poznaniu**, ul. Wiktoryi 12, donosi swym interesentom na tej drodze, chcąc oszczędzić odpowiedzi na wiele zapytań, że udziały, które na walnem Zebraniu dnia 10 marca r. b. uchwalone zostały, do dziś wszystkie rozebrano. Natomiast są jeszcze do nabycia udziały Nowego Browaru Grodziskiego, E. G. m. b. H. po 50 m., które z czasem taką samą dywidendę, jeśli nie większą, jak udziały Banku Parcelacyjnego, odrzucać będą i to z tej jasnej przyczyny, że Bank Parceacyjny stopniowo do rozwoju udziały dopuszczać musi, podczas gdy w Nowym Browarze, skoro suma na zupełne wyposażenie przedsiębiorstwa osiągniętą zostanie, nabywanie dalszych udziałów zatamuje i tedy cały zysk pozostaje, choćby największy, dla udziałowców samych.

Celem nabycia udziałów prosimy jednakże teraz udawać się wprost do dyrektora Browaru, p. Józefa Krzyżankiewicza w Grodzisku (Graetz i. P.)

— **Pan Wacław Suchowiak** zdał 13 b. m. w Berlinie, w ministerstwie robót publicznych, z odznaczeniem egzamin na rządowego budowniczego maszyn.

— **Krzywiń**, d. 12 czerwca. Królem kurkowym został tego roku p. J. Czerwiński, wicekrólem zaś p. Klemens Stryczyński. Ostatni podejmował na balu strzeleckim wedle przyjętego tu zwyczaju hojnie braci strzelców wraz z ich żonami i córkami

Tutejsze Towarzystwo przemysłowe urządza w niedzielę d. 21 czerwca na tutejszej strzelnicy zabawę latową, na którą wszystkich Towarzystwu życzliwych jaknajuprzejmiej zaprasza.

Wymarsz na miejsce zabawy o godz. pół do 2-ej po południu. Wstępne dla gości dowolne.

Zmarli.

† Ś. p. *Ludwika Brzeska*, Siostra Zgromadzenia Najświętszej Rodziny z Nazaretu w Rzymie Maria Fidelia, dnia 5. bm.

† Ś. p. *Melania Plucińska* w 70 roku życia dnia 8-go b. m. w Poznaniu.

† Ś. p. *ks. Bron. Taczanowski*, lic. św. teologii, proboszcz grodziski, dziekan pleszewski, dnia 9-go b. m. w Grodzisku pod Pleszewem.

† Ś. p. *Tadeusz Kamieński*, właściciel najstarszej polskiej poznańskiej księgarni „N. Kamieński i Sp.,“ dnia 10-go b. m. w 58 roku życia w Poznaniu.

† Ś. p. *Aleksander Wnukowski*, właściciel księgarni i drukarni, dnia 12 b. m. w Gnieźnie.

† Ś. p. *Mieczysław Brodzki* dnia 12 h. m. w Jarocinie.

† Ś. p. *Józef Rutkowski* w Oliwie, w Prusach Zachodnich, jeden z najdzielniejszych obywateli i prezes Towarzystwa „Jedność“, które założył przed 12 laty, i ktoremu przewodniczył od początku.

† Ś. p. *Jan Panecki* w Ostrzeszowie dnia 14-go bm.

Ruch w Towarzystwach.

— **Znin.** Dnia 21 b. m. odbędzie się w mieście naszem w ogrodzie p. Rucińskiego zabawa latowa tutejszego Towarzystwa śpiewu kościelnego św. Cecylii połączona z koncertem, występami śpiewu, grą fantową, kulaniem kręgli i t. d. Czysty dochód przeznaczony na zakupienie instrumentów muzycznych. Osobnych zaproszeń nie wysyła się. Zarząd.

Wiadomości literackie.

— **Dzieje Polski.** Zwracamy uwagę Czytelnikom naszym na inserat p. K. Kozłowskiego, zamieszczony w dzisiejszym numerze, w którym tenże zaprasza do przedpłaty na dzieło p. t. *Dzieje Polski z illustracyami* w dwóch tomach przez J. Baczyńskiego. Mieliśmy sposobność przejrzenia sporej części rękopisu dzieła tego jak i licznych do niego przeznaczonych illustracyi i nabraliśmy przekonania, że wydawca wzbogaci literaturę naszą dobrą i pożyteczną książką.

Uwzględnioną też jest w dziele tem słowiańszczyzna, której autor kilka rozdziałów poświęca, dając nam obraz o pochodzeniu Sławian, o ich zwyczajach, religii, wojnach i tworzeniu się z pojedyńczych szczepów większych państw. Również korzystnie przedstawił się nam dział illustracyjny.

Uważając to nowe wydawnictwo p. K. Kozłowskiego jako będące na czasie i bardzo pożyteczne, a w stosunku do ogromnych kosztów nakładu i w porównaniu z innemi dziełami nadzwyczaj tanie, polecamy je gorąco i ufamy silnie, że ono dozna od społeczeństwa polskiego — jak na to zasługuje — uznania i gościnnego przyjęcia.

— **Odra.** Gra śląska narodowa, mająca na celu bliższe poznanie Śląska czyli Staropolski, ułożona dla zabawy dzieci, młodzieży i starszych osób przez Józefa Chociszewskiego. Cena 15 fen. z przesyłką 20 fen. Powyższa gra podaje najważniejsze wiadomości z historyi i geografii Śląska oraz o najnowszym ruchu narodowym w tej krainie. Znajdujemy tu wzmianki o Mieczysławie I, Bolesławie Wielkim, Krzywoustym, o Kazimierzu Wielkim, o Sobieskim itd. Z zasłużonych mężów dla sprawy polsko-śląskiej wymienieni: Lompa, X. Bogedziec, Miarka, Stalmach, X. Antoniewicz, X. Damroth, X. Świerzy, kowal Ligoń itd. Odra może się nie mało przyczynić do bliższego poznania Śląska, gdzie obecnie wre zawzięty ruch wyborczy.

Polecamy zarazem gry tegoż autora już dawniej wydane: 1. *Lech.* 2. *Podróż* po ziemiach polskich. 3. *Niebo.* Cena za każdą grę 20 fenygów.

„*Lech*“ podaje w zwięzłem streszczeniu najważniejsze wiadomości z historyi Polskiej, a „*Podróż*“ ozdobiona mapką Polski i 4 rycinami jest krótką geografią ziemi ojczystej. Podany jest oczywiście przepis grania. Za 60 fen. przesyła się te 4 gry franko. Zamawiać pod adresem *J. Chociszewski Gniezno—Gnesen.*

Od Redakcyi.

Panu I. B. w Bitterfeldzie. — Życzonych statutów nie posiadamy. Wątpimy bardzo, czy w danym razie rząd dałby pozwolenie na założenie takiej kasy. U nas w Poznaniu, o ile nam wiadomo, nie pozwolono na założenie prywatnej kasy chorych w Towarzystwie Robotników polskich. Bliższych informacyi mógłby Panu udzielić ks. Meyer w Poznaniu przy Nowym Rynku (Neuer Markt).

Panu F. B. w Złotowie. (Prusy Zachodnie.) — Czy ów Pan „Pracę“ abonuje, nie wiemy; u nas nie abonuje, może na poczcie? W Krakowie wychodzą między innemi gazety: „Czas,“ „Nowa Reforma“, we Lwowie „Słowo Polskie“, „Kuryer Lwowski.“ Specyalna gazeta dla drogerzystów w języku polskim nie wychodzi.

Panu F. K. 103. — O jaką mapę Panu chodzi? Wszystko będzie, tylko prosimy o cierpliwość.

Panu St. Sl. w Gostyniu. — Każdy los nie wygrywa, tylko co 3, 4 lub 5, u nas Towarzystwa takie loterye urządzają i policya nic przeciw temu nie ma.

Panu A M. w Krakowie. — Listu tego nie odebraliśmy.

Panom M. i Z. w Poznaniu. — „Historya polska z illustracyami przez Maryana z nad Dniepru.“ Nabyć można w księgarni I. Leitgebra. Dokładnego adresu obecnego pobytu H. Sienkiewicza nie znamy; najlepiej i najpewniej zaadresować do Oblęgorka.

Panu A. H. w S. — Tygodnik techniczno-przemysłowy p. t. „Przegląd techniczny““ wychodzi w Warszawie na Krakowskiem Przedmieściu 66. Przedpłata półroczna z przesyłką 6 rs., zeszyt pojedyńczy 30 kop.

— Manuskryptów niezwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekommendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zaginienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo
„P R A C Y.“

Dział kobiecy.



Wsławieni „pantoflarze.“

Edward John Hardy w książce swej p. t. „Miłość i pożycie słynnych ludzi“ opowiada wiele zabawnych anegdot. Dowiadujemy się n. p., że jednym z największych „pantoflarzy“ był Tycyan. Jego żona Cecylia żądała od niego codziennie rachunku z wydatków. Słynny malarz musiał sobie łamać głowę nad wymyśleniem jakiej „pozycyi,“ gdy w towarzystwie przyjaciół wypił kilka lampek wina. Mimo takiego rygoru, Tycyan kochał swoją despotyczną małżonkę i opłakiwał gorzko jej utratę.

Andrea del Sarte miał także piekło w domu, żona jego robiła mu ciągłe sceny zazdrości i nie pozwalała „zadawać się“ z kolegami, w obawie, że go do hulanek namówią.

I ks. Malborough, tak dzielny na polu bitwy, nie umiał stawiać czoła swej małżonce. Podczas jednej ze swoich kampanii pisał do niej: „Obecnie mam do czynienia z 50,000 najlepszego żołnierza pod słońcem, którym dowodzi pierwszy wódz w Europie; ale nie boję się ich o połowę tyle, co ciebie duszko, gdy jesteś w złym humorze.“

Po długich konkurach, udało się wreszcie słynnemu pisarzowi Addison pozyskać rękę owdowiałej hrabiny Warwick, ale ukochana obchodziła się z nim tak okrutnie, że powstało przysłowie: „Holland House (rezydencya małżonków) choć bardzo duża, nie zdoła pomieścić trojga mieszkańców: pana Addison, hrabiny Warwick i spokoju.“ Po nominacyi Addisona na sekretarza stanu, lady Montagu pisała do przyjaciółki: „Być sekretarzem, a w dodatku mężem hrabiny, to za wiele na jednego astmatycznego człowieka i zobaczycie, że on albo ducha wyzionie, albo się zrzeknie obu tych zaszczytów.“

James Watt, wynalazca siły parowej, musiał chronić się na strych przed porządkami i krzykami swej żony i tam pracował nad swojem nieśmiertelnem odkryciem, gotując sobie sam posiłek.

Najnieszczęśliwszym z małżonków był Abraham Lincoln, prezydent Stanów Zjednoczonych. Dwa razy doznał zawodu w miłości, wreszcie pokochał miss Maryę Todd. Musiał poznać jej miły charakter przed ślubem, bo w ostatniej chwili cofnął się. Przyjaciele skojarzyli jednak tę parę. Wyznaczono drugi dzień ślubu. Gdy Lincoln ubierał się na tę uroczystość, znajomy chłopczyk zapytał go, gdzie idzie:

— Zdaje mi się, że do piekła — brzmiała odpowiedź.

Lincoln słuchał niewolniczo swej żony, która pomimo to wyprawiała mu ciągle awantury i nazywała tyranem. Kiedyś wpadła z gniewem na jego przyjaciela, który umknął. W kilka dni potem ten żalił się przed Lincolnem.

— Mój drogi — odparł tenże — dziwię się, że nie mogłeś wytrzymać przez kilka minut tego, co ja znoszę przez lat piętnaście.

Pomocnice mężów.

Wiele złego wypowiedziano już o małżonkach znakomitych mężów; słusznie więc jeden z feljetonistów przypomina ludzkości zalety niewiast, które dla znakomitych pisarzy były przyjaciółkami i dobremi towarzyszkami życia. Tak n. p. jedną z najgorliwszych pomocnic męża była żona pisarza angielskiego Rider Haggarda. Autor ten ożenił się w 24 roku życia, gdy był jeszcze oficerem armii angielskiej, z córką majora Morgilsona. Nazajutrz po ślubie Haggard zabrał młodziutką żonę do Natalu, gdzie młoda kobieta przeżyła lat parę w huku dział i przy dźwiękach trąbek bojowych. Tak było aż do bitwy pod Majuba i Hill, która zakończyła kampanię. Po powrocie do Norfolku Haggard zabrał się do pracy literackiej, a żona, która była mu wierną towarzyszką w przygodach wojny, teraz jest sekretarką męża i to sekretarką bardzo gorliwą i zdolną.

Również idealną żoną, jest żona poczytnego autora angielskiego Crawforda, która mężowi służyła za „model“ do wielu bohaterek romansów i nowel. Przed zamążpójściem Marion Crawford zwiedziła całą Europę i Azyę, a wspomnienia, przywiezione z podróży, są obecnie dla męża niewyczerpaną kopalnią tematów do prac nowelistycznych.

Małżonkowie Crawford mieszkają w niezamąconem szczęściu w posiadłości swej nad zatoką Neapolitańską. Przez całe przedpołudnie mąż pracuje piórem, żona zaś zajmuje się dziećmi. Po południu cała rodzina na własnym jachcie wyjeżdża na wody morza Tyrreńskiego, a w czasie jazdy Crawford odczytuje żonie wszystko, co w godzinach rannych napisał, bardzo często zmienia całe ustępy za poradą żony, a zdarza się nawet, iż niszczy prace już ukończone, jeżeli żona ma im zbyt wiele do zarzucenia.

Do najpracowitszych pomocnic męża należy hrabina Tołstojowa, żona najznakomitszego dziś pisarza rosyjskiego, hr. Lwa.

Żona Wiktoryna Sardou, kobieta wysoko wykształcona, była również bardzo czynną pomocnicą męża, znała się doskonale na teatrze, tak. że scenaryusze wielu sztuk męża wychodziły z pod jej pióra.

Liga antyflirtowa

zawiązała się w New-Yorku z inicyatywy sędziego pokoju H. Drynfa. Przeszło pięćdziesięciu młodych ludzi przystąpiło już do ligi, której członkowie nietylko sami wystrzegać się będą wszelkich pokus do flirtu, ale nadto przeszkadzać mają flirtowi drugich. Jeżeli na ulicy, w wagonie kolei żelaznej, tramwaju, magazynie etc. jakiś mężczyzna zanadto zbliży się do kobiety, obowiązkiem antyflirtowca będzie interweniować i zbadać, czy ów mężczyzna nie czyha przypadkiem na cnotę niewieścią. Panowie z ligi mają nosić wielokolorowe odznaki na klapie surduta. Odznaki te będą mogły nosić także kobiety, pragnące poruszać się bez obawy narażenia się na ataki przygodnych donżuanów.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Wystawa robót terminatorskich na sali Dominikańskiej.

W niedzielę, dnia 7 b. m., otwartą została w grodzie naszym wystawa robót terminatorskich.

O godzinie 9 i pół Towarzystwo terminatorów pod wezwaniem św. Alojzego wysłuchało mszy św. w kaplicy kościoła Dominikańskiego, a o godzinie 12 nastąpiło otwarcie na sali Dominikańskiej.

Chór dominikański pod dyrekcyą p. Czyżewskiego odśpiewał piękny utwór ks. Surzyńskiego „Pod twoją obronę“. Następnie ks. patron Kłos w serdecznej przemowie podniósł znaczenie pracy, a w szczególności przemysłu w życiu naszem społecznem. Zachęcał młodzież, by całem sercem oddała się tej pracy, aby doskonaliła się w swym zawodzie, bo tylko rzeczywiście doskonały rzemieślnik może wytrzymać konkurencyę w trudnem naszem położeniu. Podniósł i wielki nacisk na to położył, że ta praca, ta praca doskonała to jedyny praktyczny objaw naszych patryotycznych uczuć; że nie przez czcze deklamatorstwo, ale przez pracę sumienną, przez doskonalenie się w każdym zawodzie możemy dać dowód naszej miłości Ojczyzny. Wspomniał dalej, że kiedy pierwsza wystawa przemysłowców urządzona za staraniem ówczesnego prezesa, p. Cegielskiego, obesłaną została przez 40 członków, rezultat uważano za dodatni, dzisiaj bierze w wystawie udział 140 terminatorów z 180 wystawionymi przedmiotami,

Po ks. patronie Kłosie zabrał głos p. dyrektor Kużaj, jako prezes najstarszego Towarzystwa przemysłowego w Poznaniu i po pięknem przemówieniu ogłosił wystawę za otwartą, wołając:

„Polski przemysł niech nam żyje,
Przemysłowi cześć!
Bo w nim dążeń dziś się kryje
Nrodowych treść.“

Wystawę samą obesłano znakomicie. Nietylko Poznań wziął w niej udział, ale i z Koźmina nadesłano coś około 30 przedmiotów, dalej z Inowrocławia, Kościana i innych miast. Co do przedmiotów wystawionych, to wierzyć się nie chce, że to roboty terminatorów. Rzeczywiście z dumą można każdego na wystawę tę zaprowadzić, bo to najlepszy dowód, jakie niepospolite siły pośród nas rozwijają się. Terminator, który takie prace wykonał, chyba już doskonałym majstrem będzie, tak doskonałym, że żadnej konkurencyi obawiać się nie potrzebuje. Wystawa zamkniętą będzie d. 21-go b. m. wieczorem.

Zaniedbany przemysł.

Rozwój cywilizacyi naturalną koleją rzeczy skazuje na stopniowy zanik niektóre gałęzie przemysłu, mogące rozwijać się w ramach kultury pierwotnej. Do ich rzędu należy bartnictwo, stanowiące u nas niegdyś jedno z pierwszorzędnych źródeł krajowego bogactwa.

Za czasów kronikarza Gallusa hodowla pszczół leśnych stanowiła w wielu okolicach najważniejszy czynnik życia ekonomicznego. Poczynając od r. 1105, znajdujemy w dyplomach ciągle wzmianki o barciach leśnych. Z biegiem czasu wytworzyła się oddzielna klasa bartników z własnem sądownictwem i specyalnem prawodawstwem. Pierwsze uchwały spisano w Warszawie w 1401 r. na podstawie utartego już prawa zwyczajowego, W r. 1559 wyszedł z druku wyczerpujący kodeks bartniczy, wydany staraniem Krzysztofa Niszczyckiego, wówczas starosty prasnyskiego i ciechanowskiego, podniesionego później do godności kasztelana raciąskiego, a następnie wojewody bełskiego.

Nad wykonaniem prawa bartnego czuwał starosta bartny, według odwiecznego zwyczaju, szlachcic - ziemianin. Zwłaszcza w Przasnyskiem i Ciechanowskiem organizacya bartnicza zapuściła głębokie korzenie. Regularnie, co rok, w Przasnyszu i Ciechanowie, zasiadały sądy bartne w dniu św. Szymona i Judy oraz św. Stanisława ze Szczepanowa. Starosta bartny obowiązany był rozciągać kontrolę nad gospodarstwem pszczelnem, pilnować porządku oraz czuwać, aby należna dziedzicowi lasu danina z miodu była poręczana w czasie właściwym. Lasy dzielono na ostrowy, czyli bory, te zaś na okręgi bartne, czyli uroczyska. Wyrazem „bór“ oznaczano część lasu, w której znajdowało się 60 barci. Ślady opieki troskliwej nad pszczelnictwem leśnem znajdujemy również w Statucie Litewskim. Przemysł bartniczy był tak rozgałęziony, że powołał do życia specyalne słownictwo techniczne, z którem zapoznaje nas „Słownik leśny, bartny, bursztyniarski i orylski“ Wiktora Kozłowskiego, wydany w Warszawie w r. 1846.

Upadek bartnictwa rozpoczął się w wieku XVI. W czasie tym zaczęto zakładać pasieki domowe w ogrodach dworskich. Ogromny cios bartnictwu zadały pożary puszcz Skwańskiej, Myszenickiej i Ostrołęckiej w czasie wojny z Karolem XII szwedzkim. Dziś bartnictwo, jako przemysł, nie istnieje właściwie prawie wcale, jakkolwiek pszczoły leśne nie wyginęły u nas do szczętu.

Pszczoły te zwane borówkami, albo zielonemi, różnią się wielce od pszczół domowych. Przeniesione z lasu do pasieki, zwykle marnieją — wskutek czego mogą być hodowane jedynie w barciach. Wprawdzie można je przyswoić, lecz wymaga to zbyt wiele zachodu i starań; przedewszystkiem zaś pasieki muszą być w takich razach zakładane w pobliżu lasu albo w bardzo cienistych i obszernych ogrodach.

W dzisiejszym stanie rzeczy pszczoły leśne stanowią w większości wypadków kapitał martwy, wcale nie procentujący. Wypuszczone w majątkach naszych, z pod opieki kontroli ludzkiej, produkują miód w wydrążeniach drzewnych, który tam przepada. Nie można oczywiście, twierdzić, że wynikają ztąd poważniejsze straty ekonomiczne, ale zaprzeczyć się nie da, że w dzisiejszych czasach, gdy upadek cen żyta i pszenicy nakazuje wytężać wszelkie siły w kierunku wyzyskania pobocznych gałęzi gospodarstwa, pożytecznem byłoby zwrócenie uwagi na eksploatacyę pszczół leśnych, zwłaszcza, że utrzymanie barci w majątkach, gdzie jest prowadzone gospodarstwo leśne z odpowiednim składem służby, stanowi zadanie nader łatwe a bynajmniej nie kosztowne. *Z.*

Notatki ekonomiczne.

Firma John Fowler & Co. z Magdeburga wysłała swe znakomite pługi parowe na wystawę niemieckiego Towarzystwa rolniczego w Hanowerze, odbywającą się tamże w czasie od 18 do 23-go czerwca r. b. Wzmiankowana firma wystawiła różne okazy pługów parowych i lokomotyw drożnych, zastosowanych do wszelkich warunków rolnictwa, gospodarstwa przemysłu i t. d. o sile nominalnej 10—20 koni. W stosunku do dawnego systemu zaoszczędzają Fowlerowskie pługi nowego systemu 20 procent paliwa i wody. Wszelkie fabrykaty firmy John Fowler et Co. uznane są, jak wiadomo, za wyroby znakomite, mogące stawić czoło wszelkiej konkurencyi, a liczne odznaczenia, jakiemi firmę te zaszczycono, są najlepszem dla niej świadectwem i najlepszą reklamą.

Dodatek Humorystyczny.

Z astronomii.

— Ma księżyc żonę? powiedz mi mój [panie —
— Dziwne mi pani zadajesz pytanie;
Lecz w gruncie rzeczy odpowiedź tu [łatwa:
Żoną mu ziemia, gwiazdy to ich dziatwa.

— Myślisz pan? — Właśnie — To [dziwne! — Dlaczego? —
— Bo żona zdala błąka się od niego,
A on choć tęskni, choć niby jej szuka,
Zbliżyć się nie chce — W tem właśnie [tkwi sztuka.

Tem się tłomaczy harmonia tej pary:
Księżyc w miłości zdawna praktyk stary,
Wie, że gdy zbliży się zbyt do swej lubej
Wnetby się wzięli oboje za czuby.

Rękawiczka.

Szykowny Janek (w tem jasnem palcie) wrócił w tych dniach do domu z podbitem okiem.

— Bój się Boga, człowieku, kto cię tak urządził? — pyta przyjaciel.

— Et! głupstwo, to ten mały Brykalski rzucił mi przy bilardzie przez nieostrożność rękawiczkę w twarz...

— I taki znak pozostawiła mała rękawiczka?

— A bo... w niej była ręka...

Wyrachowany.

— Chciałem prosić pana sędziego o przyśpieszenie mojego wyroku.

— Cóż oskarżonemu na tem zależy?

— Teraz już jest godzina 11-ta, a jeżeli mam pójść do kozy, to chciałbym jeszcze trafić tam na obiad.

Odpowiedzialny poręczyciel.

— Potrzebował pan pamiętać, co raz już powiedziałem: że żeby otrzymać odemnie pożyczkę, trzeba mieć odpowiedzialnego poręczyciela, a pan go nie przyprowadził.

— Nie mógł dziś przyjść, bo oddał kamaszki do szewca do naprawy i jeszcze mu ich nie odniósł, a drugich niema.

Z dziejów przyszłości.

Gdy emancypacyi drzewo
Należycie się rozrośnie,
To najbardziej adwokaci
Patrzeć będą w świat żałośnie.

Jestto zawód utworzony
Dla kobiety niewątpliwie;
Laury ona zbierze mnogie
Kiedyś na prawniczej niwie.

Bo czyż braknie jej warunków?
Ładny buziak znaczy wiele;
Ładny buziak musi sobie
Zdobyć ładną klientelę.

Cóż dopiero, gdy ten buziak
I języczkiem cuda czyni!
A wiadomo, że w tej kwestyi
Każda z kobiet — to mistrzyni.

Wreszcie: choć mężczyzna także
Do uznania prawo rości, —
Lecz gdzież jest kobieta w świecie,
Co nie miałaby słuszności?

Choćby nawet prokurator
Zgromić wywód chciał dziewiczy,
To adwokat żeński wygra,
Bo z pewnością go — przekrzyczy.

Molto bene!

Za króla Michała zaciągnięto do wojska kilka tysięcy ludzi, którym nie dawano ani prowiantu, ani pieniędzy strawnych. Wysłali tedy suplikę do żony króla Michała, do królowoj Eleonory, która, choć na polskim siedziała tronie, wtedy polskiego jeszcze nie znała języka. Gdy ją kiedykolwiek o co proszono, nie rozumiejąc rzeczy, odpowiadała tylko po włosku: „molto bene" — bardzo dobrze.

Przedstawiają suplikanci prośbę swoją i błagając wołają: „z głodu wszyscy zginiemy!..." a królowa jak zwykle, rzecze z uśmiechem: „molto bene", molto bene!..."

Poglądowo.

— Panie Marceli, powiedz mi pan, co to jest mistyfikacya?

— Mistyfikacya?... Widzi pani będzie wtedy, gdy powiem, a właściwie, gdy ośmielę się... Panno Wiktoryo! pani jest tak piękną, oczy twoje czarne tak dalece działają na moje serce, że dłużej nie mogę się pani oprzeć....

— Ależ panie, to jest folmalne oświadczenie!

— Nie, łaskawa pani, to jest właśnie mistyfikacya.

Niedbały.

— Cóż, jesteś dyrektor zadowolony z mego protegowanego?...

— Nie bardzo; pański protegowany opuszcza się w obowiązkach.

Spóźnia się do biura?

— Tego nie mówię, ale zamiast pozostawać na całą noc dla zajęć dodatkowych, czasami odchodzi spać do domu.

Zdania trafne.

Gdy chcesz mieć w życiu broń,
Do prawdy tej przywykaj:
Od wrogów swoich stroń,
A od przyjaciół — zmykaj!...

Gdy panna, jako róża,
Sukienki swe *przedłuża*,
Ty — iżbyś został cały,
Przykrócić masz zapały.

Opinia o tem wszędy krąży ustalona,
Że *najdroższą* dla męża jego własna [żona, —
Niestety! ta ochota wybiega za szranki,
Bo stokroć od niej *droższe* wżdy są — [jej gałganki.

Prawdziwy przyjaciel.

— No, mój drogi! Klamka zapadła; żenię się za dwa tygodnie, spodziewam się, że pozostaniesz moim przyjacielem.

— A to dobre! przecie prawdziwego przyjaciela nigdy nie opuszcza się w nieszczęściu.

Z teki modernisty.

Nademną smok się unosi tęczowy,
Nademną paszcza jego rozogniona;
Ogon sążnisty ma fioletowy,
Zda się, że cały w poblasku już skona.

Wzrok jego cudny od zórz karminowy
Zwolna się wgryza w głąb mojego łona,
Dreszcz mnie przejmuje od stóp aż do [głowy,
Gdy smokowego widzę blask ogona.

Wtem się wynurza z pobłysków księżyca,
We mgłach jutrznianej upowita zorzy
Maleńka muszka jasna, smętnolica.

Dalej na smoka... Smok się przed nią [korzy,
Ona zaś dumnie siada mu na boku
I głośno krzyczy: „Gdzie masz rozum [smoku?"

Dział powieściowy.

(Przedruk wzbroniony).

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIESC WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

67) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

Lady C. polubiła nadzwyczaj swoją towarzyszkę i okazywała jej przy każdej sposobności swoje przywiązanie, tak nawet, że nie chciała się z nią wcale rozłączyć. Ale pewnej nocy przybył dyrektor policyi do mieszkania lorda i zaaresztował pannę Bassano.

Na zapytanie oburzonej lady, jakiem prawem czyni to, odrzekł dyrektor Wasyl, że księżna Bassano rozpowszechniała fałszywe pieniądze, i że była bardzo czynnym członkiem bandy fałszerzów. Za to skazano ją zaocznie na dożywotni pobyt na Sybirze. Księżna uciekła wówczas z Petersburga, i sądząc, że wszystko zapomniane, wróciła teraz — ale policya czuwała pilnie i — schwyciła ją!

Wszelkie zapewnienia aresztowanej, że nie jest księżną Bassano, której papiery przypadkiem dostała, nic nie pomogły — i tej samej nocy jeszcze posłano ją do Moskwy.

Lady C. przekonana o niewinności swej towarzyszki, opłakuje los jej nieszczęśliwy, i gotowa poświęcić wszystko, byleby uratować niewinną. W tym celu szuka prawdziwej Diany de Bassano. Jeżeli rzeczywista księżna Bassano posiada odrobinę sumienia i uczciwości, to poda swój adres, aby można się starać o uwolnienie nieszczęśliwej dziewczyny. Wszelkie wskazówki i wiadomości prosimy przesłać do redakcyi tej gazety.“

Po przeczytaniu tego ogłoszenia napełniły się oczy Diany gorącemi łzami.

— Dziękuję ci Boże, — szepnęła, — że pozwoliłeś mi to przeczytać. Nic nie dzieje się bez Twej woli! Znam teraz mój obowiązek — dziś jeszcze wyjadę do Paryża i dowiem się kto jest lady C.

Przygotowania jej do podróży nie trwały długo. Zapakowała trochę bielizny i kilka sukien i wzięła z szuflady pieniądze Bernarda.

Potem poszła pieszo na dworzec do Grenoble.

Za sobą zostawiła krwawego trupa — przed sobą widziała nieskończone śnieżne stepy Sybiru.

ROZDZIAŁ CX.

Prawdziwa Diana de Bassano.

W salonie lady Wiktorji znajdowała się lady i doktor Tritoni, żywą zajęci rozmową.

— Masz pan zawsze jeszcze nadzieję — mówiła lady Wiktorja — że ogłoszenia w gazetach odniosą pożądany skutek? Cztery tygodnie minęły już, a Diana de Bassano nie zjawia się. Ja już nadzieję straciłam. Wszystkie gazety, całego nieomal świata, powtarzają ten anons, pół miljona prawie wydane, i wszystko daremnie! Zdaje mi się, że fałszywą obraliśmy drogę — a moje nieszczęśliwe dziecko jęczy w kajdanach!



Ja zaś nadziei nie tracę — odrzekł Tritoni

— Ja zaś nadziei nie tracę — odrzekł Tritoni. — Musimy też liczyć na przypadek — jest to w takich razach niezmiernie ważny pomocnik!

— Ach, jak okropnie dla matki liczyć na przypadek, gdy chodzi o życie jedynego dziecka!

W tejże chwili weszła służąca z oznajmieniem, że jakaś pani pragnie się widzieć z lady Corrigan.

— Zapewne znowu jaka ciekawa znajoma — rzekła lady niechętnie. — Od chwili, w której umieszczono ten anons, nie zamykają się prawie drzwi mego domu. Każdy chce mi wyrazić swoje współczucie i męczy mnie niezmiernie. Jest to prosta tylko ciekawość, więcej nic. Nie będę też już wszystkich przyjmować.

— Przeciwnie, milady, nie można nigdy wiedzieć, co ci kto może powiedzieć. Czasem byle drobnostka jest bardzo ważną w takich, jak nasz, wypadkach.

— Masz pan słuszność — zawołała lady — więc wprowadź tę panią!

Garderobiana wyszła i po chwili wprowadziła do salonu bardzo skromnie ubraną młodą kobietę, z twarzą osłonioną ciemną woalką.

Tritoni wstał i zbliżył się do niej.

— Chcesz pani widzieć lady Corrigan, rzekł uprzejmie — zwracam ci jednak uwagę na to, że milady była chorą i jeszcze nie zupełnie odzyskała siły. Powiedz zatem

to, co masz do powiedzenia w kilku słowach, aby jej zbytecznie nie męczyć!

Nieznajoma pochyliła głowę.

Potem przeszła koło doktora i zbliżyła się do lady Wiktoryi.

— Lady Corrigan! — zawołała drżącym głosem, — czytałam artykuł pani w gazecie — szukasz księżnej Bassano...

— Nazwisko moje nie jest, o ile sobie przypominam, wymienionem w gazecie! Zkąd się pani dowiedziałaś o niem?

— Przez redakcyą „Figara!“

— Więc możesz mi pani udzielić jakich wiadomości, za pomocą których mogłabym ocalić niewinną?......

— Tak milady! Ja znam Dianę de Bassano! Wiem też, gdzie ona się obecnie znajduje!

Lady Wiktorya podniosła się, ale drżała tak silnie, że musiała znowu usiąść na fotelu.

Tritoni pochylił się ku niej i szepnął:

— Zbierz pani siły! Nie wiemy jeszcze, czy ta kobieta mówi prawdę, ale jeżeli tak jest, to mamy wszelki powód do nadzwyczajnej radości! Zadanie nasze byłoby spełnione!

— Pani znasz Dianę de Bassano! — zawołała biedna matka głęboko wzruszona, — o nie czekaj dłużej — powiedz mi, gdzie mam jej szukać! Życie niewinnej dziewczyny zależy od tego! Powiedz pani! Zlituj się nademną!

— Wybacz milady, że zanim odpowiem, najpierw jedno stawię ci pytanie! Przypuśćmy, że jestem serdeczną przyjaciółką Diany — że los jej żywo mnie obchodzi, i że nie chciałabym, aby ją coś złego spotkało! Co się z nią stanie, jeżeli ona dobrowolnie odda się w ręce sprawiedliwości? Czy pani zabierzesz ją do Rosyi i wydasz ją w ręce Wasyla?

— Na to ja pani odpowiem, — rzekł Tritoni, — i zaręczam ci słowem honoru, będzie tak, jak mówię! Jeżeli Diana de Bassano rzeczywiście jeszcze żyje i chce wyjść z ukrycia, to nie stanie jej się nic, bez jej wyraźnego pozwolenia.

Pani wiesz naturalnie o co chodzi! Dla ocalenia fałszywej księżnej Bassano potrzeba nam prawdziwej.......

— W takim razie zostanie ona zesłaną na Sybir, — szepnęła nieznajomą.

— Ja też tak sądzę, — odparł Tritoni, — ale jeżeli posiada trochę sumienia i uczciwości, to nie będzie się wahać z uwolnieniem niewinnej. Ona jednak nie ma zginąć! Lady Wiktorya rozporządza milionami! Zobowiąże się więc użyć i pieniędzy i wpływu na wykupienie jej z Sybiru i jakkolwiek bądź, nigdy jej nie opuści. Może wyjednа ułaskawienie u cara, może zdoła przekupić urzędników, dosyć, że w każdym razie Diana de Bassano zgubioną nie będzie!

Nieznajoma upadła teraz na kolana przed lady Wiktoryą.

— Ja jestem Dianą de Bassano! — zawołała przejmującym głosem. — I jestem gotową uczynić wszystko, czego odemnie zażądacie!

Lady Wiktorya była bliską zemdlenia.

W salonie głęboka na chwilę zapanowała cisza.

— Więc pani, — odezwała się nareszcie lady Wiktorya, — pani jesteś Dianą de Bassano! Ach, czy umarli powstawają z grobów, aby świadczyć za mojem biednem, niewinnem dzieckiem. O, Bóg czyni cuda! Uczynił cud już tem samem, że ciebie mi tu przysłał!

— Dzięki Bogu! — dodał Tritoni, — a zwracając się do klęczącej, dodał łagodnie: — Jeżeli pani jesteś Dianą de Bassano, to odsłoń twarz twoją!

Diana zerwała woalkę.

— Tak, to ona! — zawołał żywo, — to ona! Poznałem ją! Wiesz pani, kto ja jestem?

— Tak, pan jesteś doktorem Tritoni!

— Gdzie widzieliśmy się po raz pierwszy?

— W szpitalu w Nizzy!

— I co mi tam pani dałaś?

— Wszystkie moje papiery, z prośbą posłania ich baronowi Frascati!

— Jesteś milady teraz przekonaną, że to księżna Bassano? — zwrócił się Tritoni do lady Wiktoryi.

— Tak, ja jestem nią, — zawołała Diana, — i dowiodę tego! Nie płacz milady! Twoje dziecko będzie ocalone — ja jestem gotową wydać się sądom rosyjskim, niech mnie poślą na Sybir, niech mnie męczą — wszystko to jest mi obojętne.

Ja skończyłam z życiem i nie pragnę niczego więcej, jak uwolnienia nieszczęśliwej, pokutującej za moje winy! Jedźmy, nie traćmy czasu — spieszmy się, aby nie przyjść za późno z pomocą!

Lady Wiktorya wzięła w objęcia młodą kobietę i przycisnęła ją czule do serca.



Lady Wiktorya wzięła w objęcia młodą kobietę i przycisnęła ją czule do serca.

— Przyjmuję twoją ofiarę, rzekła wzruszona, — ale przysięgam ci raz jeszcze, że uczynię wszystko, co będę mogła, aby cię uwolnić!

— Ale ja nie chcę być ułaskawioną, — szepnęła Diana, jak nieprzytomną, — ja chcę ponieść surową karę za moje grzechy. Pani nie wiesz, kogo masz przed sobą — ja jestem zbrodniarką — ha — nie widzicie czerwonych plam na moich rękach? To krew ludzka! Ja go zamordowałam!

I z przerażającym krzykiem upadła na ziemię.

Tritoni podniósł ją i ułożył na kanapie.

— Ta nieszczęśliwa kobieta jest nieprzytomną, — rzekł. — Oskarża się o zbrodnią, której nie mogła popełnić zawiniła ona ciężko, ale przecież nie zamordowała nikogo!

— Co teraz...... — zaczęła lady Wiktorya.

— Przedewszystkiem musi ona wypocząć przez kilka dni, a potem zapytamy raz jeszcze, czy jest zdecydowaną na oddanie życia swego za życie Józefiny!

— A jeżeli powie „tak?“

— Wtedy pojadę sam z nią do Petersburga, i postaram się o uwolnienie Józefiny. Dzień ten będzie ostatnim dniem potęgi Wasyla!

— O mój przyjacielu, ty sam chcesz się podjąć uciążliwej podróży do Rosyi? — zawołała lady Wiktorya ze łzami w oczach. — Jakże mam ci podziękować za twoje poświęcenie......

— Nie, nie, o dziękowaniu nie ma mowy! Ja pokochałam bardzo Józefinę — tak, jak gdyby była moją córką, i żadna ofiara dla niej nie jest mi za wielką!

— Jesteś pan szlachetnym człowiekiem!

— Nie myślmy teraz o nas, tylko o tej biednej młodej kobiecie! — odrzekł Tritoni poważnie. — I ciało jej i dusza potrzebuje lekarza!

ROZDZIAŁ CXI.

Dziwna prośba.

Tydzień później był doktor Tritoni z Dianą w Petersburgu.

Na ulicach panował ruch niezwykły, rozeszła się bowiem wiadomość, że car zamierza w otwartym powozie jechać do kościoła. Było to coś niezwykłego!

Ostatni zamach nihilistów przed kilku miesiącami wykonany, dotknął cara głęboko. Nihiliści usiłowali wysadzić w powietrze cały pociąg, którym jechał car sam i jego rodzina. Na szynach rozrzucono bomby dynamitowe, pomimo największej czujności urzędników.

Pociąg został wprawdzie mocno uszkodzony, ale z rodziny cara nikt nie zginął.

Mnóstwo ludzi niewinnych ukarano więzieniem lub wygnaniem na Sybir, właściwi zaś winowajcy zdołali się ukryć tak, że ich nikt znaleźć nie mógł.

Od tego czasu nie ukazywał się car publicznie; nie opuszczał prawie wcale pałacu, a gdy wyjeżdżał do Carskiego Sioła, to zawsze w tajemnicy, tak, że nikt o tem nie wiedział!

Dziś jednak pragnął dowieść swemu ludowi, że zaczyna znowu ufać w jego wierność i przywiązanie, i dlatego zamyślał jechać otwartym powozem.

Tritoni i Diana stali blizko pałacu.

Doktor wyciągnął zegarek.

— Jeszcze dziesięć minut, — rzekł. — Masz pani prośbę przygotowaną?

— Tak, tutaj!

I Diana pokazała mu złożony papier, ukryty starannie pod płaszczem.

— A ręka nie zadrży pani, gdy będziesz miała rzucić prośbę......

— Nie zadrży ani na chwilę!

— Ja teraz oddalę się trochę, nie chcę, aby nas widziano razem. Zresztą ten pan w okularach, patrzący na nas, to pewnie policyant kryminalny! Żegnam cię teraz, księżno Bassano — niech cię Bóg ma w Swej świętej opiece!

Diana patrzała ze łzami za odchodzącym. Była to jedyna jej podpora w tem ogromnem mieście, a teraz — miała być zupełnie samą.......

Powóz cara zbliżał się.

Zgromadzona na ulicy publiczność witała go przeciągłemi okrzykami:

— Niech żyje car!

W pierwszym powozie jechał dyrektor policyi Wasyl w mundurze, kapiącym formalnie złotem.

Ale czoło jego było groźnie zmarszczone, a oczy patrzały na publiczność tak przenikliwie, jak gdyby był chciał odgadnąć, co kto myśli!

Potem jechał car. Na pozór spokojny, czuł się jednak w głębi duszy rozdrażnionym i zdenerwowanym, i przyjmował dosyć obojętnie objawy radości swoich poddanych!

Obok cara siedział wielki książę Włodzimierz, jego brat.

Nagle krzyknął car i zbladł jak śmierć, wielki książę zaś cofnął się żywo.

Tuż przed nimi upadł w powozie jakiś mały błyszczący przedmiot, tak zręcznie wrzucony, że trafił właśnie na nogi cara. Ale nie była to bomba dynamitowa!

Wielki książę schylił się i podniósł ów przedmiot.

— To nic, — rzekł, — list — jakiś.

— Pewnie prośba, — odparł car. — Schowaj ją do kieszeni! Kto to rzucił?

— Nie wiem dokładnie, ale zdaje mi się, że była to jakaś młoda, piękna kobieta!

— Co się z nią stało?

— Pewnie ją aresztowano!

Powóz cara stanął przed kościołem i władzca Wszech Rosyi udał się na nabożeństwo.

* * *

Wszystko to stało się bardzo prędko!

Diana przecisnęła się w pierwszy rząd stojących na ulicy i rzuciła zręcznie list do powozu.

Ale publiczność, sądząc, że to nowy zamach, zwróciła się groźnie ku niej!

Na szczęście jednak byli tam i ludzie rozsądni, i ci starali się ułagodzić wzburzonych.

— Dajcie jej pokój — mówili, — przecież ona wrzuciła tylko list do powozu!

— Chcecie zabić niewinną? — wołali inni.

Teraz nadbiegli policyanci.

— Co pani wrzuciłaś w powóz cara? — pytali.

— List, — odrzekła Diana spokojnie.

— Jak śmiałaś pani w ten sposób przestraszać cara?

— Przestraszać? Od kiedy lęka się panujący prośb swych poddanych!

— Milcz pani! — krzyknął policyant. — Kara w każdym razie nie minie cię!

— Ja też właśnie tego pragnę! — szepnęła Diana



Kto jestem — rzekła Diana spokojnie — jak się nazywam i zkąd przybywam — o tem wszystkiem stoi w mej prośbie.

Zaprowadzono ją więc najpierw na odwach i spytano o nazwisko, pochodzenie i mnóstwo innych drobnych rzeczy, nikt bowiem nie jest tak ciekawym, jak urzędnicy policyi.

— Kto jestem, — rzekła Diana spokojnie, — jak się nazywam i zkąd przybywam — o tem wszystkiem stoi w mej prośbie!

— O co pani prosiłaś cara?

— Car może już wie o tem w tej chwili, a jeżeli nie teraz, to później się dowie!

— Ale ja chcę wiedzieć, — krzyknął urzędnik.

— Może car powie to panu!

— Bezczelna!

Urzędnik był niezmiernie oburzony i kazał odprowadzić Dianę do więzienia.

Gdy młoda kobieta weszła do ciemnej i dusznej celi, upadła na ławkę i gorzkiemi zalała się łzami.

— To pierwsza stacya na drodze mych cierpień, — szepnęła. — Niech mnie Pan Bóg dalej prowadzi!

* * *

Nabożeństwo skończyło się i car wrócił szczęśliwie do pałacu.

Był on teraz w świetnym humorze, i zaraz po obiedzie udał się z carową i bratem do małego chińskiego salonu na kawę i papierosy.

— Ale prawda, — zawołał nagle car, — masz pewnie w kieszeni ten list, który nas tak przestraszył. Trzeba go przeczytać, ciekawy jestem, kto go pisał!

Wielki książę wyjął go z kieszeni i podał bratu.

Car otworzył kopertę, zaczął czytać i poruszył głową.

— Dziwna rzecz! Pisząca, bo to kobieta, prosi mnie, abym ją natychmiast posłał na Sybir!

— Pierwszy raz w życiu słyszę coś podobnego, — rzekła carowa.

— Musi to być jakaś obłąkana, — dodał Wielki książę.

Car czytał dalej.

Nagle rzucił list na stół i zerwał się oburzony.

— Ależ to niesłychane, — krzyknął. — Co sobie ten Wasyl pozwala! W mojem imieniu popełnia zbrodnie, usuwa ludzi. — Są to rzeczy po prostu niemożliwe! Przeczuwałem już oddawna, że on nadużywa swej władzy, ale nie myślałem, że to do tego stopnia się dzieje! Każę natych-

miast tę sprawę rozpatrzeć i biada mu, jeżeli oskarżenia, zawarte w tym liście, są słuszne!

— Ja też nigdy nie miałam do niego zaufania, — rzekła carowa. — Jego uniżoność nie podobała mi się wcale, bo tacy ludzie bywają zwykle tyranami dla swoich podwładnych!

— Muszę natychmiast wydać rozkazy..... bo tu chodzi o życie człowieka.... Przypominacie sobie ową księżnę Dianę de Bassano, cudownie piękną kobietę — która tu przed kilku laty mieszkała, a później zawiązała stosunki z fałszerzami pieniędzy?

— O tak! – odrzekła carowa, — pamiętam ją bardzo dobrze, ona mnie zawsze bardzo zajmowała! Dla biednych prawdziwy anioł opiekuńczy, żona niezmiernie bogatego magnata, uwielbiana, kochana od wszystkich — a z drugiej strony wspólniczka oszustów.....

— Mąż, o ile słyszałem, strasznie był skąpy i nie dawał jej nic! Może to ją popchnęło na drogę występku, kobieta młoda, piękna, pragnęła użyć świata..... Ale o to chwilowo nie chodzi! Zamiast więc Diany de Bassano, skazanej na Sybir, posłał tam Wasyl inną kobietę, zupełnie niewinną, dlatego tylko, że pewien bogaty człowiek grubo mu za to zapłacił!

— O, to okropne! — szepnęła carowa.

Car zadzwonił i rzekł do wchodzącego oficera.

— Proszę się zapytać na policyi, czy kobieta, która wrzuciła mi list do powozu, jest aresztowaną!

Oficer wyszedł.

— Co chcesz uczynić? — zapytała carowa.

— Dowieść urzędnikom, że ja jestem panem w mojem państwie. Idę teraz do mego pokoju a ty, dodał. zwracając się do brata, idź ze mną.

ROZDZIAŁ CXII.

Odkrycie.

Zaledwie car stanął w swoim pokoju, gdy oficer zameldował, że petentka znajduje się w więzieniu.

— Przyprowadź ją natychmiast do mnie! — rozkazał car. — Oprócz tego posłać do hotelu Paryzkiego po doktora Tritoniego!

Oficer wybiegł szybko, car zaś podał bratu list Diany.

— Jest to rzeczywiście oburzające, — zawołał Wielki książe, — i jeżeli wszystko jest prawdą, to Wasyl zasłużył na przykładne ukaranie!

— O, to go nie minie!

Car umilkł i zamyślony przechadzał się po pokoju.

Po upływie dwudziestu minut zameldowano mu księżnę Bassano i doktora Tritoniego.

— Niech wejdą! Nie, razem nie, najpierw księżna! — rozkazał car.

Diana blada, ale spokojna, weszła teraz do salonu.

Car patrzał na nią przez chwilę badawczo i przenikliwie.

— Pani jesteś księżna Bassano? — zapytał w końcu.

— Tak, Najjaśniejszy Panie!

—I żądasz, abym ci pomógł do posłania cię na Sybir?

— Tak, bo nie chcę, aby za mnie cierpiała inna nieszczęśliwa kobieta!

— Może pani myślisz, że rozbroisz mnie tą szlachetnością, — zawołał car szorstko. — Sądzisz, że tamtę niewinną ułaskawię, a tobie winę daruję, ale mylisz się pani!

— Ja na łaskę nie liczę wcale!

— Powiedz mi pani, jakim sposobem mogła się kobieta tak piękna, bogata i ogólnie szanowana, stać wspólniczką pospolitych przestępców?

— Jedyne, co mogę na to odpowiedzieć jest to, że stało się, i że zmienić tego już nie mogę!

— Więc nie chcesz mi wyjawić powodów — no, to nie moja rzecz i pani zostaniesz za to ukaraną! Ale kto mi zaręczy, że pani jesteś rzeczywiście księżną Bassano, a nie przekupioną przez lady Corrigan, abyś winę jej córki wzięła na siebie?

— Racz Najjaśniejszy Panie zapytać o to swego dostojnego brata, Wielkiego księcia Włodzimierza, który na balu u nas tańczył ze mną poloneza i wziął jednę różą z mego bukietu!

Car pytająco spojrzał na brata.

— Tak jest! — zawołał Włodzimirz, — przypominam to sobie bardzo dobrze!

— W takim razie, — odezwał się znowu car, — trzeba mi jeszcze tylko sprawdzić, czy Wasyl działał w dobrej wierze, posyłając córkę lady Corrigan na Sybir, czy też został przekupionym przez lorda. Wyprowadzić teraz księżnę i przywołać doktora Tritoniego!

Rozkaz cara został natychmiast wykonany — Diana wyszła, a na jej miejscu stanął Tritoni.

— Nie jesteś mi pan obcym, — zaczął car uprzejmie, — czytałem z zajęciem dzieła pana. Ale dziś nie mamy czasu do rozmawiania o tem. Opowiedz mi pan dokładnie całą sprawę lady Corrigan i księżnej Bassano!

I Tritoni opowiedział wszystko, z najdrobniejszemi szczegółami.

Opowiedział o nieszczęśliwem położeniu Józefiny, o całem jej życiu i nie zamilczał nic. Na dowód przekupstwa Wasyla zobowiązał się nawet przedłożyć carowi czek Corrigana, który przypadkiem znalazł i wykupił w jednym z największych paryzkich banków.

Car słuchał uważnie i podał w końcu Tritoniemu rękę.

— Wstydzę się — rzekł — że takie rzeczy dzieją się w mojem państwie, ale przynajmniej ukarzę niegodziwego zbrodniarza tak, jak na to zasługuje! Posłać w tej chwili po dyrektora policyi Vasyla — zawołał, otwierając drzwi do pokoju.

Pan zaś — zwrócił się do Tritoniego — i księżna stańcie tu za portjerą i słuchajcie mojej rozmowy z Vasylem....

Diana weszła znowu i usunęła się z Tritonim za wskazaną adamaszkową firanką.

Niedługo potem stanął Vasyl przed carem pewny siebie, spokojny, i bardzo uniżony.

Nie dziwiło go wcale wezwanie cara — zdarzało się to bardzo często, mianowicie w ostatnich czasach, że monarcha kazał go wołać o każdej godzinie. Zwykle kończyła się rozmowa taka pochwałą ze strony cara za wzorowe sprawowanie urzędu.

— Słyszałeś pan — zaczął car poważnie — że mi dziś gdy jechałem do kościoła, wrzucono list do powozu?

Vasyl nic o tem nie wiedział, ponieważ wcale jeszcze w biurze nie był, pomimo to nie przyznał się do tego.

— Tak — zapewne — odpowiedział — wiem już wszystko, i ta osoba, ten mężczyzna zaraz został uwięziony.

Car spojrzał na brata i obydwaj uśmiechnęli się.

— To dobrze — rzekł car. — Jak się nazywa ten człowiek?

— On — on — nie wymienił jeszcze swego nazwiska — wzbraniał się, ale ja go zmuszę...

— Spodziewam się! Tylko, że ja znam już jego nazwisko.....

— Jakto, Najjaśniejszy Pan?

— Tak! Jest to — lord Corrigan!

Vasyl zadrżał, ale nie stracił przytomności umysłu.

— Lord Corrigan? — powtórzył, udając oburzenie. — W takim razie najlepiej wytransportować go pod eskortą za granicę!

— Tak, ale to dziwna sprawa! Pisze on mi o jakiejś córce swojej, którą pod nazwiskiem Diany de Bassano zesłano na Sybir..... On się podobno przyczynił do tego, żałuje jednak swego postępku i chciałby, aby ona wróciła! Dla tego prosi mnie o skasowanie wyroku!

Vasyl bladł i czerwienił się na przemiany — cała jego bezczelność znikła i „wilk" petersburski zamienił się w zwykłego psa, drżącego ze strachu przed uderzeniem swego pana!

— Nie rozumiem tego wszystkiego — mówił car dalej — to tylko mi jasne, że pan aresztowałeś kogoś w domu lorda Corrigan!

— Tak jest — wyjąkał Vasyl — zabrałem stamtąd ową Dianę de Bassano, która oddawna już skazana na dożywotni pobyt na Sybirze. Tak, uczyniłem to, bo mi obowiązek nakazywał...

— A byłeś pan też pewien, że aresztowałeś księżnę Bassano?

— Najzupełniej!

— I wypełniłeś wszelkie formalności?

— To jest — jakie?

— Sprawdziłeś urzędownie tożsamość księżny!

Vasyl czuł, że ziemia mu się z pod nóg usuwa, ale chwytając się ostatniej deski zbawienia, rzekł śmiało:

— Tak!

— Na publicznem posiedzeniu?

— Ta-a-k!

— I sprowadziłeś jako głównego świadka księcia Bassano, mieszkającego, jak wiadomo, w Moskwie?

Zimny pot wystąpił na czoło Vasyla. Ale o jedno kłamstwo mniej lub więcej nie chodziło mu już teraz.

— Tak — zawołał — i książę poznał swoją żonę.

— Kłamco! — krzyknął car ostro — nędzny kłamco! Patrz tutaj, poznajesz Dianę de Bassano? Niewinną posłałeś na Sybir, nikczemniku!

I car odsunął firankę.

Odkryty złoczyńca stał nieruchomy, tylko oczy jego, błędne, nieprzytomne, wpatrywały się w Dianę z wyrazem szatańskiej nienawiści.

Diana uśmiechała się. W tej chwili pomściła się na Vasylu za wszystko to, co on jej uczynił złego przez wykrycie jej stosunków z fałszerzami pieniędzy.

— Doktorze Tritoni — rzekł car — byłeś niestety świadkiem tej sceny, którą chciałbym najchętniej zatrzeć w mej pamięci. Ale to wina tego łotra! Teraz on pozna, co to znaczy być ukaranym! Kozacy, stojący przed pałacem niech mu wyliczą natychmiast na dole dwadzieścia i pięć batów — dodał, zwracając się do oficera a oprócz tego wysyłam go na całe życie na ciężkie roboty w kopalniach na Sybir. Majątek zabierze rząd. Co zaś do księżnej Bassano, to zamieniam karę dożywotniego pobytu na Sybirze na pięcioletni pobyt tamże w dowolnem miejscu. Po upływie pięciu lat może wrócić do Rosyi.

Diana rzuciła się na kolana.

— Ach Najjaśniejszy Panie, — zawołała — ja nie zasługuje na tyle łaski....

— Owszem, zasługujesz pani! Pomogłaś mi do odkrycia niegodziwości Vasyla, i chciałaś kosztem własnej wolności ratować niewinną. Doktor Tritoni zaś, może jeżeli chce, jechać sam po ową nieszczęśliwą córkę lady Corrigan — wydam zaraz stosowne rozkazy — aby wszędzie miał podróż wolną, i aby urzędnicy ułatwili wszystko, o ile się tylko da! Może pan zabierzesz ze sobą księżnę — niech ona zostanie tam, gdzie znajdzie córkę lady Corrigan!

— Najjaśniejszy Panie! Tyle łaski! tyle dobroci — szeptał Tritoni ze łzami w oczach.

W tejże chwili zbliżył się Wielki książę do cara i powiedział mu kilka słów po cichu.

— Prawda, byłbym zapomniał — zawołał car. — Trzeba natychmiast aresztować lorda Corrigan! I on także pójdzie na Sybir — niech się tam jeszcze lepiej zaprzyjaźni z Vasylem. Jeden łotr wart drugiego!

Kozacy wyprowadzili teraz krzyczącego i rzucającego się Vasyla — za nim szedł Tritoni i Diana.

Car wydał rozkaz, aby mu nikt nie przeszkadzał, chciał on być sam z swemi myślami!

ROZDZIAŁ CXIII.

Pod rosyjskim knutem.

Vasyl miał na dziedzińcu pałacowym otrzymać baty, i kozacy, uradowani, że raz też mogą się pomścić na tym, który ich nigdy za ludzi nie uważał, przygotowali wszystko z największym pospiechem do egzekucyi.

W jednej chwili zbiegła się cała służba pałacowa.

Vasyl, rozciągnięty na snopie słomy krzyczał jak szalony, przeklinał cara i świat cały, ale to mu nic nie pomogło. Jeszcze kilka sekund, a uderzenia knutem posypały się gradem na ciało łotra....

Była to straszna scena.

Oficer liczył głośno uderzenia, dwóch olbrzymich kozaków biło na przemiany....

Krew lała się strumieniem, Vasyl był nieprzytomny i gdy go nareszcie podniesiono upadł jak nieżywy.... Wtedy zbliżył się do niego doktor Tritoni!

Przedewszystkiem kazał przynieść wody, obmył i obwiązał rany, i poszedł do apteki po gojącą maść i orzeźwiające krople, i tak opatrzonego zaniesiono dopiero do celi więziennej.

Lord Corrigan tymczasem, nie przeczuwając, jakie chmury zebrały się nad jego głową, zjadł spokojnie wykwintne śniadanie w jednej z najpierwszych restauracyi, i wracał ze siebie zadowolony, do domu. A gdy skręcał na ulicę, na której mieszkał, stanął nagle, i zaklął głośno, patrząc na szybko przechodzącego mężczyznę.

— Co u djabła! — zawołał — przysiągłbym że to Tritoni! [illegible] on tu jednak szukał? Musiałem się omylić, to chyba nie on!

W domu czekał na niego ambasador angielski.

Baron Percy był dziś bardzo poważny. —

— Kochany lordzie, — rzekł bez wszelkich wstępów, — przychodzę ci powiedzieć, że oddano mi skargę na ciebie. Żona pana napisała ją — oskarżenie to było już w rozmaitych gazetach, i przyznam się, że dziwne o panu chodzą wieści.

Corrigan zbladł.

— Ah, — rzekł niedbale, — to właśnie urojone idee mojej żony. Gazety będą musiały odwołać wszystko!

— Mylisz się pan! Doniesiono mi z Anglii, że żona pana wcale obłąkaną nie jest, i że dziewczyna, wysłana na Sybir, jest rzeczywiście córką pana! Ja ci dam najlepszą radę: zapakuj rzeczy i uciekaj — nie do Anglii, bo tam nie byłbyś bezpiecznym, jedź do Szwajcaryi lub do Hiszpanii i zabaw tam parę lat! Albo może wolisz pan Amerykę — to właściwie jeszcze lepsze!

Lord Corrigan posiniał na twarzy.

— Nie powinienem był może tego uczynić, — dodał Percy cicho, ale znam pana od dawna i lubiłem cię zawsze. Nie chcę też, aby w arystokracyi angielskiej takie się działy skandale. A teraz żegnam pana i radzę szczerze, uciekaj jak najprędzej.

— Dziękuję panu, — rzekł Corrigan, podając mu rękę, — usłucham pana i wyjadę dziś jeszcze.

Percy udawał, że nie widzi wyciągniętej ręki i otworzył drzwi.

Ale równocześnie krzyknął przeraźliwie i cofnął się żywo, za drzwiami stało dwóch żandarmów.

— Gdzie jest lord Corrigan? — rzekł jeden z nich, wchodząc do pokoju.

— Czego chcecie? szepnął nędznik, drżąc ze strachu

— Aresztować pana!

I w następnej chwili miał już kajdany na rękach.

— Przybyłem zapóźno, — pomyślał Percy.

Wszystko to stało się tak prędko, że Corrigan jeszcze nie oprzytomniał.

— Ratuj mnie pan! — zawołał, zwracając się do ambasadora, — przecież ja jestem angielskim poddanym! Masz obowiązek ratowania mnie!

— Ja panu niestety pomódz nie mogę!

Teraz nareszcie rozpoznał Corrigan całe niebezpieczeństwo, jakie mu groziło; straszna rozpacz ogarnęła go, — Panie! — krzyczał, wyciągając skute ręce, — idź do cara, idź i proś, aby mnie uwolniono! Telegrafuj do Londynu, ja jestem lordem Corrigan, parem angielskim, krewnym królowej! Jak można się odważyć na aresztowanie mnie! Jedno słowo wystarczy, baronie! Jedno słowo! błagam pana! Przemów — wstaw się za mną! Zaklinam cię na naszą przyjaźń!

— Nie wspominaj pan o tem, — odrzekł Percy niechętnie. — Żałuję, że niegdyś zwałem cię mym przyjacielem — i nic ci pomódz nie mogę! Sprawa twoja zostanie oddaną prokuratorowi, jeżeli się okaże że jesteś niewinny, to dobrze, a jeżeli jesteś winnym, to kara będzie słuszna. Dla przestępcy i zbrodniarza nie ruszę palca.

Mówiąc to, wyszedł, a lord Corrigan upadł z przerażającym krzykiem na ziemię.

Na usta jego wystąpiła piana, a oczy stały słupem, jak u umierającego.

Z piersi głuche wydobywało się rzężenie i całe ciało wyprężyło się jak struna.

— To konwulsye, — rzekł jeden z żandarmów. Trzeba posłać po doktora!

Przywołany lekarz skonstantował rzeczywiście kurcze epileptyczne i początek obłąkania.

— Długo on w więzieniu nie zabawi, — rzekł żandarm. — Zostanie wysłany do kopalni ołowiu, a czy tam przyjdzie jako obłąkany, czy tam straci zmysły, to wszystko jedno!

— To prawda

Lekarz wzruszył ramionami i wyszedł.

* * *

Następny dzień był chmurny i ponury.

Wasyl i lord Corrigan, obydwa w ubraniu więźniów, szli na Sybir.

— Ha, ha, ,ha, Wasyli, — śmiał się Corrigan dzikim, nieludzkim śmiechem, — idziemy razem na przechadzkę, nieprawda? Jaki zaszczyt dla ciebie, że idziesz ze mną! Ale na Sybirze zimno, ha, ha, ha, zimno! —

— Milcz, syknął Wasyl, — ja ledwie chodzić mogę z bólu, a ty się śmiejesz! Ale tyś szczęśliwy! Twój umysł

chory, nie wiesz, co cię czeka i nie odczuwasz już nie! ale ja wiem — ach! Wczoraj potęga w Petersburgu, przed którą wszyscy drżeli, jestem dziś nędzarzem! Przeklętym niech będzie każdy, kto jest przyczyną mego nieszczęścia, przeklęty niech będzie cały świat!

Kilka wiorst za Petersburgiem spotkali więźniowie piękny ekwipaż, przejeżdżający szybko koło nich. Kilku Kozaków na koniach towarzyszyło mu, a w powozie siedziała Diana i doktór Tritoni.

— Patrz pani, — zawołał nagle Tritoni, — tam idą dwaj nedznicy, Wasyl i lord Corrigan!

Ale Diana zamknęła oczy...

ROZDZIAŁ CXIV.
Samotny dom na Sybirze.

W pobliżu Krasnojorska, gubernialnego miasta Sybiru, znajdował się mały domek wśród obszarów pustych jak oaza na pustyni.

Mały ogródek otaczał ową pustelnią, i wszystko wyglądało tu czysto i schludnie.

Przed domem na ławce siedziały dwie kobiety.

Były to Józefina i Felicja!

— Wejdźmy lepiej do pokoju — odezwała się Józefina — lękam się bowiem, aby ci nie było za zimno. Czas też zresztą na kolacją.

— Ach, pozwól mi tu jeszcze zostać — prosiła Felicja. — Tak lubię patrzeć na wieczorne niebo.

— Wiem, jak nieszczęśliwą się tu czujesz, kochanie! Napisz do cesarzowej Elżbiety, a wkrótce będziesz wolną! Dla mnie nie ma przyszłości, ja muszę tu zakończyć życie, ale ty! Jedno słowo wystarczy.

— W takim razie zostałabyś tu samą!

— Zapewne, ale ja od siebie nie zależę! Ja nie przyszłam tu dobrowolnie, podczas kiedy ty sama chciałaś tego. I jestem przekonana, że ty wnet mnie opuścisz, że wrócisz na świat, do ludzi, do szczęścia!

— Nie, nie! Ja nie mogę wychowywać mego dziecka, które się wkrótce ma urodzić, pomiędzy ludźmi! Lepiej że się urodzi tu i wychowa w pustyni! Nie mogę brać odpowiedzialności za jego instynkta, które odziedziczy po ojcu! Jeżeli to ma być podobny zbrodniarz, to lepiej, niech tu żyje!

— Ale czemu to dziecko ma być koniecznie takiem, jak jego ojciec? — zawołała Józefina. — Od czego wychowanie, zwyczaje, wpływy! Chociażby miało złe skłonności, to ty właśnie możesz je przytłumić, a to, co jest w niem dobrego, wykształcić! Jak piękne dał ci Bóg zadanie! Dziką latorośl uszlachetnić, wychować uczciwego człowieka — czy to nie dosyć?

— Ach, ty nie wiesz, ile ja wycierpiałam! Żyć z takim potworem! Ty nie możesz pojąć mego strachu, aby to dziecko nie było takiem, jak ojciec! Ono przyjdzie już na świat z piętnem Kaina — krew ojca odezwie się w niem czy prędzej, czy później!

Józefina milczała. Wiedziała ona, że nie zdoła przekonać Felicji o mylności jej przekonania i nie chciała jej więcej jeszcze rozdrażniać.

Los dwóch tych kobiet był względnie znośny, mogły one jeszcze o szczęściu mówić.

W Krasno Jarsku zwolniono je z kajdan i pozwolono im iść, gdzie chcą naturalnie w bliżej oznaczonych granicach. I teraz zesłał im Bóg opiekuna i dobrodzieja w osobie pewnego rosyjskiego księcia, który już od dziesięciu lat mieszkał na Sybirze.

Oskarżonego o stosunki z nihilistami wysłano tutaj — ale książę umiał zabrać potajemnie dosyć dużo pieniędzy, i kupiwszy sobie ów ładny domek z ogrodkiem, przepędził w nim całe dziesięć lat.

Za staraniem braci uwolniono go nareszcie i tak ofiarował on Józefinie i Felicyi, które przypadkiem poznał, swój dom, nie żądając naturalnie za to żadnego wynagrodzenia. Zostawił im nawet jeszcze trochę pieniędzy i co ważniejsze, spory zapas drzewa na zimę.

I gdy Felicya siedziała teraz z Józefiną i rozmawiała z nią o przyszłości, dał się nagle słyszeć tentent konia i zaraz potem ukazał się na małym, żwawym koniku znany tu ogólnie kozak Michał.

Był to jedyny człowiek, którego widywały. Objeżdżał on cały okręg i rewidował osady, czy wszyscy więźniowie są na miejscu, czy nikt nie uciekł, i zarazem przywoził za stósownem wynagrodzeniem, żywność z miasta oraz listy, jeżeli władza na to pozwalała.

Osadnicy lubili dobrodusznego Michała i cieszyli się zawsze, ile razy przyjeżdżał.

Michał zeskoczył teraz z konia i wręczył Józefinie małą paczkę i rubla.

— Tyle mi jeszcze zostało, — rzekł uprzejmie.

— Zatrzymajcie to sobie, — uśmiechnęła się Józefina.

— Niech wam Pan Bóg zapłaci! — podziękował kozak, — niech wam da wolność!

— Nie macie jakiego listu?

— Nie!

— Więc znowu nic! — szepnęła Józefina smutnie. — Oddaliście też wówczas ten list na pocztę, który wam wręczyłam?

— Tak pani, napewno! Pamiętam jeszcze adres, Nelly Rosen! — Bóg mi świadkiem, że go oddałem!

Teraz zbliżyła się Felicya.

— Zimno mi trochę, — rzekła, — zastaw samowar, Józefino!

Józefina wyszła zaraz, a Felicya zbliżyła się szybko do kozaka i szepnęła:

— Oddaliście ten list do barona Maksymiliana Kronau?

— Tak, pani, świadczę się Bogiem, że go oddałem! odpowiedział Michał.

— Ale trzy miesiące minęły już, a ja nie mam odpowiedzi! Co to znaczy?

Kozak zamyślił się — potem wzruszył ramionami i rzekł krótko:

— Nie wiem!

Nie długo potem odjechał Michał i Felicya została sama w pokoju.

— Czy list mój nie doszedł go? — myślała smutnie. — Pisałam do niego, donosiłam mu o położeniu Józefiny — powinien więc spieszyć na ratunek!

Podobne myśli zajmowały Józefinę, gdy przygotowywała herbatę.

— Nie pojmuję, że nie mam dotąd odpowiedzi, — mówiła sobie w duszy, — a przecież cesarzowa powinna się nią zająć.

Pół godziny później siedziały obie przy skromnej kolacyi i rozmawiały, jak zawsze, o swoich ukochanych, których już nigdy nie spodziewały się zobaczyć.



W następnej chwili wskoczył ów straszny gość do pokoju.

Nareszcie uczuła się Józefina zmęczoną.

— Już czas na spoczynek, — rzekła. — Idźmy spać, może we śnie zobaczymy tych, z którymi na wieki jesteśmy rozłączone. Sen, to jedyny nasz pocieszyciel!

I zapaliwszy lampkę, weszła do wspólnej sypialni.

Był to mały pokoik o jednem oknie, nie mającem okiennicy, bo to zupełnie zbytecznem tutaj było. W takiem

pustkowiu nie ma złodziei, wiedzą bowiem, że nic by tu nie znaleźli, rząd zresztą bardzo na to uważa i każdego złodzieja posyła bez litości do kopalni ołowiu.

Felicya rozebrała się szybko i leżała już w łóżku, starannie przez towarzyszkę swoją okryta, Józefina zaś zasłoniła jeszcze okno chustką, aby im promienie księżyca w oczy nie padały i położyła się także.

Cisza głęboka zapanowała w domku.

Obie młode kobiety spały mocno, ale Józefina dziwny miała sen.

Zdawało jej się, że Maksymilian mieszka tu z nią, że wraca z polowania i chce wejść do domu. Nie mogąc jednak znaleźć klucza, zamierza wejść oknem i....

W tejże chwili obudziła się.

Czy ją słuch łudzi?

Za oknem dał się wyraźnie słyszeć jakiś szelest — teraz brzęk stłuczonego szkła, i zanim Józefina zdołała oprzytomnieć, ukazała się z pod chustki, zawieszonej na oknie — nie głowa Maksymiliana, tylko wstrętna twarz — jakiegoś obdartego, okropnego włóczęgi!

W następnej chwili wskoczył ów straszny gość do pokoju.

ROZDZIAŁ CV.

Okropny koniec.

Józefina zerwała się jak szalona i w mgnieniu oka zarzuciła suknią na siebie.

Pierwszą jej myślą była Felicya.

Młoda kobieta spała i uśmiechała się we śnie, nie przeczuwając, jak przerażającem będzie jej przebudzenie!

Józefina zbliżyła się szybko do łóżka przyjaciółki i stanęła przed nią, zdecydowana bronić jej do upadłego.

Napastnik tymczasem stał zawsze przy oknie, i widać po nim było, że jest śmiertelnie zmęczony.

Na pierwszy rzut oka poznała Józefina, że to zbiegły więzień, jeden z tych, którzy pracują w kopalniach ołowiu. Odzienie jego składało się z długiego białego kaftana i szerokiego pasa, na nogach zaś miał resztki butów tylko, a wszystko to było zakurzone, brudne i poplamione krwią.

Musiał on wiele wycierpieć, zanim tu przyszedł. Józefinie żal się zrobiło biednego człowieka, i już otwierała usta, aby mu powiedzieć, że nie potrzebuje się niczego obawiać, że tu go nikt nie zdradzi, gdy nagle oczy jej spotkały się z oczami jego — i — poznała go!

— Boże Miłosierny! — krzyknęła przeraźliwie, — czy ja śnię jeszcze? Obudź się Felicyo, obudź się — nowe nieszczęście grozi nam — to jest — Wasyl!

Felicya obudziła się i jak nieprzytomna patrzała na Józefinę i na Wasyla, nie wiedząc, co to wszystko znaczy. Nie mogła ona tak prędko zebrać myśli.

Wasyl, usłyszawszy nazwisko swoje, roześmiał się głośno.

— O, jakie miłe spotkanie! — zawołał ochrypłym głosem, — wszakże to tak zwana panna Corrigan! Ach, żeby nie ty, przeklęta dziewczyno, nie byłbym tu dzisiaj! Wszystkiemu ty jesteś winną! — A to, — dodał, zbliżając się do Felicyi, — też moja znajoma — hrabina Barin — ha, ha, ha, to dobre! Córka hrabiego Szalenburga! No, to jestem w dobrem towarzystwie!

Józefina pomogła Felicyi wstać i ubrać się trochę — Wasyl usiadł na krześle i odpoczywał.

Położenie obydwóch kobiet było rozpaczliwe.

Teraz wstał Wasyl, otworzył drzwi do przyległego pokoju i widząc, że nikogo tam nie ma, uśmiechnął się zadowolony. Nie potrzebował się nikogo obawiać.

— Dajcie mi co do jedzenia i picia, — rzekł rozkazująco. — Widzę, że żyjecie tu dobrze, mieszkanie wasze wspaniałe. Zostanę u was, bo mi się tu podoba, a przynajmniej zabawię tak długo, dopóki mi się nogi wygoją! No dalej przynieście mi chleba i mięsa!

— Nie pozostanie nam chwilowo nic innego, jak dać mu, czego żąda, — szepnęła Józefina.

Felicya milczała. Była bladą jak trup i oddychała z trudnością.

— Połóż się znowu, — prosiła Józefina, — ja sobie dam już radę z nim! Przejdźmy, dodała, zwracając się do Wasyla, — do drugiego pokoju, moja przyjaciółka jest cierpiącą i chce się położyć!

Wasyl poszedł za nią i zażądał teraz jeszcze ciepłej wody do obmycia nóg.

Józefina w niczem mu się nie sprzeciwiała.

Postanowiła ona wykonać każde jego życzenie, aby nie wywołać jego złości, chodziło jej bowiem jedynie o Felicyą.

W małej kuchni rozgrzała teraz prędko wody, naparzyła herbaty, i przyniosła Wasylowi chleba, sera, zimnego mięsa i szklankę mleka.

— Nie macie wódki? — zawołał.

— Nie, mamy tylko czasem trochę mleka!

— Tabaki też naturalnie nie ma?

— Nie!

— Przeklęte kobiece gospodarstwo! Ale mniejsza o to, bylebym mógł sobie odpocząć! Umyjcie mi teraz nogi, — zawołał, śmiejąc się rubasznie.

Krew uderzyła Józefinie do głowy. Cofnęła się od stołu i milcząc, zamierzała wyjść z pokoju.

— Umyj mi nogi, słyszałaś? — krzyknął.

— Tego nie zrobię, — odrzekła stanowczo. — Nie nadużywaj pan naszej gościnności!

— Gościnność wasza! Teraz ja tu jestem panem, moja kochana, i wy będziecie mi posłuszne! Mogę was zamordować, jeżeli chcę, i kto mi co za to zrobi? W tej chwili umyj mi nogi! Radzę wam, nie opierajcie się moim rozkazom!

Józefina nie opierała się dłużej. Ze łzami w oczach uklękła i obmyła starannie poranione i pokrwawione nogi łotra i przyniosła czyste chustki, aby je niemi owinąć.

Wasyl jadł z chciwością wilka, widać było, że dawno już nie miał nic w ustach, ale klął nieustannie, że nie ma wódki.

Gdy się dostatecznie posilił, rzekł do Józefiny:

— Nie dziwisz się wcale, że się tu w Sybirze spotykamy, że ja, niedawno jeszcze najpotężniejszy człowiek w Petersburgu, jestem dziś tem, czem ty, deportowanym na całe życie na Sybir!

Józefina nie odpowiedziała ani słowa. Dziwiło ją to wprawdzie niezmiernie, ale nie chcąc rozpoczynać z nędznikiem wogóle rozmowy, milczała.

Wasyl jednak był teraz w dobrym humorze, a że nie miał pewnie przez długi czas sposobności rozmawiania z ludźmi, przeto pragnął wypowiedzieć raz chociaż swoje myśli.

— Tak, tak, moja piękna, — zaczął, — ty jesteś winną, że ja się tu znajduję! To jest — mówiąc prawdę, nie tyle ty, ile twój ojciec! Ale on już nie żyje!

Józefina zadrżała na wspomnienie ojca. Wasyl zauważył to i z szyderczym uśmiechem mówił dalej:

— Nie potrzebujesz się o to smucić zbytecznie, że pozbawiłem cię takiego ojca — bo on dał mi stopiędziesiąt tysięcy rubli za to, aby ciebie posłać na Sybir!

Więc sprawa nasza wydała się, i popędzono nas w kajdanach, jak bydło, na tę pustynią. Tworzyliśmy piękną parę — lord Corrigan i dyrektor policyi, Wasyl!

Ale wytworny lord nie mógł znieść klimatu syberyjskiego, i utrudniał mi życie, które i tak już słodkiem nie było. Stracił rozum i obłąkanie jego wybuchało z całą gwałtownością.

Albo śmiał się, jak idyota, i bawił się jak dziecko, albo przeklinał świat cały i rzucał się, jak zwierzę. Miewał raz po raz epileptyczne kurcze — padał wtedy na ziemię i wił się jak wąż — a ja musiałem klękać obok niego i patrzeć na to wszystko....

Tysiące razy życzyłem mu śmierci, ale zdawało się, że to ciało z żelaza. W końcu ustały kurcze i zostało tylko obłąkanie! A ja upadałem z dnia na dzień na siłach..... Żebym był miał innego towarzysza, to byłbym wcześniej może mógł pomyśleć o ucieczce — ale uciekać, będąc skutym z waryatem — nie, o tem ani myśleć nie było można.

Długo rozważałem nad tem, w jaki sposób pozbyć się tego przeklętego Corrigana i nareszcie ułożyłem plan. Gdy przybyliśmy na miejsce przeznaczenia, do owych okropnych kopalni ołowiu, upili się dozórcy tak, że spali, jak zabici. Nawet kozacy, czuwający w nocy nad nami, usnęli. Z tego postanowiłem korzystać. Takiej drugiej nocy tak prędko by nie było!

Corrigan leżał obok mnie i spał, jak książę, wstałem więc ostrożnie — i jednym szybkim ruchem schwyciłem go za gardło. Chciał krzyczeć, ale nie mógł — trzymałem go silnie i po chwili —

Lord Corrigan nie żył!

Józefina zakryła twarz rękami. Było to okropne!

Pomimo, że Corrigan był jej śmiertelnym wrogiem i z jego powodu w tak strasznem znajdowała się nieszczęściu, to jednak opowiadanie Wasyla przejęło ją grozą i współczuciem dla zamordowanego.

Wasyl tymczasem pił spokojnie herbatę i zaczął znowu mówić dalej.

— Pracowałem w pocie czoła nad uwolnieniem się od trupa. Ale kajdany mocno były skute, i pomimo nadludzkich prawie usiłowań nie mogłem ich złamać. Wiedząc zaś, co mnie czeka w razie odkrycia mego uczynku, musiałem uciekać, czy sam, czy z trupem! I w ostateczności zarzuciłem ciało mego towarzysza na ramiona i wysunąłem się ostrożnie z namiotu. Kozacy spali, nikt mnie nie zatrzymał. Uciekłem w step — pędziłem na oślep, nie wiedząc gdzie. Kozaków nie obawiałem się, ale miałem okropny strach przed wilkami. Tej nocy jednak sprzyjało mi szczęście — nie spotkałem ich, nad ranem rzuciłem się na spoczynek w jakieś zarośla — ciężki trup Corrigana leżał przy mnie! Ale ja na nic nie zważałem, byłem tak zmęczony, że natychmiast usnąłem.

Nazajutrz obudziłem się późno i spojrzałem na ciało lorda — było ono żółte i zwiędłe. Miałem nadzieję, że teraz będzie lżejsze, bo że się od tego ciężaru wogóle uwolnię, na to nie liczyłem wcale!

Wziąłem więc znowu trupa na plecy i szedłem dalej. Głód i pragnienie zaczęły mi niezmiernie dokuczać, a na stepie nie było nic, czem bym mógł się był posilić. Ani kropli wody! Na drugi dzień czułem, że siły zaczynają mnie opuszczać, i wiedziałem, że jeżeli nie trafię wnet do jakiej osady Kirgizów, to zginę marnie z głodu i zmęczenia.

Czwarta noc już nadchodziła. Byłem tak znużony, że ledwie się wlokłem — nogi moje były spuchłe, nabrzmiałe, zakrwawione, w uszach mi szumiało i zaczynałem prawie zazdrościć temu, którego na plecach dźwigałem. On już przebył to, co mnie czekało.

Chciałem się właśnie położyć w wysokiej trawie, gdy nagle ujrzałem tuż przed sobą — wilka.

Chwila, której się tyla obawiałem, nadeszła.

Krzyknąłem okropnie i podniosłem kij, jedyną moją broń, ale wilk nie uląkł się tego i skoczył na mnie.

W tejże chwili obróciłem się mimowolnie, i wilk skoczył mi na plecy.

Trup Corrigana ochronił mnie od niechybnej śmierci, wilk pożerał go chciwie — a ja stałem cicho z tą okropną myślą, że po trupie przyjdzie kolej na mnie....

Ale stało się inaczej.

Wilk przegryzł rękę trupa, skutą kajdanami z moją ręką, i spadł razem z ciałem na ziemię.

Byłem wolny!

Pozbyłem się trupa i ta myśl dodała mi znowu nieco odwagi!

Wilk zajęty pożeraniem ciała, nie zwracał na mnie uwagi — oddaliłem się więc zwolna o kilka kroków — potem rzuciłem się w trawę i czołgając się na rękach i nogach — uciekałem coraz prędzej i prędzej.

Nie wiem dziś już, jak ową noc przepędziłem — czy biegłem dalej, czy spałem — nie mogę sobie niczego już przypomnieć. Wiem tylko tyle, że nazajutrz obudziłem się koło południa dopiero.

Ledwie mogłem wstać, tak byłem słaby, ale zdawało mi się, że muszą tu w bliżkości mieszkać ludzie — takie miałem przynajmniej uczucie.

Zebrałem więc jeszcze raz wszystkie siły i poszedłem dalej.

Spodziewałem się każdej chwili śmierci — pięć dni nie jadłem nic i nie piłem kropli wody.

Położyłem się nareszcie nad wieczorem i powiedziałem sobie, teraz umrę!

Nagle uczułem jakąś wilgoć na twarzy i otworzyłem oczy.

Kropla po kropli spadały na mnie, deszcz.

Byłem ocalony.

Leżałem z otwartemi ustami i połykałem chciwie zbawienne krople!

Na drugi dzień rano czułem się cokolwiek mocniejszym i na szczęście znalazłem drzewo — dziką jabłoń, niezbyt wysoką. Zerwałem za pomocą mego kija kilka jabłek, zjadłem je — potem szedłem znowu cały dzień i — przybyłem do was!

I teraz jestem tu i zostanę tu! Bardzo mi się podoba wasz dom i całe urządzenie, będzie mi tu bardzo wygodnie! A ty moja piękna, z wdzięczności za to, że zgładziłem twego ojca, powinnaś mnie przynajmniej pocałować. Los dał mi wszystko, czego pragnąć mogę — dom — i piękną kobietę! Pójdź, nie dróż się — nie miałoby to tutaj żadnego celu!

Józefina krzyknęła i odskoczyła od stołu.

— Nikt cię tu nie usłyszy — rozśmiał się Vasyl brutalnie — z dwiema kobietami dam sobie jeszcze radę!

I ująwszy jej ręce, usiłował ją do siebie przyciągnąć.

— O ratunku! ratunku! — krzyczała Józefina w śmiertelnej trwodze.

Vasyl śmiał się — i już dotykał ustami twarzy Józefiny gdy nagle ciężki jakiś przedmiot przesunął się w powietrzu i upadł na głowę nędznika.

Vasyl krzyknął przerażająco, zatoczył się i upadł na wznak, jak kłoda drzewa.

W tejże samej chwili stanęła Felicja na progu i rzekła bezdźwięcznym głosem:

— Zabiłam go.

ROZDZIAŁ CXVI.

Kosztem życia.

Potem zemdlała.

Józefina zrozumiała teraz wszystko.

Felicja, usłyszawszy rozpaczliwe wołania Józefiny, zerwała się, a uchwyciwszy ciężki żelazny dzban, stojący na umywalni, rzuciła go bez namysłu napastnikowi na głowę.

I trafiła go tak dobrze, że niegodziwy łotr już przytomności nie odzyskał.

I tak skończył ów osławiony „wilk petersburgski", zabity na stepach Sybiru przez słabą, bezbronną kobietę — ten sam, przed którym drżało niegdyś całe miasto.

Ale położenie obydwoch kobiet było okropne.

W jednym pokoju trup nędznika — w drugim Felicja — walcząca ze śmiercią!

Przebyte świeżo wzruszenia przyspieszyły stanowczą chwilę — nieszczęśliwa kobieta urodziła tej samej nocy syna w strasznych męczarniach, i wyczerpana z sił, na pół martwa, leżała teraz, oczekując śmierci.

— Czuję, że koniec się zbliża, — szeptała gasnącym głosem. — Umrę wnet i zostawię cię tu samą.....

— Nie, ty nie umrzesz! — wołała Józefina, — ty żyć musisz! Nie rań mi serca, najdroższa takiemi słowami!

— Cóż to wszystko pomoże! Nie wychowam już mego dziecka!

— Ach, Pan Bóg jest dobry i zlituje się nad nami! On przyśle nam ratunek — On — ale cóż to? Słyszysz Felicyo — słyszysz — ?....

Zdaleka dało się słyszeć rżenie koni i turkot kół -

Czy to złudzenie?

Józefina, trzymająca w objęciach Felicyę, położyła ją teraz na poduszki i wybiegła przed dom.

— Wielki Boże! — zawołała głośno. — To cud! Wysłuchałeś moją prośbę!

Światło latarni błyszczało w ciemnościach nocy — wózek jakiś zbliżał się szybko.... teraz mogła Józefina rozpoznać już osoby — oprócz zwoszczyka na koźle, siedziały na wózku dwie osoby, kobieta i mężczyzna.....

I teraz.

— To tutaj być musi, — dał się słyszeć głos mężczyzny. — Tutaj znajdziemy je!

Józefina potarła czoło — czy to sen?

Na wózku siedział — doktor Tritoni!

Nie to nie sen, to rzeczywistość!

Tritoni zeskoczył z nizkiej bryczki i podał rękę jakiejś młodej kobiecie.

Józefina zamiast przywitać gościa, wbiegła napowrót do pokoju Felicyi.

— Bóg zesłał nam ratunek, o który go błagałam, — zawołała, — nie umrzesz Felicyo! Doktor Tritoni jest tutaj!

Ale Felicya była nieprzytomna.

W tej samej chwili wszedł Tritoni do pokoju.

— Przynoszę wam wolność! Wolność! wołał już w sieni.

— Komu? — odpowiedziała Felicya.

— Tobie, moje dziecko! Nieszczęście twoje skończone! Jesteś wolną!

Józefina milcząc, rzuciła mu się w objęcia.

Tego szczęścia nie spodziewała się dziś wcale!

— Lady Corrigan — zaczął teraz Tritoni uroczyście — ten tytuł i nazwisko należy ci się odtąd, matka twoja oczekuje cię z niezmierną tęsknotą! Jesteś już urzędownie uznana za jej córkę!

— O Boże! Tyle łaski, tyle szczęścia — szeptała Józefina, a gorące łzy radości spływały po jej twarzy.

Ale teraz przypomniała sobie Felicję!

— Panie doktorze — zawołała — jestem straszna egoistka! Myślę tylko o sobie, a tu leży moja przyjaciółka, hrabina Szalenburg, nieprzytomna i prawie umierająca. Ratuj pan ją!

Tritoni zbliżył się natychmiast do łóżka i spojrzał na Felicją i jej dziecko.

— Chłopiec zdrów i silny — rzekł — o niego nie potrzeba się obawiać — matka — hm — hm.

— Ach, ona przecież będzie żyć — jękła Józefina. — Ona umrzeć nie może.

— Moje dziecko — odpowiedział Tritoni poważnie — w takiej godzinie stoi każda kobieta w ręku Boga, i muszę niestety przyznać, że ta biedna bardzo źle wygląda! Zostaw mnie teraz samego z nią, możesz być pewną, że uczynię wszystko co mogę, aby ją uratować!

Józefina wyszła i ujrzała w sieni — Dianę, której dotąd wcale nie znała.

Księżna upadła przed nią na kolana.

— Wybacz mi, wybacz mi, — zawołała. — Ja jestem tą, dla której ty tak dużo wycierpiałaś! Jestem Dianą Bassano.

Te słowa wyjaśniły Józefinie wszystko.

— Pani wcale winna nie jesteś, — rzekła, pochylając się ku niej, — więc też nie mam ci nic do wybaczenia! Wszystko, co się stało, wynikło z nieszczęśliwych okoliczności, za które nikt odpowiadać nie może. Wstań pani, proszę, i...

W tejże chwili spostrzegła Diana przez otwarte drzwi martwe ciało Wasyla, leżące blizko progu.

— Co to jest! — krzyknęła, zrywając się. Czy podobno? Wszakże to — Boże mój! To Wasyl!

— Tak, to on, — odrzekła Józefina. — Kara Bozka nie minęła go — umarł tutaj w obecności tych, które tak skrzywdził. Felicya zabiła go, i nie żałujemy tego ani na chwilę!

— Nikt więc ujść nie może sprawiedliwości Boga, — szepnęła Diana, odwracając się od wstrętnego widoku. — Teraz, na miejscu pani zostanę ja tutaj — przez całe pięć lat! I to słuszna kara za moje grzechy!

Józefina zadrżała.

Jeżeli Felicya umrze, to ta młoda, piękna kobieta zostanie zupełnie sama!

Po upływie kilku minut wszedł Tritoni, a jedno spojrzenie na poważną jego twarz wystarczało, aby poznać jak groźnym był stan Felicyi.

— Panie, — zawołała Józefina, — nie mów, że Felicyi zagraża jakie niebezpieczeństwo! Tylko nie to! Ratuj ją pan! Ach, wszakże tyle ludzi ocaliłeś od śmierci, ocal moją jedyną, najlepszą przyjaciółkę!

— Z wolą Boga walczyć nie mogę, — odrzekł Tritoni. — Chora bardzo jest słabą — gdybym był dwie lub trzy godziny prędzej przyjechał — chociaż i to nie wiele byłoby pewnie pomogło! Módl się i proś Boga, aby jej dał śmierć prędką i lekką.

Józefina głośnym wybuchnęła płaczem.

— Czy Felicya jest przytomną? — szepnęła.

— Chwlowo — tak, i chce cię koniecznie widzieć aby się z tobą pożegnać. Pójdź pani, nie czekaj — każda minuta może być ostatnią!

Józefina szybko otarła oczy.

— Niech nie widzi moich łez, — rzekła. — Nie powinna wiedzieć, że — że —....

— Ona wie, że musi umrzeć! Nie zdołałem jej tego wyperswadować. Należy ona do tych umierających, które z całą przytomnością przechodzą na inny świat!

I teraz weszli wszyscy do pokoju Felicyi.

Umierająca leżała blada i spokojna — obok niej dziecko, które Tritoni musiał jej podać — —

Był to widok rozczulający!

Życie kończące się i rozpoczynające — dwa przeciwieństwa, pierwsze wynikiem drugiego! Pojęcie nieskończoności obiegu świata i czasu!

Gdy Józefina zbliżyła się do łóżka, podniosła Felicya rękę i wskazała dzicko.

— Patrz Józefino, — rzekła dosyć wyraźnie. — oto trzymam w objęciach to, czego się tak lękałam, a za co teraz chętnie oddaje życie! Moje dziecko ukochane — ale Bóg nie chce, abym je wychowała! Popełniłam ciężki grzech uciekając tu, na pustynię syberyjską, myśląc, że muszą ukryć przed ludźmi dziecko takiego ojca! Bóg ukarał mnie za to i uznaję jego sprawiedliwość. Umrę za chwilę! Nie, nie łudź się Józefino — ja czuję, że serce moje uderza coraz wolniej...

Józefina i Diana płakały głośno, i nawet Tritoni otarł ukradkiem łzę z oka.

— Ale ja umieram — mówiła Felicja dalej, coraz słabszym głosem, — z tem przeświadczeniem, że nie zostawię dziecka mego samego i opuszczonego. Tobie Józefino, powierzam je — ty mu będziesz matką — twoje serce jest tak wielkie, tak szlachetne! Ach, przed kilku godzinami nie byłoby mi tak ciężko umierać, jak teraz!

Józefina wstała i ujęła ręce Felicji w serdecznym uścisku.

— Moja siostro droga — rzekła uroczyście — powierzyłaś mi twoje dziecko, twój skarb najdroższy, przysięgam ci więc na wszystko, co mi najdroższego na świecie, na zbawienie duszy, że syn twój będzie u mnie, że wychowam go na uczciwego człowieka i że będę go zawsze uważała za mego własnego syna.

Dziękuję ci za te sowa — jesteś prawdziwym — aniołem.

Przez stłuczone okno zajrzały teraz pierwsze promienie słońca do pokoju umierającej i opromieniły złotym blaskiem matkę, składającą dziecko swe w ręce przyjaciółki.

I coraz ciszej i słabiej uderzało serce kochające i coraz ciemniej robiło się w oczach, wpatrujących się z wyrazem nieopisanej miłości w dziecko, spoczywające na rękch Józefiny.

Umierająca jeszcze raz uniosła lekko głowę.

— Pozdrówcie moją — cesarzową — szeptała — powiedzcie jej, że błogosławię jej pamięć — moją ukochaną ojczyznę — Austrją — i wybaczam — wszystkim tym, którzy — mi krzywdy — wyrządzali — nawet jemu — Pedrowi Branka — jeżeli on — będzie chciał — uścisnąć dziecko — pozwólcie mu — ojciec i syn — ja mu wybaczam — będę się — modlić.....

Jeszcze kilka niezrozumiałych słów i potem okropna nastąpiła cisza.

Tritoni zbliżył się do łóżka i położył rękę na sercu Felicji.

— Nie żyje! — rzekł uroczyście.

ROZDZIAŁ CXVII.

Za późno.

Z głośnym płaczem rzuciła się Józefina na kolana przed łóżkiem.

— Nie żyje! — Ach, to być nie może! Pan Bóg nie mógł jej zabrać, zanim nie wynagrodził jej tego, co w życiu wycierpiała.

— Tak, ona dużo znosiła nieszczęść — odrzekł Tritoni — cierpiała, jak mało kobiet na świecie i właśnie dla tego powinniśmy jej życzyć wypoczynku i spokoju. Czy myślisz, że ona byłaby jeszcze szczęśliwą? Nie, moje dziecko, nigdy! Doznała ona zbyt gorzkich zawodów, serce jej zanadto było zranionem, i na taką ranę nie ma lekarstwa! Uprzytomnij sobie tylko jej życie! Córka bogatego węgierskiego magnata, wypieszczona, ukochana jedynaczka, straciła w młodym wieku ojca, oskarżonego o nihilizm i wypędzonego na Sybir! Po śmierci matki okazało się, że majątku nic dla córki nie zostało, i gdyby nie cesarzowa Elżbieta, to kto wie, coby się było stało z tą biedną sierotą!

I tu na dworze wiedeńskim, mogła być szczęśliwą, ale zły duch nakłonił ją — wiesz dla czego — do oddania ręki temu nikczemnemu mordercy, i teraz dopiero poznała biedna piekło na ziemi! I ona miałaby jeszcze marzyć o szczęśliwej przyszłości? Nie Józefino, to niemożliwe! Dla tego też lepiej, że Bóg zabrał ją do Swej Chwały — umarła przynajmniej spokojnie, nie lękając się o przyszłość dziecka! A to ma jedynie tobie do zawdzięczenia!

Teraz uklękli wszyscy i modlili się szczerze i długo za duszę zmarłej.

Około południa przybył kozak Michał.

Józefina opowiedziała mu całe zdarzenie z Wasylem, a poczciwy kozak, wraz z zwoszczykiem Tritoniego wykopali mu dół, daleko od domu i pochowali tam nędznika, zró-

wrawszy wszystko z ziemią tak, aby śladu nie było jego mogiły!

Potem zabrali się wszyscy do urządzenia pogrzebu Felicji.

Michał wyszukał kilka starych desek, leżących w ogródku, zbił je razem, i w tę prostą trumnę złożono ciało nieszczęśliwej Felicji.

Przed wieczorem ruszył cały orszak na pagórek, za ogródkiem, i tam pochowano umarłą, a rzadko pewnie wylewano nad czyim grobem tyle łez prawdziwej przyjaźni, jak tu, na pustyni syberyjskiej, nad mogiłą biednej, samotnej kobiety.

Nawet kozak Michał płakał rzewnemi łzami.

Józefina zerwała z ogródka wszystkie kwiatki, których i tak już niewiele tam było, i złożyła je na grobie przyjaciółki. I już zamierzano wrócić do domku, gdy nagle ujrzał Michał zbliżającą się kibitkę.

— Jedzie ktoś! — zawołał.

Józefina zdumiała.

— Któżby to mógł być — rzekła, ale na widok nadjeżdżającego gościa umilkła i przerażona, spojrzała na świeżo usypaną mogiłę.

Nowoprzybyły tymczasem, wysiadł z kibitki i wolno, z widocznem wysileniem, zbliżał się do stojących w głębokiem milczeniu na pagórku.

Był to wysoki i piękny starzec, o białej, jak śnieg, długiej brodzie i twarzy prawdziwego patryarchy.

— Przepraszam — rzekł cicho — że przerywam uroczystość pogrzebową, ale szukam mej córki..... Jestem hrabia Bela Szalenburg!

Na to nikt mu słowa nie odpowiedział.

Wszyscy spuścili głowy — nikt nie miał odwagi wyznania mu okropnej prawdy!

Starzec nie zważał na to.

— Byłem w kopalni żywego srebra — odezwał się znowu — i myślałem, że nigdy już ztamtąd nie wyjdę. Tymczasem wczoraj wezwano mnie do dyrektora, i ten mi powiedział, że cesarzowa Elżbieta otrzymała od kogoś list z Sybiru z doniesieniem, że tutaj znajduje się moja córka! I za wstawieniem się tej szlachetnej kobiety, ułaskawiono Felicją i mnie! Nie jest że to prawdziwy cud? Zaprowadźcie mnie państwo prędko do niej, abym jej mógł powiedzieć, że jesteśmy wolni! Wolni! Ach, kto zdoła z was pojąć, co to znaczy, być wolnym!

ROZDZIAŁ CXVIII.

Powrót do żywcem pogrzebanych.

Józefina była w rozpaczy! Ale ani ona, ani Diana, ani Tritoni nie mogli się jeszcze odważyć na oznajmienie nieszczęśliwemu ojcu, że ta, którą szuka, leży w tej mogile!

Teraz też zauważył hrabia ich okropne milczenie i niewytłumaczony jakiś strach ogarnął jego serce.

— Gdzie moja córka! — szepnął głucho — gdzie Felicja? Pozwólcie mi ją zobaczyć! Ach ile ja wycierpiałem! W kopalniach żywego srebra, w zatrutych wyziewach — wytrwałem spokojnie, mając zawsze jakąś nieokreśloną nadzieję ujrzenia jeszcze raz w życiu mej córki! I teraz spełniły się moje najgorętsze pragnienia! Powiedzcie Felicji, że ojciec jej jest tutaj, przygotujcie ją na tę wiadomość.... Ale gdzie jest Felicja? Czemu nikt mi nie odpowiada? Czy ona chora? Nie, nie, ona musi być zdrowa! Zaprowadźcie mnie do niej!

Teraz zbliżył się do niego Tritoni, i biorąc jego za rękę, rzekł:

— Hrabio Szalenburg, bądź silnym i odważnym! Łaska, która ci się uśmiechnęła, przyszła za późno! Odzyskałeś z jednej strony wolność — z drugiej straciłeś wszystko! Tu w tym grobie spoczywa twoja córka, której szukasz, wczoraj rano umarła ona, i teraz właśnie odprowadziliśmy ją na miejsce wiecznego spoczynku!

Nieszczęśliwy starzec rzucił sie z przerażającym jękiem na świeżą mogiłę.

— Moje dziecko! — wołał łkając głośno — moja córka jedyna! Dziesiątki lat czekałem na chwilę ujrzenia ciebie, dziesiątki lat prosiłem Boga, aby mi pozwolił znaleść ciebie, a teraz ty leżysz w grobie!

Tritoni i Józefina chcieli go podnieść, ale on odepchnął ich gwałtownie.

— Dajcie mi pokój! — krzyknął nieludzkim prawie głosem — czego wy chcecie odemnie? Chcecie mnie pocieszać może? Czy nie wiecie, że dla mnie pociechy nie ma! Ja jestem w rozpaczy, ja rozum tracę! Nie chcę waszego współczucia, nie pragnę waszej litości, ja chcę mej córki, mojej Felicji!

I znów zaczął płakać i targać z rozpaczy białe włosy.

Józefina i Diana płakały także, nie wiedząc, jak go pocieszyć, jak uspokoić!

Po raz drugi zbliżył się Tritoni do niego.

— Posłuchaj mnie pan, — rzekł łagodnie. — Córka pana umarła wprawdzie, ale zostawiła dziecko. Jest to wnuk pana, krew z twej krwi i kości! Zostaw umarłą w spokoju, a my zaprowadzimy cię do domu, tam znajduje się dziecko, które......

— Dziecko Felicyi! — przerwał hrabia łkając. — Pokażcie mi je! Chcę je zobaczyć i błogosławić. Ale kto był mężem Felicyi? Ach, ja nie znam już ludzi na świecie! Kto z krótką przerwą przepędził dwadzieścia lat w kopalniach syberyjskich, ten zapomina, jak się ludzie nazywają! Więc odpowiadajcie mi na moje pytania, miejcie trochę cierpliwości! Jak się Felicya nazywała?

Tritoni zawahał się.

Czy miał mu powiedzieć całą prawdę?

Byłoby to dopełniło miary nieszczęść biednego starca! Wiadomość, że jego jedyna córka była żoną najgorszego w świecie zbrodniarza, mogła go zabić na miejscu.

— Felicya, — odrzekł, omijając nieco prawdę, — zaślubiła brazylijskiego posła na dworze wiedeńskim.

Małżeństwo nie było niestety, szczęśliwem, i mąż opuścił ją. Gdzie on się obecnie znajduje, tego nie wiem, ale córka pana udała się do Moskwy i tam, dziwnym zbiegiem okoliczności, zaszły nieporozumienia, na mocy których oskarżono ją o nihilizm i skazano na Sybir. W każdym razie, jeżeli ojciec był winien, to nie możesz pan mścić się na jego dziecku, nieprawda?

— O nie! Pobłogosławię je, chociażby było dzieckiem zbrodniarza! Jest ono przecież też dzieckiem mej córki — a więc dobre zwycięży! Idźmy do mego wnuka!

Dziwny spokój zapanował teraz w sercu starca.

Słońce chyliło się już ku zachodowi. Gęsta mgła unosiła się nad stepem i zimno przejmujące wstrząsnęło członki obecnych.

Tritoni ujął rękę hrabiego i prowadził go wolno ku domowi.

Za nimi szły Józefina i Diana, w końcu Michał i zwoszczyk.

Na łóżku, na którem umarła Felicya, leżało jej dziecko.

Mały sierotka spał mocno, z rączkami w piąstkę zaciśniętemi, nie wiedząc nic jeszcze o życiu, o świecie!

— Zostawcie mnie samego z moim wnukiem, — prosił hrabia.

Wszyscy wyszli natychmiast.

Co się działo w sercu nieszczęśliwego starca w tej godzinie, którą przepędził w pokoju Felicyi z swoim wnukiem, tego nikt nie wie, bo taki żal nie znosi świadków. Hrabia modlił się za córkę i za jej dziecko i sam stłumił swoją rozpacz, nie żądając i nie przyjmując od nikogo słowa pociechy.

Nareszcie otworzyły się drzwi i hrabia spokojny, wyprostowany, stanął na progu.

— Błogosławiłem dziecko mego dziecka, — rzekł, — i poświęciłem je na szermierza świętej sprawy, której ofiarą padłem ja i moja córka. On będzie walczył dalej, i zwycięży!

Józefina przygotowała mu herbaty, którą z wdzięcznością przyjął.

— Teraz załatwiłem wszystkie moje sprawy na ziemi, — rzekł w końcu, — i mogę wrócić tam, zkąd przybyłem.

— Jakto, — zawołał Tritoni, — przecież pan jesteś wolnym! Lady Corrigan, — dodał, wskazując na Józefinę, a raczej baronowa Kronau i ja wyjeżdżamy ztąd jutro już — udajemy się do Krasnojarska i ztamtąd, pod opieką kozaków pojedziemy dalej. Jedź pan z nami! Miejsca na wózku starczy dla nas wszystkich!

— Nie, — odpowiedział hrabia smutnie, — wy wracacie do świata i ludzi, i życzę wam jak najlepszego powodzenia. Ja natomiast nie tęsknię już do nich — żyłem tak długo, to i umrę w moich kopalniach żywego srebra. Tam, żywcem pogrzebanym jestem w domu!

— Co, to pan chcesz tam wrócić? — krzyknął Tritoni przerażony.

— Tak! Car dał mi wprawdzie wolność, ale Bóg dał mi zanadto uczuć swoją potęgę! Wrócę do kopalni. Ponieważ zaś każdy uwolniony ma prawo odstąpienia wolności innemu, przeto i tak uczynię. Znam ja w kopalni jednego dosyć młodego jeszcze więźnia, który ma więcej prawa do życia, niż ja. Został on skazanym za to, że przez pewien czas ukrywał mnie w swym zamku Osterno. Dymitr Lanowicz otrzyma wolność — ja mu ją dam! Co mi po wolności, jeżeli Felicya nie żyje!

Tritoni milczał, widział bowiem, że nic w świecie nie zmieni postanowienia hrabiego.

I po krótkiem, ale serdecznem pożegnaniu, odjechał nieszczęśliwy starzec do swego grobu, do kajdan i niewoli, które dobrowolnie chciał znosić dalej!

* * *

Nazajutrz, ze wschodem słońca odjeżdżał Tritoni z Józefiną i dzieckiem.

Pożegnanie z Dianą było wzruszające, ale młoda kobieta okazała niezmiernie wiele siły ducha i panowania nad sobą. Nie płakała, nie rozpaczała, i uśmiechała się nawet, gdy Tritoni powiedział jej, że za pięć lat przyjedzie po nią także!

I gdy kibitka ruszyła, i Tritoni i Józefina raz jeszcze się obejrzeli, zobaczyli Dianę, klęczącą na grobie Felicyi. Samotna żyjąca modliła się za samotną umarłą!

ROZDZIAŁ CXIX.

Na Korfu.

Jasne promienie słońca ozłacały zieloną, czarującą wyspę Korfu, perłę pomiędzy wszystkiemi innemi wyspami morza jońskiego.

Na białej skale nad brzegiem morza siedziały dwie strojnie ubrane kobiety.

Starsza o białej, delikatnej, cudownie pięknej twarzy, odłożyła teraz książkę, którą dotąd czytała, i zwróciła się do swej towarzyszki, młodej, ładnej dziewczyny.

— Za dwa lub trzy lata, — rzekła, — będzie się tu wznosił czarodziejski pałac, przybytek sztuk pięknych. I przyszło mi teraz na myśl wystawić pomnik memu ulubionemu poecie, Heinemu. Zasługuje on na to, aby tutaj właśnie uwiecznić jego imię! Lubię niezmiernie jego pieśni! Naprzykład ta o samotnej łzie, jaka piękna, jakie myśli poetyczne! Ile łez płynie, a nikt ich nie otrze!

— Ach, Najjaśniejsza pani, — odpowiedziała Nelly, — sama już otarłaś tysiące łez!

Cesarzowa oparła głowę o skałę.

— Cóż to znaczy! Pojedyńcza kobieta, chociaż jest cesarzową, nie może zaradzić wszelkiej nędzy i niedoli! Bóg mało stworzył wielkich i bogatych ludzi, a pomiędzy tymi nie wiele jest takich, którzy mają litościwe serca i współczucie dla biednych! Ale mnie spotka w tych dniach wielka radość! Czytałaś list, który otrzymałam od Józefiny Kronau?

— Tak jest, Najjaśniejsza pani!

— Wiesz zatem, że prosi mnie, abym ratowała Felicyę! Domyślam się, że Felicya, chcąc się ukryć przed światem, kazała się z własnej woli wypędzić na Sybir. Postarałam się już o uwolnienie jej ojca i naturalnie jej samej także. Ale i Józefina musi wrócić z Sybiru i wyszukałam już w tym celu jej zbawcę, którym nie ma być nikt inny, jak Maksymilian Kronau, jej mąż! Dowiedziałam się, że bawi obecnie w Południowej Francyi i wezwałam go telegraficznie tu dotąd. Może on przybyć każdej chwili — powiem mu, że czas jego pokuty minął, i że ma jechać po żonę!

W tej samej chwili zbliżył się lokaj.

— Powiesz mi zapewne, — uśmiechnęła się cesarzowa — że jakiś pan chce się ze mną widzieć.

— Tak jest, Najjaśniejsza pani!

— Przyprowadź go tutaj!

Służący oddalił się.

— A więc Maksymilian Kronau przyjechał, — rzekła cesarzowa, — i teraz nadeszła chwila, w której mogę ludzi uszczęśliwić. Może nie miałam prawa rozłączać ich na tak długi czas, ale teraz wiedzą oboje, że są godni siebie, i że przyszłość do nich należy! Gdy Maksymilian przyjdzie, zostaw mnie z nim samą, Nelly.

Ale Nelly nic już nie słyszała.

Drżąca zmieszana stała, wpatrując się w dwie męzkie postacie, które wyszedłszy z lasku oliwnego, zbliżały się szybko do skały.

Teraz jednak cofnął się jeden z mężczyzn — drugi szedł sam dalej..

Był to Maksymilian — tym zaś, który stanął, namyślając się, czy czekać tu, czy wrócić był....

— Stanisław! — krzyknęła Nelly.

Zapomniała o cesarzowej, o swoich względem niej obowiązkach, o całym świecie, i zbiegła jak strzała ze skały. Stanisław ujrzał ją, otworzył ramiona, i w następnej chwili złączyli się narzeczeni w serdecznym uścisku.

— Nelly! Najdroższa! Nareszcie wolno mi cię do serca przycisnąć! — szeptał Stanisław, patrząc z miłością w oczy dziewczęcia. — Teraz nic już nie rozłączy nas! Teraz nie powie mi cesarzowa, że jesteśmy za młodzi! Poproszę natychmiast o twoją rękę i wiem, że mi jej nie odmówi!

Marzenie miłości na Korfu!

Maksymilian tymczasem stał przed cesarzową, milczący i poważny.

Cesarzowa podała mu rękę.

— Siadaj pan tu, obok mnie, — rzekła uprzejmie, — i powiedz mi, kiedy przybyłeś!

— Zaraz po otrzymaniu wezwania Najjaśniejszej pani, — odparł Maksymilian, — wybrałem się w podróż, i stanąłem dziś rano na Korfu.

— Baronie Kronau, — zaczęła teraz Elżbieta, — chciałam cię widzieć, aby ci powiedzieć, że czas twej pokuty już minął. Widzę, że użyłeś dobrze tych pięciu lat — dotrzymałeś słowa, i stałeś się takim, jakim cię mieć pragnęłam!

Maksymilian stał z spuszczoną głową.

Pochlebne słowa cesarzowej nie zdołały przytłumić uczucia żalu w jego sercu. Myślał on o tem, ile w tym czasie wycierpiał, a mianowicie to go tak bolało, że te pięć lat najpiękniejszej młodości nigdy mu już nie wrócą!

Cesarzowa przeczuwała może, co się w duszy jego dzieje.

— Wiem, — rzekła, — że nie łatwo panu było znieść tę próbę, ale powiedz mi sam teraz, czy nie stałeś się innym, lepszym! Czy jesteś jeszcze podobnym do tego barona Kronau, który zamierzał opuścić piękną i cnotliwą żonę dlatego tylko, aby bogatym ożenkiem zyskać pieniądze na nowe, lekkomyślne trwonienie ich? Chciałbyś dziś znowu rozłączyć się z Józefiną dla zaślubienia innej, majętnej?

Gorący rumieniec pokrył twarz Maksymiliana.

— Ach, Najjaśniejsza pani, — zawołał w uniesieniu, — nigdy, nigdy w życiu nie zapomnę tego, co dla mnie uczyniłaś! Uratowałaś mi honor i życie, i jedno i drugie tobie odtąd należy! Wycierpiałem wiele, poznałem życie z najgorszej strony i największe niebezpieczeństwa! Ale wytrwałem na wskazanej mi drodze, bo moją gwiazdą przewodnią była najlepsza, najszlachetniejsza kobieta na świecie — cesarzowa Elżbieta!

I gorące łzy spłynęły po jego twarzy.

Maksymilian odwrócił się szybko, aby je ukryć.

— Nie wstydź pan się tych łez, — szepnęła Elżbieta, — i mężczyzna może płakać, jeżeli jego serce jest wielkie i szlachetne! Ale teraz skończyły się cierpienia pana! Przedewszystkiem poszukaj żony i — bądź z nią tak szczęśliwym, jak oboje na to zasługujecie! Że jednak pan, jako baron Kronau nie powinien się żenić z kobietą nizkiego pochodzenia, przeto mianuję Józefinę hrabinę Hernals, i ofiaruję jej odpowiedni majątek!

— Dziękuję, Najjaśniejsza pani, dziękuję, — zawołał Maksymilian wzruszony, — ale moja żona nie pochodzi wcale z nizkiego stanu.

— Jakto? Przecież ojciec jej był szewcem w Hernals?

— Nie, to nie był jej ojciec. Ludzie, u których się wychowała nie byli jej rodzicami! Józefina jest dziedziczką kilku milionów i świetnego nazwiska! Jest ona córką lorda Corrigan!

— Nie może być! — zawołała cesarzowa niezmiernie zdumiona. — Opowiedz mi to pan dokładniej!

I Maksymilian opowiedział wszystko, o czem mu lady Wiktorya mówiła.

— Dziwne to, bardzo dziwne, — szepnęła cesarzowa zamyślona, gdy Maksymilian skończył. — Jak mógł ojciec uczynić coś podobnego z własnem dzieckiem! Ale kara Bozka nie minie go za to!

— Racz mi Najjaśniejsza pani powiedzieć, — rzekł teraz Maksymilian drżącym głosem, — gdzie mam szukać

Józefiny! Bo ja od dwóch lat żadnej o niej nie mam wiadomości!

— Ach, to jeszcze długo potrwa, zanim ją zobaczysz, — odparła cesarzowa smutnie.

— Na Boga, co się z nią stało? Gdzie ona jest?

— W głębi Sybiru — szepnęła Elżbieta.

— Boże Wielki! po co ona tam pojechała?

— Pojechała? O nie, ona tam nie znajduje się z własnej woli, ją tam wypędzono!

— Za co! Za co! — krzyknął Maksymiljan w najwyższej rozpaczy.

— Stało to się przez omyłkę, tak mi przynajmniej doniesiono z Petersburga. Uważano ją za księżnę Bassano, która była skazaną na dożywotni pobyt na Sybirze!

— Ach, to okropnie! Józefina nie zniesie tego! Boże mój, gdy pomyślę, ile ona tam znosić musi, jakie niebezpieczeństwa jej tam grożą! O, Najjaśniejsza Pani! Pozwól mi jechać natychmiast!

— Naturalnie! Józefina znajduje się o kilka mil od Krasnojarska, w małym domku na stepie. Mieszka ona tam z Felicją Szalenburg, którą także nieszczęśliwe losy zagnały na Sybir! Oswobodzisz obiedwie, baronie Kronau! Wystarałam się o ułaskawienie ich, oraz o ułaskawienie ojca Felicji, starego hrabiego Szalenburga, który obecnie znajduje się już na drodze do córki!

W tejże chwili przyniósł lokaj telegram.

Cesarzowa otworzyła go, przeczytała i zbladła.

— Ach, to okropne — szepnęła. — Dowiaduję się właśnie od doktora Tritoniego, że Felicja Szalenburg umarła! W samotnym domku, na stepie Syberyjskim! I zostawiła dziecko, chłopczyka. Tritoni zaś pojechał tam po Józefinę i wraca z nią. Dziecko Felicji zabierają z sobą, Józefina przyrzekła umierającej Felicji, że zajmie się niem jak swojem własnem. Hrabia Szalenburg, przygnębiony śmiercią córki, wraca dobrowolnie do kopalni żywego srebra i odstępuje wolność swoją Dymitrowi Lanowiczowi, właścicielowi zamku Osterno. Tyle wiadomości od niego. Nieszczęśliwa Felicja! Jedna z najlepszych kobiet, jakie znam, a tak mało zaznała dobrego w życiu! Z tem wszystkiem dla niej — może śmierć była dobrodziejstwem! Dla pana jednak zawiera depesza ta dobrą wiadomość — Józefina wraca, pod opieką zacnego człowieka! Jedź pan naprzeciwko! Może spotkasz ją jeszcze na granicy syberyjsko-rosyjskiej! Wydam natychmiast wszelkie potrzebne dyspozyce i życzę panu wszelkiego powodzenia.

Mówiąc to, podała mu rękę, którą Maksymiljan ze czcią ucałował.

Pół godziny później opuszczał już Korfu — sam, Stanisław bowiem został tu, za wyraźnem pozwoleniem cesarzowej, która teraz nie opierała się związkowi jego z Nelly Rosen.

Maksymiljan jechał — nie odpoczywając ani na chwilę. Jak we śnie mijał wsie i miasta i tak stanął w Petersburgu, gdzie poseł austryacki już na niego czekał.

Mając wszelkie możliwe ułatwienia zapewnione, puścił się Maksymiljan natychmiast w dalszą podróż. Na granicy Syberji stawiono mu do dyspozycji sanki, parę silnych, wytrwałych koni i sześciu konnych kozaków. I teraz rozpoczęła się podróż na stepy — na pustynie — naprzeciwko szczęściu!

ROZDZIAŁ CXX.
Wolność.

Na Sybirze padał pierwszy śnieg.

U nas cieszą się ludzie na widok białych płatków, spadających jak puch na drzewa i krzewy; wesoły ogień płonie na kominku i oświeca ciepły pokój, a cała rodzina, zgromadzona przy stole, cieszy się na myśl przyjemności, jakie nam zima daje.

Inaczej wygląda zima na Sybirze!

Tutaj, gdzie panowanie jej ciągle prawie trwa, gdzie wiosna, lato i jesień kończą się w przeciągu trzech miesięcy, tutaj staje się śnieg śmiertelnym całunem, przytłumiającym wszelkie tętno życia.

Przez jednę noc spada śnieg czasem na cztery lub pięć stóp wysokości.

Nieszczęśliwi wygnańcy wiedzą wtedy, że znowu nadszedł czas ich męczarni. Nie posiadają oni tam dosyć opału, nie mają dosyć ciepłego ubrania i na całe tygodnie i miesiące nie widują żadnej ludzkiej istoty. Bo straszliwe śnieżne zawieje trwają tygodniami!

Zdaje się wtedy, że całe niebo rozpływa się w śniegu i zapada na ziemię!

Kto na chwilę wychodzi z domu zamienia się natychmiast w bryłę śniegu, jednostajna i rażąca białość oślepia zupełnie.

Po takiej zawieji następują zwykle straszliwe mrozy. Czasem jednak jest jedno i drugie razem i wtedy biada ludziom i zwierzętom — wszystko marznie i ginie w białym grobie.

* * *

W najpiękniejszej pogodzie wybrał się Tritoni z Józefiną i dzieckiem Felicji w podróż do domu.

Bryczka ich była bardzo wygodna i tak urządzona, że w przeciągu kilku minut można ją było zamienić w sanki. Konie mocne, miały być na każdej stacji zmieniane, a dziesięciu kozaków, pod dowództwem młodego atamana miało rozkaz towarzyszenia im aż do granicy.

Ataman Murzuf pozyskał sobie od razu zaufanie Tritoniego. Najgoretszem jego pragnieniem było zamieszkać w Petersburgu, kształcić się, poznać świat cywilizowany i żyć z innymi ludźmi, jak z tymi, których znał dotąd na stepach syberyjskich!

Podróż Tritoniego i Józefiny trwała już trzy tygodnie i wszystko odbywało się podług ułożonego z góry programu. Codziennie przejechali należytą ilość wiorst, i gdy wieczorem odpoczywali pod namiotem przy szklance gorącej herbaty, winszowali sobie wszyscy nawzajem szczęśliwego przebiegu podróży.

— Jak długo będzie właściwie trwać jeszcze nasza podróż do Jekaterinenburga? — zapytała Józefina atamana.

— Pięć do sześciu dni — odrzekł Murzuf z westchnieniem.

— Dzięki Bogu!

— To pani życzy sobie, abyśmy jaknajprędzej stanęli na miejscu? — szepnął młody ataman smutnie.

— Naturalnie! Podróż końmi ma rozmaite dobre strony, tego nie przeczę, ale kolej żelazna zanosi nas o wiele prędzej do tych, których kochamy!

— A ja chciałbym, aby nasza podróż trwała wiecznie — szepnął Murzuf.

— Ależ to wcale nie chrześciańskie życzenie — roześmiała się Józefina.

— Może być! Ja jednak inne mam pod tym względem zdanie, niż pani. Pani wracasz w świat cywilizacji ale ja? Gdy odprowadzę cię szczęśliwie do Jekaterinenburga, wrócę do mego samotnego mieszkania w Permie, i z całej tej podróży nie zostanie mi nic więcej, jak — wspomnienie!

— Pojmuję pana — odezwał się Tritoni — i przyrzekam, że wstawię się za tobą u cara! Spodziewam się, że car wysłucha mej prośby i że za rok będziesz już w Petersburgu!

Murzuf zamyślił się na chwilę.

— Nie! — zawołał nareszcie, wstając — nie mów pan nic o mnie carowi! Dla mnie lepiej będzie, jeżeli zostanę na Sybirze! Zdaje mi się, że w Petersburgu też bym już nie znalazł szczęścia!

I po tych słowach szybko wybiegł z namiotu.

Tritoni odsunął filiżankę i zwrócił się do Józefiny.

— Zrobiłem ważne, ale niezbyt przyjemne odkrycie — szepnął. — Pragnę też gorąco, aby się podróż nasza jak najprędzej skończyła.

— Co się znowu stało! — zawołała Józefina strwożona.

— Ataman Murzuf kocha ciebie!

— Ach, to niemożliwe — rzekła spokojnie. — On wie, że jestem mężatką, i że wracam do męża! Jakżeby mógł zapomnieć o należnym mi szacunku!

— O tem też mowy nie ma, ale to nie przeszkadza, aby w sercu jego nie była się zbudziła głęboka miłość dla ciebie! I obawiam się, aby z tego powodu nie wynikły jakie niebezpieczeństwa dla nas!

— Ale to człowiek honorowy — dotąd okazywał nam tyle wierności i uprzejmości, i takim też pozostanie do końca!

(Ciąg dalszy nastąpi).

POD PRUSKIM ZABOREM.

Napisał RENÉ BAZIN.

13) *Tłomaczyła J. P.*

(Ciąg dalszy.)

Jan wybrał jako przeciwnika barona von Fincken i zwracając się do niego, rzekł:

— Ja sądzę przeciwnie, że germanizacya Alzacyi jest czynem złym i niepolitycznym.

Twarz jego przybrała wyraz dumy, a zielone oczy drgnęły niby liście drzew za powiewem wiatru.

Profesor estetyki przybrał minę wojowniczą.

— Dlaczego złym? Germanizacya Alzacyi jest koniecznym wynikiem jej zdobycia. Czyżby pan i ten fakt uważał za niepożądany? Czy pan tak sądzi? Niechże pan ostatecznie wypowie swoje zdanie.

Wśród ogólnego milczenia Jan odpowiedział stanowczo:

— Tak.

— I pan się ośmielasz, panie!

— Przepraszam! — wyrzekł pan radzca tajny Brausig, wyciągając dłoń, jak gdyby dla błogosławieństwa. — Wszyscy tu zebrani są dobrymi Niemcami, kochany baronie, i pan nie ma prawa wątpić o patryotyzmie naszego młodego przyjaciela, który mówił tylko z punktu widzenia historyeznego...

Pani Oberle i Lucyna robiły Janowi znaki: „milcz! milcz!"

Ale baron von Fincken nic nie widział i nic nie słyszał. Jego ostra twarz wykrzywiła się namiętnością. Podniósł się do połowy, pochylił się nad stołem i z głową wyciągniętą naprzód wołał:

— Śliczna ta wasza Francya! Jednolita! Potężna! Moralna!

Mała pani Knäpple powtórzyła:

— Moralna! Szczególnie moralna!

Słychać było szmer zmieszanych głosów: cichych, głośnych, ironicznych, podrażnionych:

— Francuzi są stworzeni tylko do zabawy! Ich powieści i sztuki teatralne to istna zaraza! Cała Francya jest w upadku! To naród przeżyty! Cóż on poradzi przeciw czterdziestu pięciu milionom Niemców!

Jan przeczekał całą tę lawinę wykrzykników. Patrzył ciągle albo na gestykulującego Finckena, albo na Farnowa, który siedział w głębokiem milczeniu z głową podniesioną i brwiami namarszczonemi.

— Sądzę — rzekł nareszcie — że Francya jest przez panów zbyt spotwarzoną. Zgadzam się na to, że rząd jest zły, że państwo jest osłabione ciągłą niezgodą, ale wobec tak gwałtownych napaści panów miło mi jest podkreślić, że pomimo wszystko, uważam Francuzów za wielki naród, myślę nawet, że i wy, panowie, jesteście tego samego zdania.

Powstała głośna wrzawa: Och! Ach! Naprzykład?"

— Najlepszym dowodem jest wasza zażartość przeciwko Francyi. Zwyciężyliście ją, ale nie przestaliście jej zazdrościć!

— Czy pan czytuje statystykę handlową? — ozwał się arbitralny głos pana Rosenblatta.

— Jej marynarka handlowa zajmuje szóste miejsce — zasyczał jeden z docentów.

— Porównaj pan obie armie!... — zawołał drugi.

Profesor Knäpple poprawił okulary i wyrecytował dobitnym głosem:

— To, co pan powiedział, kochany panie Oberle, jest prawdą w stosunku do przeszłości. I nawet dzisiaj, zdaje mi się, że Francya mogłaby się stać wielkiem państwem, gdyby należała do nas — mybyśmy umieli podnieść jej wartość...

— Proszę pana — przerwał lekceważąco von Fincken — nie staraj się pan obalać zdania, które nie ma żadnej podstawy.

— Ja zaś proszę pana — rzekł Jan — nie posługiwać się argumentami, które niczego nie dowodzą i nie sięgają w głąb kwestyi. Umysł wykształcony nie powinien oceniać jakiegoś kraju według jego handlu, marynarki, albo armii.

— A więc według czego mamy oceniać, łaskawy panie?

— Według jego ducha, panie! Poznałem ducha Francyi nie tylko ze studyów historycznych, ale odczuwam go też synowskim instynktem, który tkwi we mnie. Jestem najmocniej przekonany, że dużo wyższych cnót, wybitnych zalet, np. szlachetność, bezinteresowność, miłość prawdy i sprawiedliwości, dobry gust, subtelność uczuć i jakiś kwiat heroizmu spotykają się daleko częściej we Francyi, niż u innych narodów nie tylko w przeszłości, ale i w teraźniejszości. Mógłbym na to przytoczyć dużo dowodów. Nawet gdyby była tak słabą, jak panowie twierdzicie, zawiera w sobie skarby, które przynoszą zaszczyt światu, które trzeba byłoby jej porwać przedtem, niżby upadła i wobec których wszystko inne znaczy bardzo niewiele. Wasza germanizacya, panowie, jest tylko zburzeniem albo zmniejszeniem tych cnót i zalet francuzkich w duszy alzackiej. I dlatego twierdzę, że germanizacya jest rzeczą złą...

— Przepraszam! — zawołał Fincken. — Alzacya naturalnie należała do Niemiec, teraz do nich wróciła i my staramy się zapewnić sobie jej posiadanie. Któżby zrobił inaczej?

— Francya! — odciął się Oberle — i dlatego tak ją kochamy. Zabrała ziemię, ale zostawiła swobodę duchom. Należeliśmy do niej z prawa miłości.

Baron ruszył ramionami.

— Wróćcie więc do niej!

Jan zaledwie powstrzymał okrzyk: „Tak!"

Służba, zasłuchana w jego słowa, zapomniała o podaniu ciastek. Po chwili rzekł:

— Uważam wasz system germanizacyjny za zdrożny, ponieważ jest systemem ucisku. Ale nawet z punktu widzenia niemieckiego jest on zupełnie błędnym.

— Wspaniale! — zapiszczała pani Knäpple.

— W waszym interesie leży zachować oryginalność i niezależność naszego umysłu. Byłby to dobry przykład dla Niemców.

— Dziękuję! — zawołał jakiś głos.

— I bardzo, bardzo korzystny — nastawał młody człowiek. — Byłem wychowany w Niemczech i jestem pewny tego, co mówię. Najbardziej mnie uderzył i raził nieprzyjemnie u Niemców brak indywidualizmu, ich wzrastające zapomnienie o swobodzie, ukorzenie się przed władzą...

Siedzący na końcu stołu jeden z docentów podniósł się z krzesła i zawołał:

— Państwo rzymskie czyniło tak samo, a było państwem rzymskiem.

Obok niego jakiś głos dźwięczny dorzucił:

— Brawo!

Wszyscy zwrócili się w tę stronę. Był to Wilhelm von Farnow, który od początku dysputy odezwał się po raz pierwszy. Gwałtowne starcie się zdań rozdrażniło go jak osobiste wyzwanie. Inni też byli podnieceni. Pan Rosenblat zaciskał pięście. Profesor Knäpple wycierał okulary, mrucząc jakieś zaklęcia. Żona jego śmiała się nerwowo.

Piękna pani Rosenblatt przesunęła swe delikatne palce po naszyjniku z pięknych pereł, uśmiechnęła się i spojrzała uprzejmie na Alzatczyka.

— Pan Oberle ma przynajmniej odwagę swych przekonań — wyrzekła. — Nie można się oświadczyć wyraźniej przeciw nam.

Jan był zbyt rozdrażniony i nie mógł się w pierwszej chwili zdobyć na uprzejmą odpowiedź.

Popotrzył uważnie na barona Finckena, na pana Rosenblatta, pana Knäpple, na docenta, który siedząc obok Lucyny, irytował się widocznie, wreszcie skłonił się lekko pani Rosenblatowej:

— Tylko przez kobiety naród niemiecki będzie mógł osiągnąć ten wyższy stopień wyrafinowania, którego mu obecnie brakuje. I ma takie kobiety...

— Dziękujemy za nas! — odpowiedziały trzy głosy męzkie.

Pani Knäpple, rozłoszczona uprzejmością, skierowaną ku pani Rosenblatt, zawołała:

— Jakiż pan obrał system dla zrzucenia jarzma niemieckiego?

— Nie mam żadnego systemu.

— A więc czego pan żąda?

— Niczego, pani. Tylko cierpię.

Ale jeden z artystów alzackich, młody malarz o żółtej bródce, podobny do ucznia Giotta, podniósł dyskusyę.

Cały stół zwrócił się ku niemu.

— Nie należę do rzędu ludzi, którzy, jak pan Oberle, nie żądają niczego — mówił młody malarz. — Pan Oberle wraca do kraju po długiej nieobecności. Gdyby znał lepiej warunki miejscowe, byłby innego zdania. My, tj. młode pokolenie Alzacyi, w zetknięciu z trzystu tysiącami Niemców skonstatowaliśmy odrębność naszej kultury francuskiej i oddajemy jej pierwszeństwo przed kulturą niemiecką. To przecież chyba nam jest dozwolone? Wzamian za wierność, której dowody daliśmy Niemcom, za podatki, które opłacamy regularnie, i za służbę wojskową, którą odbywamy, żądamy, aby nam pozwolono zostać Alzatczykami. A wy się upieracie, ażeby tego nie rozumieć. Domagamy się zniesienia praw wyjątkowych i stanu oblężenia, który trwa tu od lat trzydziestu. Nie chcemy być traktowani i rządzeni jak „kraj zawojowany‟, na wzór Kamerunu, Togolandu, Nowej Gwinei, archipelagu Bismarcka, albo Wysp Opatrzności, ale jak prowincya europejska państwa niemieckiego. Będziemy zadowoleni tylko wtedy, kiedy będziemy mogli być Alzatczykami w Alzacyi, tak jak Bawarczycy są Bawarczykami w Bawaryi. A tymczasem jesteśmy ciągle uważani za zwyciężonych i zależni od łaski lub niełaski pana. Oto nasze żądanie!

Mówił wyraźnie, z pozornym spokojem, wysuwając naprzód złocistą bródkę, zakończoną ostro, niby strzała.

Umiarkowane słowa malarza dokończyły wzburzenia umysłów i można było z łatwością przewidzieć namiętne repliki, kiedy pani radczyni podniosla się z krzesła.

Wszyscy goście poszli za jej przykładem i wrócili do niebieskiego salonu.

— Byłeś niedorzecznym! O czem myślałeś? — rzekła półgłosem Lucyna, przechodząc koło brata.

— Może to był czyn nierozważny z twej strony — dodała po chwili pani Oberle — ale dobrze broniłeś Alzacyę i pochwalam cię w zupełności.

Pan radzca tajny kłaniał się na wszystkie strony i mówił na ucho Finckenowi, Farnowowi, panu Rosenblattowi, profesorowi Knäpple, obu docentom, Janowi i artystom alzackim zwykłą formułkę:

— Proszę pana za mną do gabinetu!

Gabinet do palenia znajdował się w drugim salonie, oddzielonym od pierwszego taflą szklaną. Wszyscy zaproszeni przez pana Braussiga, wkrótce się tu zgromadzili. Przyniesiono piwo i cygara. Kłęby dymu podnosiły się w górę i łączyły się ze sobą na suficie.

Celem rozmowy stał się pan Rosenblatt i pan Fincken. Rozmawiający zdawali się kłócić ze sobą głośno i z trudnością wypowiadali myśli, wcale nie zawile.

Tylko dwaj ludzie mówili ze sobą cicho o przedmiocie bardzo ważnym Byli to Jan Oberle i Wilhelm von Farnow.

Ten ostatni zaledwie zapalił cygaro, dotknął ramienia Jana i rzekł półgłosem:

— Chciałbym pomówić z tobą na osobności.

Ażeby mieć większą swobodę, zasiedli obaj przy ogromnym kominku, naprzeciw drzwi prowadzących do salonu.

Inni palacze ugrupowali się dokoła pana Rosenblatta i pana von Finckena, zajmując framugi okien.

— Byłeś dzisiaj gwałtownym, mój drogi! — rzekł Farnow z wyniosłą grzecznością, która go stale cechowała. — Ze dwadzieścia razy miałem ochotę ci odpowiedzieć, ale wolałem zaczekać. Prawda, że zwracałeś się trochę i do mnie!

— Nawet w znacznym stopniu. Chciałem ci powiedzieć wyraźnie i wobec świadków, kim jestem, ażeby w razie, jeżeli będziesz trwał w swych projektach matrymonialnych, nikt mi nie mógł zarzucić, że czyniłem ci jakieś ustępstwa lub awanse. Chciałem, ażeby wiedziano, że nie odgrywam żadnej roli w projektowanem przez ciebie małżeństwie. Nie mogę się oprzeć woli mego ojca, ale nie chcę, ażeby mieszano jego przekonania z mojemi.

— Tak cię też zrozumiałem... Oczywiście, dowiedziałem się, że poznałem twoją siostrę i że ją pokochałem.

— Tak.

— Czy nic więcej nie masz mi do powiedzenia?

Fala krwi oblała policzki dumnego Niemca.

— Wytłómacz się prędzej — dodał po chwili. — Rodzina moja należy do starej szlachty, czy wiesz o tem?

— Tak.

— Czy przyznajesz, że jest to zaszczyt dla kobiety, jeżeli się o nią stara oficer niemiecki.

— Dla każdej innej, ale nie dla Alzatki. Prawdopodobnie nie zrozumiesz tych uczuć, bo my, Alzatczycy, różnimy się od was. Szanuję cię bardzo, Farnowie, a jednak małżeństwo twoje z moją siostrą dotknie boleśnie trzy osoby z naszej rodziny. Przedewszystkiem mnie!

— W jakiż to sposób, proszę cię?

Zmuszeni byli zniżyć głos i unikać gestów, ponieważ inni goście, skupieni koło okien, obserwowali ich uważnie, starając się odgadnąć treść tajemniczej rozmowy.

W oczach młodych ludzi i w syczeniu wyrazów, wypowiadanych tak cicho, żeby tylko jedna osoba mogła je usłyszeć, przebijał się gniew i silne wzburzenie.

Przez taflę szklaną mogła ich widzieć Lucyna, która od czasu do czasu wstawała z krzesła i przechadzała się po salonie. Udając, że się przygląda kwiatom, ustawionym w pobliżu gabinetu, obserwowała pilnie twarz brata i Farnowa.

— Masz dobre serce, Farnowie! Pomyśl zatem, w co się zamieni nasz dom rodzinny, kiedy do innych powodów wewnętrznego rozdziału przybędzie jeszcze ten nowy, najwyraźniejszy.

— Wyjadę ztąd — odparł oficer. — Mogę przecież wystarać się o przeniesienie mnie z Alzacyi i opuszczę Strassburg.

— Ale w domu naszym pozostaną wspomnienia. To nie wszystko jednak. Matka moja nie zgodzi się...

Ruchem ręki Farnow pokazał, że usuwa tę przeszkodę.

— Pozostaje jeszcze mój dziadek, ten, którego Alzacya wybrała dla wypowiedzenia swego protestu. Rozumiesz chyba, że dziadek nie może się dzisiaj zaprzeć całej swojej przeszłości.

— Niczem nie jestem obowiązany panu Filipowi Oberle — przerwał Farnow.

Głos jego stał się jeszcze więcej rozkazującym.

— Uprzedzam cię, że nigdy się nie cofam od powziętego postanowienia. Skoro tylko pan von Kassewitz, prefekt Strassburga, a mój jedyny blizki krewny powróci z urlopu, uda się natychmiast do was, do Alsheima, poprosi o rękę panny Oberle dla swego siostrzeńca i — otrzyma tę rękę, dlatego, że panna Lucyna Oberle chce mnie przyjąć, że ojciec jej dał już swe zezwolenie i dlatego, że ja chcę, żeby tak było, ja, Wilhelm von Farnow!

— Pozostaje mi tylko zapytać, czy postąpisz dobrze

— Zgodnie z moją wolą i to mi wystarcza.

— O, ileż dumy jest w twojej miłości, Farnowie!

— Jak i we wszystkiem, co czynię, Oberle!

— Zdaje mi się, że się nie mylę? Moja siostra podobała ci się dlatego, że jest ładna?

— Tak.

— Inteligentna?

— Tak.

— Ale także i dlatego, że jest Alzatką! Duma twoja widziała w niej zwycięztwo, które trzeba było odnieść. Wiesz chyba o tem, że Alzatki zwykle odrzucają Niemców. To są królowe trudno dostępne dla waszych miłosnych zabiegów, zaczynając od wiejskich dziewcząt, które na zabawach nie chcą tańczyć z przybyszami, a kończąc na naszych siostrach, które się rzadko spotyka w waszych salonach i u waszego ramienia. W pułkach, w których będziesz służył, będziesz się chlubił, że uzyskałeś rękę Lucyny Oberle. Nawet może cię to dobrze postawić w wyższych sferach, nieprawdaż?

— Być może — odparł Farnow szyderczo.

— O, więc idź dalej w tym kierunku. Łam, a raczej kończ łamać nasze trzy istnienia.

Rozdrażniali się obaj, chociaż każdy z nich starał się panować nad sobą.

Oficer wstał z krzesła, rzucił cygaro i rzekł wyniośle:

— Jesteśmy ucywilizowanym narodem, to prawda, mniej od was mamy przesądów i pretensyi do równości. Dlatego, mój [illegible] świat! Tymczasem jednak, Oberle, pójdę do twojej matki i postaram się po-

mówić z nią jako wróg, o ile możności uprzejmie. Czy chcesz mi towarzyszyć?

Jan potrząsnął przecząco głową.

Farnow pozostawił go przy kominku i przeszedł do salonu.

Tam oczekiwała nań Lucyna, drżąca z niepokoju. Widziała, jak się skierował ku pani Oberle i z wymuszonym uśmiechem zbliżył krzeslo do fotelu, na którym siedziała czarno ubrana, wątła i blada Alzatka.

Równocześnie pan radzca Brausig zwrócił się do Jana:

— Panie Oberle! Pan wypalił cygaro, nie wypiwszy ani jednej szklanki piwa! Ależ po prostu zbrodnia! Proszę, przyłącz się pan do nas! Właśnie pan profesor Knäpple opowiada nam, jakie środki przedsiębrał rząd, ażeby przeszkodzić rusyfikacyi wschodnich prowincyi Niemiec...

. . . .

Późno w nocy wygodne lando unosiło ku Alsheimowi troje pasażerów, którzy wysiedli na stacyi Molsheim. Droga była jeszcze daleką. Lucyna oparła się o poduszki powozu i zasnęła głęboko, a matka, która dotąd nie przemówiła ani słowa, przechyliła się ku synowi i wskazując oczami piękną dziewczynę, śpiącą spokojnie w głębi powozu, zapytała:

— Wiedziałeś?

— Tak.

— Ja się domyśliłam... Nie trzeba mi było dużo mówić. Widziałam, jakim wzrokiem patrzyła na niego... Oh, mój Janku, oto jest próba, której miałam nadzieję uniknąć!... Ileż ofiar uczyniłam z obawy podobnego ciosu... Ty jeden mi pozostajesz, Janku! Ale ty mnie nie opuścisz!....

I uścisnęła go mocno

ROZDZIAŁ XI.

W zawieszeniu.

Ponieważ nic prawie w życiu naszem nie układa się według z góry ułożonego planu, więc i odwiedziny pana Kassewitza w Alsheimie nie odbyły się w terminie, naznaczonym przez Farnowa.

W końcu czerwca, kiedy wysoki dygnitarz po powrocie z wód przygotowywał się do złożenia wizyty, celem proszenia o rękę Lucyny, powstrzymała go nieoczekiwana depesza z Alsheimu. Powodem jej było niespodziewane pogorszenie się stanu zdrowia pana Filipa Oberle.

Starzec, którego ostatecznie trzeba było uprzedzić o tem, co się knuło w domu, dowiedział się prawdy.

Pewnego poranku pan Józef Oberle wszedł do pokoju chorego ojca. Z wielką oględnością, w wyrazach bardzo łagodnych, mających oznaczać szacunek i chęć oszczędzenia ojcu przykrości, dał mu poznać, że Lucyna nie była obojętną na zabiegi oficera kawaleryi, że oficer ten należał do jednej z pierwszych rodzin niemieckich, że uczucie młodej dziewczyny zbudziło się nagle i że on, Józef Oberle, pomimo pewnego żalu w głębi duszy, uznał, że niema prawa krępować swobody swych dzieci. Wyraził przytem nadzieję, że i ojciec, w interesie ogólnego spokoju domowego, zechce ustąpić.

— Mój ojcze! — zakończył swoją przemowę — wiesz zapewne, że wszelki opór będzie daremnym, tylko zmęczy nas niepotrzebnie. A tymczasem możesz dać Lucynce wielki dowód przywiązania, który i my jej daliśmy: nie odtrącaj jej!

Starzec zapytał za pomocą znaków:

— A Monika! Czy i ona zgodziła się?

Pan Józef mógł odpowiedzieć twierdząco, nie uciekając się nawet do kłamstwa, bo biedna kobieta, pod groźbą separacyi, ustąpiła raz jeszcze.

Wtedy chory zakończył monolog syna dwoma wyrazami, które nakreślił na tablicy:

„Ja, nie!“

Tego samego wieczoru okazała się gorączka i trwała cały dzień następny. Wycieńczała ona ogromnie chorego i była tak uporczywą, że zaniepokoiła całą rodzinę.

Zaczynając od dnia owej pamiętnej rozmowy, w całym domu od rana do wieczora mówiono tylko o zdrowiu pana Filipa Oberle. Zapytywano o nie panią Monikę i Jana, którego starzec przyjmował zawsze z wyłączeniem wszystkich innych.

— Jak się miewa? Czy siły nie wracają? Czy posiada jeszcze przytomność umysłu?

Każdy się interesował tem, co się działo „na górze,“ w tym pokoju, z którego stary bojownik, na pół usunięty ze świata żyjących, rządził jeszcze rozdwojoną rodziną i trzymał ją w zależności od siebie.

Wszyscy mówili o swych obawach.

Ileż projektów, ile myśli różnych skrywało się pod tą nazwą, którą się posługiwali wszyscy!

Jan również oczekiwał końca tego przesilenia z gorączkową niecierpliwością, której powodem nie było wyłącznie przywiązanie do dziadka.

Od czasu owych zwierzeń Lucyny, a szczególniej od wieczoru u Brausigów, przerwał się poufny i serdeczny stosunek między bratem i siostrą. Lucyna starała się być o ile możności miłą i uprzedzającą, ale Jan przestał się jej odwzajemniać. Skoro tylko ukończył pracę w fabryce, uciekał z domu; czasem błąkał się po polach, na których już się złociły dojrzewające zboża, ściągając na siebie uwagę mieszkańców wszystkich ferm Alzacyi. Czasem znów szedł do Ramspacherów, najbliższych sąsiadów, z którymi się w ostatnich czasach zaprzyjaźnił; zwykle wieczorem wychodził na ich spotkanie, gdy wracali z doliny, w tej nadzieji, że przechodząc mimo, zobaczy na ścieżce córkę pana Ksawerego Bastiana. Najczęściej jednak przebywał w Heidenbruchu; zwierzył się bowiem przed panem Ulrychem ze swych uczuć i złożył swoją sprawę w jego ręce. Straciłem już wprawdzie nadzieję zaślubienia Otylii, mówił do wuja z rozpaczą w duszy; małżeństwo mojej siostry burzy moje szczęście; pomimo to jednak muszę prosić o rękę tej, której wyznałem swą miłość. Muszę mieć pewność tego, co złamie moje serce; dusza moja przepełniona jest obawą. Skoro się tylko pan Bastian dowie o zaręczynach Lucyny z Farnowem, które nastąpią bardzo prędko, jak tylko zdrowie dziadka trochę się polepszy, ty, wuju, udasz się do pana Bastiana i przełożysz mu wszystko. On ci odpowie ze świadomością rzeczy.

Powiesz mi, czy on stanowczo odmawia ręki swej córki szwagrowi Farnowa, czy też zażąda odemnie jakiejś próby, chociażby najdłuższej! Ach, gdyby on miał odwagę wzgardzić skandalem, który wywoła małżeństwo mej siostry. Oh, gdyby! Ale nie, nie wierzę w to!

Pan Ulrich obiecał.

W połowie sierpnia gorączka wyniszczająca siły pana Filipa Oberle ustąpiła zupełnie. Wbrew oczekiwaniom lekarza, siły wracały szybko. Wkrótce już było rzeczą wiadomą, że silny organizm starca zwyciężył chorobę.

Skończyła się zatem i zwłoka, udzielona ojcu przez pana Józefa Oberle. Chory, którego śmierć zabrać nie chciała, miał być traktowany jak inni. Nie było już mowy o oszczędzaniu.

Żadna scena jednak nie powtórzyła się między ojcem i synem. Wszystko się odbyło najzupełniej cicho. Dwudziestego drugiego sierpnia po obiedzie podczas czarnej kawy pan Józef rzekł do żony:

— Ojciec mój czuje się już zupełnie dobrze, niema więc powodu do odkładania wizyty pana von Kassewitza. Odbędzie się ona w tych dniach i proszę cię, Moniko, zechciej uwiadomić o tem ojca, któremu jesteś najbliższą. Zależy mi na tem, ażeby zaręczyny odbyły się spokojnie, bez żadnych wybiegów i według wszelkich formalności. Przypuszczam, że i ty jesteś tego samego zdania?

— Czy nie zgodzisz się odłożyć jeszcze tej wizyty?

— Nie.

— A więc uprzedzę ojca.

Tego samego wieczora Jan pisał do Heidenbrucha, dokąd się nie mógł udać osobiście:

„Drogi wuju, wizyta pana Kassewitza już zdecydowana. Mój ojciec nie czyni tajemnicy przed nikim, nawet przed służbą. Oczywiście, życzy sobie, żeby wieść o małżeństwie mej siostry rozeszła się jak najdalej. Skoro tylko usłyszysz od kogokolwiek z Alsheimu wyrazy oburzenia, albo smutku z tego powodu, błagam cię, idź się przekonać, czy moje marzenie ma jeszcze jaką podstawę. Powiedz panu Bastianowi, że to wnuk Filipa Oberle kocha Otylię.“

ROZDZIAŁ XII

Zbiór chmielu.

...iętej Otylii, trochę poniżej winnic, na gruncie złożonym z piasku i zwiędłych liści, pan Bastian i inni

właściciele i dzierżawcy Alsheimu założyli chmielniki.

Nastąpiła chwila bardzo krótka i trudna do uchwycenia, kiedy kwiaty chmielu wydzielają największą ilość wonnego pyłku.

Plantatorzy chmielu coraz częściej pojawiali się w swoich chmielnikach. Liczni pośrednicy przebiegali wioski. Słychać było na każdym kroku spory plantatorów i kupców, porównywających gatunki chmielu z różnych miejscowości: z Wirtembergii, z Badenu Czech i Alzacyi.

Dzienniki podawały już pierwsze ceny najlepszych plonów: z Halbertau ,Spaltu i Wolnzach.

W niedzielę, 26 sierpnia, jakiś żyd monachijski przybył do pana Bastiana i rzekł:

— Wirtemberg podaje wielkie nadzieje, w księstwie Badeńskiem będą też bogate zbiory; u nas w Bawaryi, szczególniej w Spalt, płacimy po sto sześćdziesiąt franków za 50 kilo, ponieważ nasze gatunki obfitują w lupulinę. Tu, u was, dużo zaszkodziła posucha. Mogę jednak zaproponować panu sto dwadzieścia franków za 50 kilo, pod warunkiem jednak, że zbiór pan zaraz rozpocznie. Chmiel już zupełnie dojrzały.

Pan Bastjan ustąpił i zwołał robotników na 28 sierpnia.

Był to dzień, w którym hrabia von Kassewitz miał złożyć wizytę panu Józefowi Oberle.

Od samego rana zapowiadał się upał.

Robotnice wyruszyły ku tak zwanym „wyżynom Alsheimu", gdzie na starannie przekopanej ziemi założone były chmielniki.

Na odległości kilkuset metrów od lasu wznosiły się wysmukłe tyki, ustawione szeregami, a na nich wspierały się zielone pnącza. Wyglądały one jakby namioty z liści, zaostrzone u góry, albo raczej jak dzwonnice, bo miliony małych stoków utworzonych z szarych łuszczek, przysypanych pyłkiem, wahały się nieustannie na całej swej wysokości, niby dzwoneczki, poruszane wiatrem. Wszyscy mieszkańcy Alsheimu wiedzieli o ważnym wypadku dnia, którym był zbiór u pana Bastyana. Sam właściciel wstał przed świtem i zaraz się udał do swego chmielnika, gdzie badał każdą piędź ziemi, obliczał możliwy dochód, gniotąc w palcach drobne i wiotkie szyszki, których woń przyciągała pszczoły. Po za obrębem chmielnika, na rżysku stały dwa jednokonne wózki, które miały zabrać zbiory. Przy wózkach stał dzierżawca Ramspacher, dwaj jego synowie, August i Franciszek, i służący z fermy. Drogą, wiodącą do chmielnika szła partya robotnic w nierównych szeregach: trzy wysunęły się naprzód, za niemi, w pewnej odległości, pięć innych zajmowało całą szerokość drogi, a nieco dalej szła jeszcze jedna, już w wieku podeszłym. Wszystkie, z wyjątkiem Idy, córki kupca korzennego, i Julii, córki zakrystyana, pierwszej elegantki, miały suknie z lekkiego materyału, wyblakłe i trochę zniszczone. Ida była w sukni prawie nowej, niebieskiej w grochy, a Julia, ładna brunetka, miała stanik uszyty modnie i fartuszek w kwiatki białe z różowem. Głowy dziewcząt nie były osłonięte kapeluszami i tylko bujne blond włosy rzucały lekki cień na ich twarze. Wszystkie były młode, świeże i śmiały się wesoło. Oglądali się za niemi parobcy, dążący z fornalkami na pole, a kosiarze, ustawieni na lucernikach, wbijali kosy do ziemi i odwracali głowy, ścigając wzrokiem niezwykłe robotnice. Były tam szwaczki, bieliźniarki, podręczne, córki kupców, udające się do chmielnika pana Bastiana, jakby na jaką uroczystość.

Z powiewem wiatru, osuszającym wilgotne opary, dolatywał do uszu dziewcząt szmer nieuchwytnych wyrazów.

Dzień był wspaniały. Tu i owdzie starcy, zajęci zbieraniem opadłych jabłek i włoskich orzechów, prostowali się i przymrużali oczy na widok dziewcząt, idących drogą do lasu, ale bez koszyków, jakie zwykle noszą te, które się wybierają po borówki i poziomki.

Dziewczęta weszły do chmielnika, długiego na ośmset stóp, a podzielonego na ośm rzędów, wyciągniętych pod sznur i wkrótce znikły w powodzi zieleni, niby w olbrzymiej winnicy. Pan Bastian naznaczył wszystkim robotę i rozkazał zacząć zbiory od rzędów stykających się z drogą.

Stary dzierżawca, jego synowie i parobek fermy ujęli każdy po jednej tyce, obciążonej bogatym plonem; zadrżały liście, wąsy i łuszczkowate dzwoneczki; kobiety, klęcząc na ziemi, odcięły łodygi przy samym gruncie, mężczyźni zaś podnieśli tyki w górę, wyciągnęli je z ziemi i pochylili na bok, oswobadzając w ten sposób od zielonych pnączy. Łodygi, liście i kwiaty opadły na ziemię. Zebrano je w stosy, dla łatwiejszego przeniesienia na wozy. Nikt nie obrywał stożków chmielu; miano się bowiem zająć tą czynnością popołudniu w Alsheimie, na podwórzu fermy, teraz zaś spieszyli wszyscy oddzielać pnącza od tyk obalonych.

I kobiety i mężczyźni osypani byli resztkami liści i żółtym pyłkiem. W powietrzu rozlewała się woń gorzka, lecz zdrowa. Szmer zmieszanych głosów, niby odgłos przedwczesnego winobrania, unosił się w przestrzeń niezmierzoną, urozmaiconą pasami łąk ściernisk, łanami lucerny, nad Alzacyą rozległą i urodzajną, którą teraz słońce zaczynało ogrzewać.

To słońce, świeży wypoczynek po dobrze przespanej nocy, zupełna swoboda, z której nie korzystali codziennie, chęć okazania uprzejmości panu Bastianowi, który znany był ogólnie z wesołego usposobienia, wszystko to obudzało żywą radość w chłopakach i dziewczętach, zajętych zbiorem chmielu.

Jeden z parobków, podczas chwilowego odpoczynku, powiedział głośno:

— Czyż nikt nie zaśpiewa?

Julia, ładna brunetka, o rysach regularnych i pięknych, głębokich oczach, starannie uczesana, odparła:

— Ja umiem ładną piosnkę!

Spojrzała przytem na właściciela plantacyi.

Pan Bastian siedział w pobliżu na zagonie rżyska i palił fajkę, spoglądając z miłością czasem na chmielnik, a czasem na Alzacyę, po za obręb której myśli jego nigdy nie wybiegały.

— Jeżeli ładna, to ją zaśpiewaj — przemówił do Julii. — Czy to jest piosnka, którą żandarmi mogą usłyszeć?

— Niezupełnie.

— A więc obróć się w stronę lasu. Żandarmi rzadko tamtędy przechodzą, ponieważ nie znajdują tam nic do wypicia.

Wszyscy robotnicy zaśmieli się cicho, bo wszyscy mieli jedno usposobienie, a piękna Julia zanuciła piosnkę, oczywiście alzacką, jedną z tych, które lud tworzy bezimiennie, rymując wadliwie i nie troszcząc się o przekazanie potomności swego nazwiska.

Głosem dźwięcznym i czystym Julia śpiewała

Nasz chmiel wyrósł w doline.
Dużo ludzi przechodzi doliną;
Przeciąga wiatr i jęki płyną
Doliną.
Przyjaciół naszych sami wybieramy,
Pijemy zdrowie tych, komu sprzyjamy.
Choć usta milczą, lecz serca wymowne,
Przysiędze słowne.

Julia skończyła.

Wszyscy, i młodzi i starzy milczeli, stojąc nieporuszenie. Oczekiwano dalszego ciągu.

Śmiały się usta dziewcząt, rozweselonych śpiewem i rozkoszą życia.

Oczy pana Bastiana i Ramspachera błyszczały, ożywione wspomnieniami przeszłości. Synowie Ramspachera zachowywali się poważnie.

Julja nie śpiewała więcej.

— Zdaje mi się, że znam młynarza, twórcę tej piosnki — rzekł pan Bastian. — Ale śpieszcie się, przyjaciele, otc pierwszy wóz odchodzi do Alsheimu. Trzeba, żeby przed nocą wszystko było zebrane i złożone w suszarni.

Wszyscy, z wyjątkiem wysokiego Franciszka, który w listopadzie miał iść do wojska a teraz pojechał z wozem do Alsheimu, zabrali się do pracy.

W tej samej chwili z zarośli, przytykających do dużego lasu, z pomiędzy krzaków i wilczego łyka, obejmujących regle, odpowiedział jakiś głos męzki.

— Kto przechodził tamtędy? Kto słyszał piosnkę Julii?

Zdało się wszystkim, że poznają ten głos silny, nierówny, trochę zużyty, z porywami młodości.

Podniosły się szepty:

— To on! nie boi się.

(Ciąg dalszy nastąpi).